Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się.

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr — 12 stron **Warszawa, 10 lutego 1952 r.** **Nr 6 (98) Rok III**

W NUMERZE m. in.: Zofia Marchlewska — Wspomnienie o Bronisławie Wesołowskim, **Stanisław Ludkiewicz** — Z doświadczeń redaktora dziennika, **Stanisław Piętak** — Wiersze, **Tadeusz Konwicki** — Literat w gazecie, **Roman Bratny** — Myśli o konstytucji, **Anna Seghers** — O literaturze, **Egon Naganowski** — Droga pisarska Anny Seghers, **Jerzy Andrzejewski** — Pochwała „skrobania kartofli", **Stanisław Kamiński** — Pozdrowienie o zmierzchu, **Andrzej Braun** — Ojczyzna, **Tadeusz Kubiak** — Rękawiczki, **Jan Jaźwiec** — Przy torfie, **Natalia Obrębska** — Listy pisane „własną ręką", **Zofia Woźnicka** — Powieść o Żuławach, **Lech Budrecki** — Przed wrześniem, **Bogdan Butryńczuk** — Na marginesie „Uczonych białogłów".

Księżyc nad Gizeh

Jednogarbny wielbłąd - dromader jest czarną, płaską sylwetą. Przypomina plakat na wystawie biura podróży. Nad piramidą przystanął nieodzowny księżyc, poczciwe i nietrudne natchnienie, wierszodajna pełnia nad Gizeh.

Patrzyłem na nią w dni wojny. Wspominam ją nieraz czytając prasę codzienną. Stara ziemia nad Nilem jest lądem gniewu. Ile wieków niewoli liczyła tu ludzka krzywda? Przed stu przeszło laty pisał uczony krakowski księgarz, Ambroży Grabowski:

„Ręka ludzka nigdy nic nie zdziałała podobnego, co by z ogromem piramid porównane być mogło; ale też pracy ludzkiej nigdzie tyle nie zmarnowano, ile przy ich budowli. Podróżny z zadziwieniem przypatruje się wielkości tych gmachów, nie może nie gniewać się na despotyzm, pod którym nieszczęśliwy lud wtedy jęczał, lejąc strumienie potu przy dokonaniu tak nierozsądnych przedsiębiorstwów". Grabowski dziwił się powolności tego ludu". Nie miał zresztą zyba racji. W najstarszych nawet papyrusach zachowało się świadectwo szlachetnego porywu i myśli o przyszłości. Oparte na staroegipskim tekście „Proroctwo garncarza", spisane zostało w III wieku:

„Słońce, które się zaćmiło w okresie Tyfonów, zabłyśnie ponownie, opromieniając słuszną karę nikczemnych i wytracenie ludu najeźdźców. Taki oto los Egiptu".

Księżyc nad Gizeh świeci jak przed wiekami. Pod El Arish, gdzie powstawał „Ojciec zadżumionych", pomarszczone pagórki prowadzą jak dawniej ku sercu pustyni.

Ale los Egiptu nie jest dzisiaj sprawą zagadkowej wyroczni. Spoczywa on w pewnych rękach walczącego ludu. Anglosaskie czołgi nie są w stanie powstrzymać biegu wydarzeń. Tłumy demonstrantów szły jak potężny pocisk gniewu przez ulice Kairu. Strajkowali robotnicy, studenci. Nad Suezem bohaterska młodzież egipska odpiera z bronią w ręku atlantyckich najeźdźców. Manifestujący patrioci Tunisu nie obawiają się kul francuskiej żandarmerii. Salwy, które wstrząsają Ismailą i Bizertą, są równie zbrodnicze jak bezsilne.

„Nad Azją i brzegami Morza Śródziemnego dmie gwałtowny wicher. Wyzwolił on już wiele krajów". Słowa te wypowiedział z trybuny ONZ delegat Libanu TAKKIEDINE. Jakże są one znamienne. Rozmach ruchów narodowo-wyzwoleńczych jest bardzo wielki. Potulni zazwyczaj delegaci krajów kolonialnych i zależnych zmuszeni są manifestować opór wobec imperialistycznej przemocy. Ale feudałów i burżuazję Egiptu ogarnia strach. Z lęku przed własnym narodem powstaje sojusz z okupantem. Wspólnym wrogiem jest lud Egiptu, wrogiem głównym są ci, którzy przewodzą walce: robotnicy, postępowa młodzież akademicka.

Zmiana gabinetu służyć ma zachowaniu pozorów. Wafdysta Nahas Pasza nie chce pozbawić swego stronnictwa niepodległościowej frazeologii: przekazuje władzę nowemu premierowi. „Bezpartyjny" Ali Maher Pasza znany jest ze swoich profaszystowskich sympatii. Nahas Pasza pozostawia mu specjalnie ustanowione dyktatorskie pełnomocnictwa. Więzienia w Kairze i Aleksandrii są pojemne i dyskretne.

W pobliskim Tunisie francuskie ekspedycje karne pustoszą półwysep CAP BON. W Egipcie coraz dłuższe są listy zamordowanych. Ale ani przemoc najeźdźcy ani antynarodowe spiski feudałów nie powstrzymają wichru wolności, o którym mówił Takkiedine.

W nocy księżyc nad Gizeh oświetla linie zasieków i gniazda karabinów maszynowych. O świcie Królewska Brygada Wojsk Pancernych przystępuje do burzenia wsi nad Suezem. Okupanci budują tu nową strategiczną szosę. Dając świadectwo swej kulturze nazywają tę szosę „Aleją Pegaza".

Tego samego dnia młody egipski poeta opiewa walkę swego ludu. Nazywa się Mohamed HALIM i nie jest mu obcy smak więziennego chleba. Kiedy pisze, nie myśli o staroegipskim „Proroctwie Garncarza". Myśli o walczących braciach i sile narodu:

Jeśli zewrzemy szeregi, zwycięstwo będzie nasze
dla męża i dla niewiasty jedna
jest tylko droga,
kiedy ku braciom naszym zbliża
się Rewolucja...

Artur Międzyrzecki

EDMUND OSMAŃCZYK

O TRUDZIE ROZNOSZENIA AMUNICJI*)

SŁOWO WSTĘPNE O PISARZU-AGITATORZE

Był między nami pisarz, którego twórczość była tak żarliwa, że każde jego opowiadanie stawało się — wydarzeniem.

Niechaj nikt nie zarzuca panegirycznej przesady. Proszę przypomnieć sobie te pierwsze powojenne lata, jeszcze otępiałe ledwo co przeżytym okrucieństwem faszystowskiej wojny, jeszcze pełne czadu gnijącego, jak trup faszyzmu, podziemia, jeszcze zabzdurzone jaśniepolskimi idejkami (już podkarmianymi dobrze sianem zielonych banknotów), i proszę sobie przypomnieć z tamtych dni ów nagły skurcz serca i popłoch myśli, kiedy w poprzek wydeptanej drogi stawał *„Dzień na Hermenzach"*, *„Pożegnanie z Marią"* czy *„Grunwald"*.

By coś rzec dla pokrycia bolesnego wstrząsu mówiono: „Niewątpliwy talent... Któż to jest ten Tadeusz Borowski?"

Ale już po chwili, dla pokrycia miałkiego zmieszania, poczęto kuć — z gumy do żucia! — *„warszawską recenzję"*: „Borowski? Zdolny chłopak, tylko, niestety, nihilista..."

Po tym jadowitą śliną strzyknięciu przez zaciśnięte zęby śladu nie zostało i nie warte byłoby nawet przypomnienia, gdyby nie dalszy ciąg tej dość szkaradnej a zbyt powszechnionej gierki „ustalonymi" (licho wie przez kogo?) osądami.

A dalszy ciąg był taki: Tadeusz Borowski, młody, wspaniały prozaik, stał się publicystą. Stał się publicystą świadomie, z własnego wyboru, z przekonania. Nie odepchnął go od wielkich form literatury blekotliwy osąd: Autor *„Pożegnania z Marią"* nie rezygnował ani przez chwilę ze swych ambitnych planów nowelisty i powieściopisarza, a o swej pierwszej prozie miał swój zbyt ostry może sąd, ale wynikający z odmiennych przesłanek. Publicystyka, to był domiar pisarski, który sam sobie wyznaczył z chwilą, kiedy ideologiczna dojrzałość narzuciła mu określenie pełni swoich obowiązków, jako pisarza kraju budującego socjalizm.

Pierwszy krok, który uczynił, był sprawdzeniem samego siebie. Myślę o wyjeździe, w cztery lata po wyjściu z obozu w *„Auschwitz"*, oświęcimskiego więźnia Nr 119198 do niedawnej stolicy III Rzeszy — okupowanego Berlina, z konkretnym zadaniem budowania przyjaźni polsko-niemieckiej.

Drugi krok, który uczynił, był, jak już to podkreśliłem, podyktowany dojrzałością socjalistyczną. Myślę o publicystycznej działalności Tadeusza Borowskiego po powrocie ze stolicy NRD aż po kres jego życia.

I znów powtórzę, nikt mi tym razem nie zarzuci panegirycznej przesady, że z kolei publicystyka młodego żarliwca w tych dwóch krótkich, ale ważnych latach, była wydarzeniem nie „literackim", lecz śmiem twierdzić, narodowym.

To za Tadeuszem Borowskim setki tysięcy młodych agitatorów pokoju powtarzało przezeń sformułowaną rotę i spowszechniało ją w narodzie, rotę socjalistycznego patriotyzmu:

„Odpowiadamy za dorobek wszystkich przeszłych pokoleń, które pracowały, tworzyły, kochały ludzkość, wierzyły w nas. Odpowiadamy za wielką puściznę kulturalną naszego narodu. Odpowiadamy za domy, w których spędziliśmy dzieciństwo. Za kołyski naszych małych braci i sióstr. Odpowiadamy także za naszych rówieśników, których zapędzono do imperialistycznych armii. Nie pozwolimy, aby cień amerykańskiego sępa zaległ nad naszą ziemią. Aby zaćmił nam słońce pokoju. Odpowiadamy za łzy matek na całym świecie. Odpowiadamy za nasz naród. Odpowiadamy za przyszłość, za ludzkość, za świat".

W tym krótkim fragmencie publicystycznej prozy jest postawione najistotniejsze zagadnienie naszych czasów: — sprawa odpowiedzialności każdego człowieka *„za przyszłość, za ludzkość, za świat"*.

Tadeusz Borowski, o którym powiedzieć za Broniewskim trzeba, że *„nie głaskało go życie po głowie"*, znał ciężar tej odpowiedzialności i wiedział, że w czasie tak decydującym, obowiązkiem pisarza jest branie pełnego udziału w codziennym zmaganiu się milionów ludzi z ciężarem spraw, za które wszyscy odpowiadamy. Więc, konsekwentnie, z pasją płomiennego talentu i z żarem człowieka, który widzi socjalizm, począł pisać owe niezliczone artykuły, felietony, reportaże, noty, które czytano w całej Polsce, gdziekolwiek dotarła gazeta czy tygodnik z gorącą publicystyczną prozą Tadeusza Borowskiego. I ci, co przyjmowali jego pomocne słowa z wdzięcznością, i ci, co się zżymali na to co pisał, raz przeczytawszy jego wypowiedź, czytali go odtąd stale, bo urzekała ich szczera, zaciekła pisarska pasja, jakiej nie wiele można było znaleźć w naszej powszedniej publicystyce.

Tymczasem jednak nieodpowiedzialna *„recenzja warszawska"* (Kazimierzowi Brandysowi za przygwożdżenie jej tą nazwą, mocny uścisk dłoni!), osądowa plota już zawyrokowała o trudzie roznoszenia amunicji celnych argumentów wśród ludzi walczących co dnia: „Tadeusz Borowski? Świetny prozaik! Lecz po cóż się u licha rozdrabnia i marnuje w publicystyce?"

Pamiętam gniew Tadeusza Borowskiego, gdy podrzucono mu to kukułcze jajo zjadliwej krytyki, obgdakane już przez kumoszki z Kopciuszka i pokropione wodą półczarnej u Marca.

„A właśnie, że będę pisał dalej!" — mówił z drapieżną, właściwą mu przekorą w głosie, a po chwili, jak to było w jego zwyczaju, coraz szybciej wyrzucał z siebie szybujące mu pod czaszką myśli — „Nie rozumieją, nie rozumieją najprostszej prawdy, że dziś jest obowiązkiem pisarza codzień walczyć piórem, a nie tylko od wielkiego święta bić w kopulaste dzwony. Nie rozumieją, że dla pisarza to jest również pomoc, wielka pomoc w odnajdywaniu prawdy naszych dni dla nowel, powieści, dramatów, które chcą pisać. Ja przecież nie rezygnuję ani na chwilę z wielkich literackich form... Ech, co tam. Nie rozumieją, no to trzeba wytłumaczyć. Napiszę wielki artykuł o publicystyce..."

Już go nie napisał. Nie zdążył. Nie wiedział, że śmierć może zniszczyć na zawsze wszystkie niewypowiedziane przezeń słowa, a było ich w nim jeszcze przecież tyle, ile żaru w ogniem dyszącym wulkanie.

Aż wierzyć się nie chce, że ten pisarski żywot wypalał w sercach i umysłach naszych swój znak wszystkiego zaledwie pięć lat!

NIE MA LUDZI NIEZASTĄPIONYCH

Nie wiem, jakie przyszła krytyka przyzna miejsce w literaturze polskiej poezji, opowieściom i publicystyce Tadeusza Borowskiego, jakie odnajdzie błędy, jakie odkryje mielizny i jakie wartości uzna za trwałe. Wiem natomiast — i niechaj o tym przyszły krytyk nie zapomni — jaki ogromny oddźwięk w społeczeństwie posiadało to, co pisał Tadeusz Borowski w latach, gdy stawialiśmy pierwsze kroki narodu socjalistycznego. I wiem, jak nam dziś, właśnie dziś, brak jego głosu, brak jego pasji, brak jego zadziornej ostrości widzenia w codziennym zmaganiu się z ciężarem spraw, za które wszyscy odpowiadamy.

W społeczności socjalistycznej nie ma ludzi niezastąpionych. To, co robił ten, który odszedł od nas na zawsze, muszą robić inni. Nie ma innego uczciwego stosunku do ludzi, którzy *„pracowali, tworzyli, kochali ludzkość i wierzyli w nas"*.

Pozostaje pytanie, kto ma podjąć trud roznoszenia pisarskiej amunicji celnych argumentów wśród ludzi walczących co dnia, ten trud, który z pasją wielkiego talentu i z żarem człowieka widzącego socjalizm był treścią ostatnich lat życia Tadeusza Borowskiego.

Odpowiedź jest tylko jedna: towarzysze i koledzy Tadeusza Borowskiego, pisarze kraju budującego socjalizm.

To zaś wymaga zrozumienia w pełni roli i zadań publicystyki w chwili obecnej. Sprawa ta wśród pisarzy nie była dotąd rozpatrywana szczegółowo na żadnym z zebrań twórczych, a do omówienia jest rzeczy mnóstwo.

Czcząc pamięć Pisarza-poety, nowelisty i publicysty, pisarza, który nie lękał się pracy agitacyjnej, stawiam sprawę publicystyki polskiej przed towarzyszami i kolegami Tadeusza Borowskiego.

CZEGO WYMAGA NOWY TYP PUBLICYSTYKI?

Rewolucja, która odbywa się w świecie przez spowszechnianie naukowego myślenia w klasach, uważanych do niedawna jako zawsze ciemne, zrewolucjonizowała również — oczywiście tylko w obozie postępu — publicystykę. Ten niezawodny oręż postępu stał się nie tylko niezwykle istotną formą walki (klasyczny przykład: publicystyka Marksa i Engelsa), nie tylko niezwykle sugestywną formą sztuki (klasyczny przykład: odezwa Lenina „Do wszystkich, wszystkich, wszystkich"), ale również najpowszechniejszą formą nauki (klasyczny przykład: Rozmowa J. Stalina z korespondentem „Prawdy" o utrzymaniu i utrwaleniu pokoju).

Jak widzimy, publicystyka przestała być niezależną od sztuki i nauki łowczynią dusz, a stała się ściśle związaną z sztuką i nauką najpowszechniejszą formą mobilizowania setek milionów umysłów do twórczej budowy nowego społecznego ustroju świata na podstawach naukowych.

Czego zatem wymaga od pisarza publicystyka w kraju budującym socjalizm, publicystyka nowego typu?

Po pierwsze znajomości naukowych fundamentów, na których opiera się budowa socjalizmu, a więc co dzień pogłębianej znajomości nauki Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina.

Po drugie znajomości faktów i zjawisk, typowych dla okresu budowania socjalizmu, a zatem co dzień pogłębianej znajomości wielostronnego choć jednokierunkowego życia w kraju budującym socjalizm.

Po trzecie znajomości faktów i wydarzeń w świecie, istotnych dla budowy socjalizmu, a zatem co dzień pogłębianej znajomości wielostronnego i wielokierunkowego życia międzynarodowego.

Po czwarte znajomości kunsztu pisarskiego, aby słowo było artystycznie piękne, precyzyjnie celne i serdecznie pomocne dla ludzi budujących socjalizm, a zatem co dzień pogłębianej znajomości najlepszych wzorów postępowej publicystyki.

O tym, że publicystyka w kraju budującym socjalizm musi być tworzona żarem serca i pasją rozumu, sądzę, że nie trzeba przypominać w społeczności, gdzie na taki żar i taką pasję zdobywa się co dzień każdy uświadomiony klasowo robotnik.

Na inną publicystykę w kraju budującym socjalizm miejsca nie ma. Jest to tak logiczne, że trzeba himalajów obskuranckiego zaślepienia, aby nie widzieć, że *to*, co wydobywa kraj i naród z wiekowego zacofania, że *to*, co wznosi wielkie budowle gospodarki planowej, że *to*, co mobilizuje siły twórcze, nigdy dotąd nie wyzwalane, milionów ludzi, że *to*, co kieruje wyzwoloną energię ludzi i materii do budowania trwałego w świecie pokoju, że *TO* jest najważniejszą treścią życia kraju budującego socjalizm, a zatem musi być również najważniejszą treścią publicystyki, która chce wyrażać i kształtować życie narodu.

ATAK NA LITERACKĄ KRYTYKĘ

Wina krytyki literackiej, pogardzającej publicystyką (mimo że krytyka literacka jest przecież tylko odrębną choć niezmiernie ważną gałęzią publicystyki) jest tu tak wielka, że jako jedną z przyczyn słabości naszej dotychczasowej publicystyki uznać należy brak jakiejkolwiek krytyki literackiej utworów publicystycznych. Tym samym nie ustalone zostały dotąd żadne kryteria potrzebne do właściwej oceny — z punktu widzenia realizmu socjalistycznego w sztuce, — utworów, które czytają przecież co dzień miliony ludzi w Polsce.

Czeka na krytykę, przyjęty w naszej prasie codziennej i periodycznej typ artykułów wstępnych, felietonów, reportaży, referatów, że wyliczę tylko najważniejsze gatunki publicystyki, mające masowych odbiorców.

Czyż nie jest charakterystycznym objawem, że ani *„Nowa Kultura"*, ani *„Życie Literackie"*, ani *„Twórczość"*, trzy główne nasze pisma literackie, nie posiadają nawet najprymitywniejszej formy literackiej krytyki utworów publicystycznych — przeglądu prasy, choćby tylko periodycznej?

Czyż nie jest charakterystycznym objawem, że przeglądając roczniki *„Odrodzenia"*, *„Kuźnicy"* i *„Nowej Kultury"* z minionych lat siedmiu znalazłem zaledwie kilka wypowiedzi, stawiających sprawę publicystyki krytycznie, mianowicie dwie wypowiedzi w r. 1945: Jana Kotta w *„Odrodzeniu"* i Zygmunta Mysłakowskiego w *„Kuźnicy"*, oraz dwie wypowiedzi Tadeusza Borowskiego w 1950 r.: w *„Odrodzeniu"* i w *„Nowej Kulturze"*?

Nie wiele się zmieniło w stosunku krytyki naszej do publicystyki od roku 1945, kiedy w *„Kuźnicy"* (Nr 14) mogliśmy na pierwszej stronie przeczytać w artykule pt. *„O polską publicystykę polityczną"* te oto słowa:

„Publicystyka (polityczna)... wymaga ze strony pisarza dwu rzeczy nie zawsze chodzących w parze: cierpliwości naukowca i pasji pisarza... Trzeba, żeby w środowisku intelektualnym narodu ten typ pracy był ceniony i poszukiwany...

Sądzę, że prace tego rodzaju nie były nigdy należycie doceniane.

Poszukiwacze sztuki krzywili się na nie z powodu ich kalibru naukowego, a naukowcy tępili je z godną podziwu ciasnotą umysłu, jako „nie naukowe".

I nie wiele zmieniło się w stosunku krytyki naszej do publicystyki od roku 1950, kiedy Tadeusz Borowski pisał w *„Małej Kronice"* (*„Nowa Kultura"* Nr 17):

„Nie można sobie wyobrazić, aby w krytyce radzieckiej pominięto milczeniem zbiorek Erenburga „Za pokój świata", artykuły i pamflety Simonowa, dorobek publicystyczny Aleksego Tołstoja. Dobry zbiór artykułów i szkiców literackich, to tak samo ważna pozycja jak dobra powieść. Zabrać Mickiewiczowi jego dorobek „dziennikarski" — to zubożyć, okaleczyć jego poezję, sfałszować ideologię. Tymczasem zdarza się, że nasza krytyka literacka lekkomyślnie kaleczy obraz literatury polskiej, pomijając milczeniem te nieliczne okazy publicystyki, które pojawiają się w oknach tysięcy „Domów Książki".

A nie wydaje mi się możliwe podniesienie poziomu naszej publicystyki, nawet przy pełnym pokonaniu omawianych wyżej oporów wśród pisarzy, jeśli nie stworzymy ostrej i czujnej krytyki literackiej wszystkich form piśmiennictwa publicystycznego, jeśli nie stworzymy nowych kryteriów potrzebnych do właściwej oceny publicystyki nowego typu i jeśli tym samym nie przywrócimy publicystyce w naszym obrazie literatury polskiej miejsca i rangi, na które zasługuje, o ile jest rzeczywiście publicystyką nowego typu.

SCHEMATYZM I SLOGANOWOŚĆ

Opory pisarzy i lekceważenie publicystyki przez naszą krytykę literacką, to dopiero dwie główne przyczyny słabości naszej publicystyki. Trzecią przyczyną tej słabości jest w wyniku ubóstwa wzorców wysokiej klasy publicystyki nowego typu oraz w wyniku braku ostrej i czujnej krytyki literackiej schematyzm i sloganowość artykułów, felietonów, reportaży i to nie tylko w prasie codziennej.

O schematyzmie we wszystkich rodzajach sztuki rozprawia się obecnie wiele i owocnie. W publicystyce schematyzm jest tym jednak niebezpieczniejszy, że niszczy ciekawość do słowa drukowanego u milionów czytelników naszej prasy. To tak, jakby w punkcie masowego wyżywienia podawano zamiast ryby tylko szkielet dorsza czy leszcza z uwagą kelnera, że fosforu najwięcej jest w ościach i — dziwiono się, że mało kto ma ochotę na rybę.

Schematyzm w publicystyce jest owocem nieuchronnego rutyniarstwa tam, gdzie zbyt mały udział w prasie pisarzy powoduje ubóstwo form i ubóstwo języka. Dziennikarze, na których spada główny ciężar publicystycznego trudu, nie są w stanie pogłębiać i rozszerzać sposobów argumentacji tak, jak to uczynić by mogli pisarze, z tej prostej bardzo przyczyny, że technika pracy dziennikarza wymaga ciągłego pośpiechu i ciągłego codziennego przerzucania się do coraz innego tematu.

Zgoda — powie ktoś, ale przecież przed wojną dziennikarze potrafili pisać bardziej interesująco i korzystać z większego bogactwa form. To prawda. Ale to, co dziennikarze mieszczańskiej prasy pisali wówczas, było treściowo zupełnie odmienne od tego, co piszą dziś. I dla tamtych starych treści mieli ogromne bogactwo form wypracowanych dla nich przez pisarzy burżuazji, mieli z czego brać wzory, mieli możność uczenia się od najlepszych piór burżuazyjnej demokracji. Wystarczy przejrzeć roczniki poważnych czasopism przedwojennych, aby przekonać się, ile znanych w literaturze nazwisk dawało w tych trzech pismach europejskich wzory felietonu, korespondencji, reportażu, pamfletu, polemicznych not, krytyk, gloss. Wystarczy zresztą sięgnąć bliżej, do roczników naszej prasy okresu pozytywizmu, okresu Młodej Polski, a nawet okresu dwudziestolecia. Najznakomitsze nazwiska naszej literatury owych okresów znajdziemy pod artykułami, felietonami, korespondencjami prasy przede wszystkim codziennej.

Czy mam przypominać Kraszewskiego, Prusa, Sienkiewicza, Orzeszkową, Żeromskiego, Boya-Żeleńskiego?

Jakżeż ubogo na tamtym tle przedstawia się udział pisarzy w kształtowaniu oblicza głównego, nawiasem mówiąc dobrze redagowanego pisma „mieszczan" Stolicy Polski Ludowej („mieszczan" w formalnym znaczeniu mieszkańców miasta), pisma takiego, jak „Życie Warszawy"!

Dlaczego w dzienniku, który ma ogromne rzesze czytelników w całej Polsce, w organie Związków Zawodowych, „Głosie Pracy", nie wzmocnili dotąd siły oddziaływania tego pisma pisarze?

Dlaczego do pisma, które czytają miliony kobiet w Polsce, „Przyjaciółki", nie piszą krótkich opowiadań, zwięzłych ale bogatych w treść felietonów znakomici nasi prozaicy, tak jak to czynili dla tego typu pism (o jakże daleko mniejszym zasięgu) Orzeszkowa i Prus?

Pytań takich mógłbym zadawać wiele, wymieniając kolejno pisma codzienne i tygodniowe, w których nazwiska pisarzy pojawiają się tylko w dziennikarskich wzmiankach, czy w nożyczkowych wycinkach, lecz nie pod utworami napisanymi specjalnie dla kręgu (nie małego!) czytelników pisma.

A potem ci sami pisarze lekceważąco odsuwają od siebie prasę, jako nudną: „Schematyzm!", „Sloganowość!". „Tego nie można już trawić!".

PROBLEM „KNYŻA"

Zdaję sobie sprawę, że wina leży tu nie tylko po stronie pisarzy, choć po naszej stronie główna jest część winy. Pewną odpowiedzialność ponoszą tu również redaktorzy codziennej prasy, którzy nieraz nie potrafią nawiązać współpracy z pisarzami, albo współpracę tę paraliżują, ogarnięci kompleksem tzw. „knyża". Wyjaśniam zaraz, że „knyż" jest lewantyńskim ciastem, czymś pośrednim między kulebiakiem a keksem. Cechą charakterystyczną „knyża" jest to, że przekrajany w którymkolwiek miejscu winien posiadać tam wszystkie nadzienia, jakimi naszpikowano ciasto. „Knyż" publicystyczny to ar-

(Dalszy ciąg na str. 6 i 7)

*) fragmenty większej pracy.

ZOFIA MARCHLEWSKA

WSPOMNIENIE O BRONISŁAWIE WESOŁOWSKIM

W odludnym lesie grodzieńszczyzny 2 stycznia 1919 roku zahuczały rewolwerowe strzały. Żandarmi prawicowo-„socjalistycznego" rządu Moraczewskiego wymordowali członków misji radzieckiego Czerwonego Krzyża, którzy na podstawie obopólnej umowy przybyli do Polski, aby omówić sprawę wymiany jeńców wojennych

Była to delegacja pokojowa, a Piłsudski chciał z krajem Rad nie pokoju, lecz wojny.

Śmierć stojącego na czele delegacji Bronisława Wesołowskiego wstrząsnęła głęboko polską klasą robotniczą.

Przez 26 lat Bronisław Wesołowski walczył nieprzerwanie w szeregach Związku Robotników Polskich i SDKPiL o wyzwolenie klasy robotniczej. Nie zmogły go 20 lat carskich prześladowań, nie zmogły osiedlenia syberyjskie. Pracowity, energiczny, skromny, był jednym z głównych organizatorów SDKPiL, po aresztowaniu Dzierżyńskiego i Marchlewskiego prowadził przez dwa lata biuro Zarządu Głównego, mieszczące się w mieszkaniu jego siostry Augustyny Jasiobędzkiej przy ul. Królewskiej 31, kierował pracami tajnej drukarni. Brał udział w międzynarodowych zjazdach robotniczych w Paryżu i Londynie.

W roku 1908 zakuto Wesołowskiego w kajdany, z arsenału warszawskiego przewieziono do Łomży, a potem na dożywotnie zesłanie na Syberię.

Zwycięstwo Rewolucji Październikowej przyniosło Wesołowskiemu wolność. Młoda władza radziecka powierzyła mu stanowisko sędziego Najwyższego Trybunału. — Wesołowski stanął na straży pierwszego socjalistycznego państwa.

Poniżej drukujemy fragment opowieści Zofii Marchlewskiej — reportaż z życia polskiego rewolucjonisty:

Ktoś puka do mieszkania Jasiobędzkich. Janina otwiera drzwi. Przed nią stoi średniego wzrostu mężczyzna. Z okolonej ciemnym zarostem twarzy patrzą na Janinę duże piwne oczy. Lecz ona nie odrazu poznaje. Nieznajomy uśmiecha się.

— Ależeś urosła, Janinko! Toż z ciebie już dorosła panna.

— Wuj Bronio!

Z pokoju wybiega Augusta i rzuca się w objęcia brata. Rozrzewniony całuje jej posiwiałe włosy. Potem siadają na kanapce i długo ze sobą szepczą.

Augusta owdowiała. Nie łatwo jej przebrnąć przez życie z siedmiorgiem dzieci.

Bronisław wrócił nielegalnie. Jest zakonspirowany. Nikt z dalszej rodziny nie powinien wiedzieć o jego powrocie. Gdzie mieszka? Nie ma jeszcze stałego adresu.

Po kilku dniach Bronisław zaproponował siostrze, aby się przeprowadziła do wspólnego z nim mieszkania. Towarzysze pomogli mu znaleźć pomieszczenie nadające się świetnie do konspiracyjnej roboty. Mieszkanie przy ulicy Królewskiej pod 31-ym ma aż trzy wejścia. Pokój Bronisława można odizolować.

Augusta jest szczęśliwa, nareszcie może być pomocą bratu.

W nowym mieszkaniu rozpoczyna się życie pełne tajemnic. Przy stole siedzi Janina. Swym na wpół jeszcze dziecinnym charakterem pisma mozolnie przepisuje na długie i wąskie kartki nie zupełnie dla niej zrozumiałe teksty zawiadomień i odezw. Niepomiernie dłuży się podpis: „Socjal-demokracja Królestwa Polskiego i Litwy". Pyta więc wuja, czy nie można jakoś skrócić tej długiej nazwy. W odpowiedzi wuj tylko grozi palcem. Daremnie też łamie sobie Janina głowę nad dziwnym kształtem tych kartek. Ale ponieważ wie, że wuj nie lubi pytań, więc milczy. Sprawa wyjaśnia się dopiero, gdy przechodząc raz koło fabryki Lilpopa, spostrzega na słupie telegraficznym naklejoną „swoją" kartkę.

W mieszkaniu przy ulicy Królewskiej zjawiają się tajemnicze postacie i po krótkich wizytach znikają. Wuja Bronia nazywają „towarzyszem Smutnym". Janina domyśla się, że w pokoju wuja, dokąd nie wolno jej wchodzić, dzieją się ważkie sprawy.

Lecz młodziutka pomocnica zna tylko małą cząstkę prawdy. W mieszkaniu przy Królewskiej znajduje się biuro Partyjne SDKPiL-u. Mimo gorączkowych poszukiwań żandarmerii, Bronisław zdołał przetrzymać to biuro przez trzy lata rewolucji. Umie wynajdywać przeróżne wymyślne skrytki. Nie zapomniał strasznej chwili przeżytej przed dziesięciu laty, gdy żandarmi, przeprowadzając rewizję w jego pokoju, wydobyli z pieca strzępki podartego na drobne kawałki papieru. Był to protokół posiedzenia odbytego z towarzyszami z zagranicznego centrum, z Różą Luksemburg i Julianem Marchlewskim. Dokument ów, sklejony przez żandarmów, stanowił poważny dowód rzeczowy podczas wytoczonej Wesołowskiemu w 1894-ym roku sprawy. Wypadek ten nauczył go ostrożności, teraz jest mistrzem konspiracji. Nikt prócz siostrzeńca Mieczysława, zaufanego pomocnika Smutnego, nie zna ani skrytek, w których są przechowywane pieczątki SDKPiL'u, ani mieszkania, w którym powiela się odezwy.

Bronisław śpieszy na Mazowiecką. Jest już na placu Wareckim, przecina ulicę Świętokrzyską. Idzie mocnym, zrównoważonym krokiem. W kwiaciarni „Złocień" ma randkę. Oto już widać witrynę. Gdy wchodzi, jakaś pani wybiera wiązankę kwiatów. Bronisław zdejmuje kapelusz i kładzie go na gazecie. To umówiony znak. Pani Stefania, właścicielka kwiaciarni, patrzy na niego uważnie i odpowiada na jego gest skinieniem głowy. Uśmiecha się. Ma wielkie, czarne, jak cyganka oczy. Odprowadza teraz klientkę do drzwi. Wraca. Patrzy pytająco na Bronisława.

— Chciałem poprosić o bukiecik rezedy... dla mego przyjaciela Julka — mówi Bronisław półgłosem. — Diabelnie przystojna niewiasta — myśli.

Pani Stefania nie spuszcza oczu z Bronisława. — To ten towarzysz, o którym Julek mówił z niezwykłą serdecznością — myśli.

— Bardzo żałują, proszę pana, rezedy nie mamy, ale polecam panu wiązankę pachnącego groszku. Julek bardzo lubi groszek.

— Dziękuję serdecznie — odpowiada ucieszony Bronisław. — Wobec tego poproszę o groszek.

Pani Stefania szykuje wiązankę; nieznacznie wkłada małą kopertę do bukieciku.

— Nikt nie powinien odejść ode mnie bez kwiatów — śmieje się pani Stefania.

— Bardzo pani dziękuję. Ukłony dla Wiktora. Wszyscy są zdrowi.

— A to świetnie. Wiktor się ucieszy. Trochę się niepokoił.

Bronisław wyjmuje kopertę i chowa ją do kieszeni. Bierze bukiecik i wychodzi.

—Ładna historia! — myśli, oddalając się szybko od sklepu. — Co ja teraz zrobię z bukietem? Nie ma rady, trzeba wrócić do domu i oddać go Guci. Niezłe pomysły ma ten Julas. „Skrzynka pocztowa" pani Stefanii podobno funkcjonuje już od kilku miesięcy. To stanowczo za długo. Trzeba znaleźć nowe miejsce.

Zmieniły się czasy. To nie rok 1894. Bronisław wyczuwa niekiedy cień pobłażliwości ze strony młodszych towarzyszy wobec swej napiętej ostrożności. Śmiało pracuje dzisiejsza młodzież! Cała Warszawa żyje teraz rewolucją — powiadają. Cała Warszawa? Nie! Młodzi łudzą się. Bronisław nie odstąpi ani na krok od żelaznych zasad konspiracji. Ale czasy zmieniły się. To fakt. Dziś już nie chodzi tylko o pracę kółek. Ruszyły masy. Ziściła się idea solidarności. Na masakrę petersburgskich robotników w styczniu polscy robotnicy odpowiedzieli strajkiem powszechnym. Rewolucja ogarnęła całe państwo cara. Chłop się budzi. Wielotysięczne masy włączają się do walki. 1-go Maja w demonstracji w Warszawie wzięło udział dwadzieścia tysięcy robotników. W odpowiedzi na represje cara — robotnicza Łódź chwyciła za broń. Przez trzy dni walczono na barykadach. Niezapomniane wielkie dni! Wrzenie, które ogarnęło społeczeństwo, odczuwa się nieomal namacalnie. Bronisław przypomina sobie, z jakim biciem serca kupował u małego gazeciarza „Kuriera Codziennego" zerkając jednocześnie na „Czerwony Sztandar". A chłopiec, jakby nigdy nic, wetknął mu do ręki „Sztandar" i pobiegł dalej, drąc się na cały głos: „Rrrrobotnik", „Czerwony Sztandar". Nadzwyczajna ta nasza młodzież. Ile to lat minęło od czasu pierwszego Zjazdu? Jedenaście. Mietek miał wówczas 5 lat. „Biedna, kochana Franciszka! Nie dożyła do tego czasu, gdy jej syn stał się moim najbliższym pomocnikiem. Świetny będzie z niego towarzysz. Pełen inicjatywy i ofiarności. Jak zręcznie przeprowadził to zebranie uczniowskie na budowie. Kto by się domyślał, że za rusztowaniami zebrało się całe V-te Gimnazjum. I jak potrafił porwać młodzież! Nawet swego ostrożnego przyjaciela, Gustawa, wciągnął do walki. Zuch chłopak! Tak. Dobrze pracowała partia przez te lata. Jaką moc broszur wydano: Marksa, Bebla, Lenina, Karskiego, Luksemburg, Klarę Cetkin...

Zdumienie, jakie wyczytał w oczach Guci, gdy wręczył jej bukiet, zastanowiło Bronisława.

— Biedna moja siostrzyczko! — pomyślał — tak się przyzwyczaiłaś, że ja oczekuję od ciebie tylko usług dla partii, że te kwiaty wprost cię niepokoją...

— A przecież ma świętą rację — zorientował się nagle. — Gdyby nie pani Stefania, nigdy by mi do głowy coś podobnego nie przyszło.

Postanowił, że w najbliższą niedzielę zaprosi siostrę do teatru.

Gwałtowny dzwonek. Gustaw ostrożnie otwiera. W drzwiach stoi Mietek. Zadyszany, z pałającymi oczami. Nie może złapać tchu. Gustaw wciąga go do sieni.

— Co się stało?

— Powstanie w carskiej flocie. Pancernik „Potiomkin" przeszedł na stronę rewolucjonistów. — I Mietek rzuca się przyjacielowi na szyję.

Ale Gustaw — jak zawsze rozważny — nie reaguje na oszałamiającą wiadomość. Cofa się o krok i przygląda się Mietkowi.

— Zaraz. Zaraz. Mój drogi, przede wszystkim chodź no do lustra.

Z tafli lustra patrzy na Mieczysława nieludzko usmolona twarz. Chce zetrzeć plamy na policzkach. Ale ręce upaćkane farbą drukarską jeszcze bardziej rozmazują fiolet.

— Powiedz no, mój kochany, czyś ty do reszty głowę stracił? — pyta Gustaw głosem, w którym drga wściekłość. — I ty chcesz być konspiratorem! Przecież każde dziecko na ulicy zrozumie, gdy na ciebie spojrzy: ten facet pracuje na „RONEO". — I Gustaw już nagrzewa wodę do mycia.

Mietek stoi bezradny. Gustaw ma znowu rację. Z taką fizjonomią wybiec na ulicę było szaleństwem. Gwałtownie starał się uprzytomnić sobie, czy dozorca go widział. Nie! Nikogo podejrzanego nie spotkał między ulicą Bracką i Smolną. Całe szczęście. Mietek nagle czuje, że jest straszliwie zmęczony. Całą noc pracował na strychu. Smutny prosił, aby do świtu wszystkie odezwy były gotowe. Coś było w zachowaniu Smutnego, co zelektryzowało wszystkich. Nawet Aniela odłożyła kajety i pomagała Mietkowi do późnej nocy. POTIOMKIN, PANCERNIK POTIOMKIN! Och, jeśliby Mietek mógł się przedostać do tej Odessy, gotów życie oddać, by móc walczyć razem z bohaterskimi marynarzami Potiomkina!

Rozkazujący głos Gustawa wyrywa go z marzeń:

— Masz tu wodę gorącą. Myj się czym prędzej, wariacie!

— No dobrze, dobrze, uspokój się ju, mentorze. Za minutę śladu nie będzie z „przestępczej" działalności. Ale w nagrodę dasz mi kawał chleba? Głodny jestem jak wilk.

— Dam. Więc co się stało z Potiomkinem?

— Wiesz, że w Odessie od kilku dni robotnicy walczą na barykadach. Otóż nagle rozeszła się wieść, że do portu przybył „Kniaź Potiomkin". Jest to największy pancernik z niedobitków carskiej eskadry. Wrócił z Japonii. Gdy przybył, robotnicy ujrzeli na maszcie czerwony sztandar! Rozumiesz? Bunt w carskiej flocie. Jeśli inne okręty pójdą za przykładem „Potiomkina"...

Mietek nagle się zachwiał. Gustaw podbiegł do przyjaciela.

— Oj, kiepsko — myśli. — Chłopaczysko kochane jest najwidoczniej znowu u kresu sił.

Wyciąga ze swego łóżka poduszkę i układa przyjaciela na tapczanie. Mietek natychmiast zasypia. Wygląda teraz jak mały chłopczyk. Spod przykrótkiej nieco wargi widać rząd białych ostrych zębów. Długie rzęsy rzucają cień na chłopięco pucołowate policzki.

Gustaw przygląda się śpiącemu. Wzbiera w nim czułość. Tak, ów tajemniczy Smutny odbiera Gustawowi najbliższego przyjaciela. Niezwykłą jakąś siłę ma ten Smutny. Gustaw widział go tylko raz. Przelotnie w mieszkaniu Rudzińskich. Ale nie zapomni nigdy tej spokojnej, na pierwszy rzut oka kamiennej twarzy. Lecz Gustaw domyśla się: ten spokój — to wynik czujnego opanowania. Od owej chwili przestał się obawiać o Mietka. Wiedział: Smutny czuwa. Jakaż niewyczerpalna siła tkwi w tych rewolucjonistach. Po dziesięciu latach syberyjskiej zsyłki natychmiast po odzyskaniu niepodległości włączyć się na nowo do walki. A ten oto śpiący chłopak jest z tej samej gliny, co Smutny. Dlatego Gustaw go kocha.

ROK 1908

Wielki parasol rzuca cień na okrągły stolik. Janina zdejmuje kapelusz i opiera głowę o wysoką poręcz plecionego fotela. Wróciła z dalekiego spaceru, chce trochę odpocząć. Jasna jej cera nabrała brązu pod promieniami kaukaskiego słońca. Mimo zmęczenia niebieskie jej oczy iskrzą się młodością. Pięknie tu. Z tarasu willi dyrektora cementowni widać i morze, i góry. Świat jest pełen blasku. W skrytości ducha Janina przyznaje sama sobie, że coraz trudniej jej pojąć, dlaczego ludzie wzajemnie się zwalczają. Dlaczego obóz reakcji całą mocą swej brutalnej potęgi gniecie tych, którzy przecież chcą dobra? Janina wie: walka klas. Wszak czytała niejedną broszurę o marksizmie. Ale tu, gdzie słońce rozkosznie grzeje, gdzie wszyscy darzą Janinę uśmiechem, trudno jest oprzeć się pokusie, by choć na chwilę zapomnieć o okrutnej rzeczywistości. Lecz wystarczy zamknąć oczy, a natychmiast napływają wspomnienia: zabrukane krwią warszawskie ulice i trupy na bruku. Janina przesuwa ręką po twarzy i wpatruje się w błękit morza. Nie! Tamtych dni niepodobna zapomnieć. Dlatego właśnie pisuje Janina długie listy do więzienia, do wuja Bronisława. Piesze o słońcu, o górach, o przesyconych słodyczą winogronach. I oto nareszcie doczekała się: z Orła przyszła odpowiedź.

Bronisław dziękuje za pamięć, za opis kaukaskiego kraju, chwali przedsiębiorczość Janiny, dzięki której dostała posadę aż na brzegu Morza Czarnego, i życzy młodej nauczycielce powodzenia w pracy.

O sobie pisze nie wiele. Życie więzienne nie jest rozkoszą. Ale czas mimo wszystko pracuje dla ludzi postępu. Bronisław czuje się zdrów. Cokolwiek dolegają kajdany, to prawda. Są ciężkie, żelazo wżera się w ciało. Więc jeśliby Janina mogła przysłać ochronne pasy skórzane, które Bronisław mógłby zakładać pod łańcuchy, byłby nieskończenie wdzięczny.

Kończy list dowcipem: nie tylko słońce Kaukazu, które napełnia słodyczą grona winnic, przyczynia się do wyrobu win, ale i on, Bronisław, wkłada cząsteczkę pracy w ten proces. Bowiem od świtu do nocy plecie słomiane pokrowce dla butelek do wina.

Dreszcz przebiega przez ciało Janiny, gdy wspomina te słowa listu. Szafirowy krajobraz mrocznieje.

ROK 1918

Przez wiele lat mego dzieciństwa na szafce mej matki stała nieduża wyblakła fotografia. Na tle więziennego muru widać było na niej człowieka ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Od pasa zwisały do stóp dwa ciężkie łańcuchy, kończące się żelaznymi obręczami. Ze spokojnej twarzy patrzyły na mnie duże, spokojne oczy więźnia.

Wiedziałam: to towarzysz Smutny. Na odwrotnej stronie fotografii była data: 1908 rok. Więzienie w Orle.

Poznałam towarzysza Smutnego dopiero w 1918 roku w Moskwie. Był przewodniczącym Najwyższego Trybunału Rewolucyjnego. Jednocześnie zajmował stanowisko odpowiedzialnego komisarza Komisariatu Spraw Wewnętrznych. Pracował — jak zawsze, gdy był na wolności — bez wytchnienia.

Młodzież garnęła się do Smutnego. Lecz on nie mógł nam udzielać wiele czasu.

Raz jednak, gdyśmy się późnym wieczorem zebrali w jego pokoju w Hotelu „Metropol", uległ naszym prośbom i opowiedział epizod ze swego życia:

— Szczęśliwi jesteście, towarzysze — rzekł — można wam pozazdrościć. Jakiekolwiek bowiem czekałyby nas jeszcze niespodzianki i perypetie, jedno jest pewne: klasa robotnicza władzy już nikomu nie ustąpi. A to oznacza, że nasza młodzież ma zapewnioną naukę i rozwój swych zdolności. Wydawało mi się zawsze, że jedną z największych tragedii w życiu ludzkim jest zahamowanie twórczych sił. Ileż to talentów było i jest skazanych na zagładę w podłych warunkach życia w ustroju kapitalistycznym.

OPOWIEŚĆ O IGORZE

Kiedy po raz pierwszy byłem zesłany na Syberię (dawno temu — w roku 1898), miałem młodego przyjaciela. Nazywał się Igor Szwecow. Był to niepospolicie zdolny chłopiec. Pochodził z małej wioski spod Petersburga. Syn kolejarza. Jak wiecie, rosyjscy kolejarze stali w pierwszych szeregach bojowników rewolucji. Ojciec Igora nie brał bezpośredniego udziału w ruchu rewolucyjnym, lecz na pewno był sympatykiem. Posiadał małą biblioteczkę. Chłopiec znał ją na wylot. Były tam dzieła Plechanowa, Krapotkina, Korolenki, Tołstoja, Gorkiego. Zabłąkała się do tej biblioteczki i jakaś książczyna o bohaterze, który oswobodził swój naród od ucisku tyrana. Książka ta stała się ulubioną lekturą Igora. Miał wówczas 14 lat.

— Wiecie z własnego doświadczenia, z jaką namiętnością chłopcy w tym wieku marzą o bohaterskich wyczynach. Igor widział się w swych snach na czele zbrojnego oddziału powstańców, prowadził zwycięską walkę przeciwko tyranowi. Nie ograniczył się do marzeń. Obmyślił plan działania. Potajemnie szykował się do czynu. Upatrzył sobie skrytkę, w której ojciec przechowywał broń, wykradł z niej rewolwer i powędrował do Petersburga. Piechotą.

— Z mostu łączącego brzegi Newy po raz pierwszy zobaczył stolicę. Obejrzał pomnik Piotra Pierwszego, pozazdrościł mu wspaniałego rumaka. Wreszcie przyszedł na plac, gdzie stoi pałac cara — Pałac Zimowy.

— W kilka lat później, gdy Igor opowiadał nam o tych wrażeniach, przyznał, że był oszołomiony pięknem Piotrogrodu. I zląkł się, że podda się „czarom". Postanowił więc, że niezwłocznie musi wykonać swój plan. A zamierzał ni mniej, ni więcej — zabić cara. Miał 14 lat. Zapytał pierwszego napotkanego przechodnia, gdzie, w którym dokładnie miejscu, był dokonany kiedyś zamach. Przechodzeń nie był zwykłym mieszkańcem. Należał do straży carskiego dworu. Z miejsca zrewidował chłopca i znalazł w jego kieszeni rewolwer. Powalił go na bruk i zawlókł do więzienia. Podczas rewizji w mieszkaniu ojca znaleziono podejrzaną literaturę. To wystarczyło. Chłopca zamknięto w szlisselburskiej twierdzy. Jest to straszliwe więzienie. Rok cały przetrzymano Igora w podziemnych lochach. Po roku orzeczono, że jest nienormalny. Przeniesiono go do szpitala Mikołaja Cudotwórcy. Tam spędził kilka lat. A gdy osiągnął pełnoletnie, posłano go na wieczne zesłanie do Wierchojańska.

— Przybył do nas jesienią. Zima w Wierchojańsku trwa długo. Głęboki śnieg pokrywa olbrzymie połacie kraju. W ciągu półtora miesiąca słońce nie pokazuje się nad horyzontem. Panuje nieprzerwana noc. Mrozy dochodzą do 65-ciu stopni. Jest to pustynny prawie kraj. Dziesiątki, a miejscami i setki wiorst oddzielają osiedle od osiedla. I tylko prymitywne domki etapowe, rozstawione co jakieś 50 wiorst, świadczą o tym, że żyją tu ludzie. Tędy wiedzie trasa politycznych zesłańców. Trzeba dużego hartu duszy, by obronić się przed rozpaczą, gdy razem z żołnierskim konwojem, wyczerpany do cna, padasz na twardy bartóg etapu.

— W naszym gronie — a było nas, rewolucjonistów, wówczas w Wierchojańsku sporo — Igor wzbudził sympatię, a nawet podziw. Był zdumiewająco oczytany. Lekarz - psychiatra, który się z nim zaprzyjaźnił podczas jego pobytu w szpitalu — widocznie człowiek mądry — zrozumiał, że ma do czynienia z niepospolicie uzdolnionym chłopcem. Dostarczał mu książek. Igor miał dobrą pamięć i dar narratora. Zdumiewał nas trafnością światopoglądu, jaki sobie wyrobił. Mógł z niego wyrosnąć rewolucjonista niepospolitej miary.

— Lecz my dorośli nie zrozumieliśmy, jak ciężko temu chłopcu na zesłaniu. Łudziliśmy się, że przyjaźń, jaką go darzymy, może mu wynagrodzić zniweczoną młodość.

— Igor garnął się do mnie. Zdawało mi się, że chłopiec czuje, jak silnie go pokochałem. Myliłem się. My starsi — a miałem wówczas bądź co bądź już 28 lat — byliśmy zahartowani. Marksizm był dla nas nie tylko teorią i nie tylko abstrakcją. Byliśmy gotowi do walki. — Skąd miał czerpać siły odporne 19-letni chłopiec, który w normalnych warunkach może byłby poetą, może artystą? Gdy zbliżała się wiosna, zauważyłem, że coraz większy niepokój ogarnia Igora. Mówił często o śmierci. Aby go rozweselić, postanowiliśmy zorganizować amatorskie przedstawienie. Wybraliśmy „Rewizora" Gogola. I rzeczywiście chłopiec zapalił się do naszego projektu. Odbyły się pierwsze próby. Odkryliśmy w nim nowy talent: okazało się, że był świetnym aktorem. On, który nigdy w krótkim swym życiu nie był w teatrze! Wieść o mającym się odbyć widowisku obleciała tundrę. Z dalekich osiedli zjechali się Jakuci. Igora ogarnęło niezwykłe podniecenie. I nagle, w dzień generalnej próby, Igor zniknął. Mijały godziny. Zrozumiałem, że musiało zajść coś złego.

— Żył wówczas w Wierchojańsku Rosjanin Liadow — współtowarzysz mojej niedoli. Poszedł ze mną na poszukiwanie. Wybrałem drogę na jedyne w okolicy wzgórze. Dziwną nadano mu nazwę: góra „Opyt" czyli: góra „Doświadczenie". Było to ulubione miejsce Igora. W nieliczne pogodne dnie roztaczał się stamtąd widok na bezbrzeżną dal tundry.

— Doszliśmy na szczyt, gdy zapadała noc. Odetchnąłem z ulgą. Igora nie było. Łudziłem się: w minutę później już schylaliśmy się nad jego trupem. Leżał z przestrzeloną głową. Kula rozszarpała mu twarz. ...W jaki sposób udało się chłopcu zdobyć broń — nie dowiedziałem się nigdy.

— Spędziłem noc przy zwłokach Igora. Liadow poszedł do osiedla. Samobójstwo na zesłaniu jest bowiem groźnym wydarzeniem. Powstaje niebezpieczeństwo, że i inni pójdą śladem zrozpaczonego. Dlatego postanowiliśmy na razie ukryć śmierć Igora. Liadow udał, że uwierzyliśmy w ucieczkę chłopca. Dopiero gdy wszyscy zesłańcy rozeszli się do swych jurt, Liadow wrócił do mnie na wzgórze.

— Poczęliśmy kopać mogiłę. Trudno było uporać się z zamarzniętą ziemią. Rozpaliliśmy ogień. Nad naszymi głowami ciągnęły z przenikliwym piskiem jakieś ptaki wędrowne. Liadow twierdził, że to dzikie łabędzie. Wyły wilki. Zerwał się wiatr. Mróz skuwał nam ręce. Musieliśmy je sobie wzajemnie rozgrzewać. Pracowaliśmy długo. Gdy składaliśmy ciało Igora do mogiły, szarzał świt... To była chyba najcięższa noc mego życia.

POWRÓT DO KRAJU

W końcu grudnia 1918 roku rząd radziecki wysyła towarzysza Wesołowskiego na czele misji Czerwonego Krzyża do Warszawy. Moskiewska Polonia z niecierpliwością oczekiwała wieści z Warszawy. Wiedzieliśmy, że Smutny prócz zadań związanych z działalnością Czerwonego Krzyża miał zlecone nawiązanie pierwszych kontaktów z rządem polskim i ustalenie przyjaznych stosunków między Polską a Rosją.

Odwiedziłam towarzysza Smutnego w przeddzień wyjazdu. Oczy mu gorzały radością. Obiecywał, że po powrocie opowie mi dokładnie, jak teraz wygląda Warszawa.

Nie wrócił.

Historię jego śmierci niech nam opowiedzą dokumenty.

(Wycinek gazetowy)

SZTANDAR SOCJALIZMU

Organ Komunistycznej Partii Robotniczej Polski (Zjednoczenie SDKPiL i Lewicy PPS).

Warszawa, sobota, dnia 21 grudnia 1918.

Wczoraj o godzinie 12 w południe zjawiła się w hotelu Bruhlow-

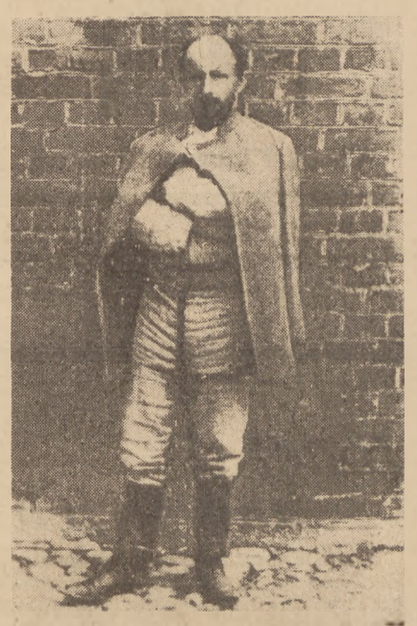

Bronisław Wesołowski na zesłaniu

skim grupa żołnierzy pod dowództwem oficera i aresztowała przybyłą do Warszawy w przeddzień delegację rosyjską Czerwonego Krzyża. Delegacja, w której skład wchodzili: inżynier Bronisław Wesołowski, dr Klocman i dwie siostry Czerwonego Krzyża, została przysłana dla zorganizowania pomocy dla jeńców rosyjskich wracających przez Królestwo do Rosji.

Aresztowanych odstawiono do jakiegoś urzędu tajnej policji na ul. Czystej, gdzie trzymano ich do wieczora bez żadnego wytłumaczenia, motywów aresztu, odpowiadając na pytania, że ów urząd ma prawo w każdej chwili aresztować każdego, a śledztwo się przeciąga, bo wszyscy urzędnicy kompetentni śpią, znużeni obławą nocną.

Zaznaczyć należy, że delegacja Czerwonego Krzyża złożyła zaraz po przyjeździe wizytę Ministrowi Ziemęckiemu, w porozumieniu z którym w ogóle przybyła do Warszawy. Wobec braku w Warszawie przedstawicielstwa Rosji, delegacja przyjechała tutaj pod opieką delegata duńskiego Czerwonego Krzyża — dr Martiniego.

Zainterpelowany w sprawie tego niesłychanego gwałtu Minister Spraw Wewnętrznych, Thugutt, oznajmił, że aresztowanie delegacji nastąpiło nie z jego polecenia, lecz z rozkazu Ministra Spraw Zewnętrznych Wasilewskiego, a to dla jakichś formalnych usterek w dowodach osobistych delegacji.

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że wieczorem delegację odstawiono do hotelu, pozostawiając ją nadal w stanie aresztowania pod ochroną pięciu żołnierzy.

Wątpliwości nie ulega, że to pogwałcenie nietykalności delegacji instytucji humanitarnej, przybyłej do naszego kraju, z wiedzą władz, w celu ulżenia doli tysięcy nieszczęśliwych jeńców, wracających z wieloletniej niewoli niemieckiej, jest ze strony „socjalistycznego" ministra krokiem, mającym na celu wkupienie się w łaski Koalicji, która prowadzi swą wojnę przeciw Robotniczej Rosji najbardziej barbarzyńskimi środkami.

Żądamy bezzwłocznego wypuszczenia delegacji Czerwonego Krzyża i satysfakcji dla Republiki Rosyjskiej. Żądamy w imieniu klasy robotniczej polskiej!

SZTANDAR SOCJALIZMU

Wtorek, dnia 31 grudnia 1918 roku.

Wiec na placu Saskim

Na wezwanie organizacji warszawskiej do protestu przeciw gwałtom stawiły się w dniu niedzielnym na Plac Saski nieprzejrzane tłumy robotnicze. Na wzniesieniu, pod murem cerkwi ustawiono sztandar i mównicę. Mówiono o zbrodniach burżuazji, o represjach wymierzonych przeciwko ruchowi robotniczemu, o wojnach, do których szykuje się endecja, o projektowanej wojnie z Rosją Sowiecką...

Przez godzinę z górą, mimo chłodu i wilgoci, kilkanaście tysięcy zebranych słuchało z największym natężeniem przemówień, które dawały wyraz żądzy walki i woli czynu wiecujących.

Około godziny trzeciej ze sztandarami i delegacją na czele ruszył pochód do pałacu namiestnikowskiego, do prezesa ministrów, który mienił się towarzyszem, a proteguje i osłania wszystkie gwałty, dokonywane nad ruchem robotniczym.

Zdradzieckie strzały

Gdy demonstranci wyszli na ulicę Fredry — od tyłu, od Wierzbowej oddział wojska, dowodzony przez kapitana Giżyckiego, zamknął wyloty ulicy. Pochód szedł spokojnie dalej aż do hotelu Brühlowskiego, gdzie siedzą zamknięci towarzysze, przybyli z Rosji jako delegaci rosyjskiego Czerwonego Krzyża. Rozbrzmiewają okrzyki: Żądamy uwolnienia więźniów! Niech żyje Sowiecka Rosja!

Delegacja wchodzi do hotelu, żądając widzenia się z aresztowa-

(dokończenie na str. 11-ej)

STANISŁAW LUDKIEWICZ

Z doświadczeń redaktora dziennika

Zamieszczamy poniżej dwa głosy na temat współpracy pisarzy z dziennikiem. Pierwszy z nich — to głos redaktora naczelnego „Sztandaru Młodych", pisma, które spośród naszych dzienników ma najwięcej osiągnięć i doświadczeń w tej dziedzinie. Drugi — to polemiczny felieton, którego zadaniem było naświetlić sprawę udziału pisarzy w gazecie ze strony literatów i wzbudzić dalsze wypowiedzi w tej ważnej sprawie. Sądzimy, że zamieszczone artykuły spowodują dalsze głosy zarówno redaktorów innych gazet, jak i innych pisarzy w sprawie koncepcji działów kulturalnych dzienników oraz udziału pisarzy w pracy gazet w szerszym sensie.

Współpracę naszą z literatami podzieliłbym z grubsza na dwa okresy. Pierwszy — to okres od pracy nad utworzeniem pisma do marca 1951, i drugi od marca 1951 po dzień dzisiejszy. Oba te okresy pomimo wielu obustronnych braków i błędów przyniosły wielkie korzyści gazecie i sądzę również — wielu literatom, którzy z gazetą systematycznie współpracowali.

Tworząc „Sztandar Młodych" — pierwszą w Polsce codzienną gazetę młodzieżową — sprawę udziału literatów w pracy gazety stawialiśmy od razu na jednym z naczelnych miejsc. Wówczas wydawało się nam, że podstawą wprowadzenia na łamy gazety form literackich, niezbędnych dla pracy wychowawczej wśród młodzieży, musi być etatowa praca w redakcji możliwie licznej grupy literatów, których zagadnienia młodzieżowe interesują. W rezultacie tego przekonania powstał dział kulturalno-literacki, którym kierował tow. Woroszylski. Od samego początku dział ten rozpoczął energiczną pracę w wielu kierunkach. Po pierwsze brał on żywy udział we wszystkich poczynaniach gazety, wzmacniając w sposób bardzo istotny wychowawczą i polityczną pracę gazety przez wzbogacanie jej formami literackimi. Tematyka twórczości pracowników działu literatów była bardzo ściśle związana z zadaniami i problemami młodzieży, ZMP i gazety. Do tego okresu należą poematy o Nowej Hucie, szereg okolicznościowych wierszy, artykuły publicystyczno-krytyczne odnośnie właściwego doboru literatury dla młodzieży, walka o oczyszczenie bibliotek z literatury szkodliwej itp. W tym też okresie na dobrym poziomie stanęła praca działu z debiutującymi autorami, w wyniku której na łamach „Sztandaru" zaczęli systematycznie drukować swoje pierwsze utwory t. t. Mandalian, Gaworski, Koszutski, Hołda, Witczak i inni. Również na ten okres przypada organizacja wieczorów literackich w terenie wśród słuchaczy zetempowskich szkół organizacyjnych. Towarzysze, pracujący wówczas w dziale dzięki swoim kontaktom z większą grupą literatów, stosunkowo łatwo potrafili mobilizować ich do wykonania zadań stojących przed działem w związku z ogólnymi zadaniami gazety. Będąc bezpośrednimi uczestnikami całości pracy i życia gazety byli na ogół „w kursie" wszystkich aktualnych politycznych, wychowawczych i organizacyjnych spraw, czytali setki listów młodzieży. Jednym słowem nie byli oni tymi, którzy „trzymają rękę na pulsie" życia młodzieży, a byli jednym z elementów tego pulsowania. Nie jest przypadkiem, że w tym właśnie okresie za sprawą literatów, pracujących w piśmie — „Sztandar Młodych" z powodzeniem i na ogół słusznie występował z recenzjami, dyskusjami, artykułami problemowymi, zmierzającymi do aktywnego wpływania na kierunek rozwoju twórczości literackiej i artystycznej w Polsce z punktu widzenia potrzeb pracy wychowawczej wśród młodzieży (artykuły o Teatrach Młodego Widza, dyskusja o pierwszym wariancie scenariusza do filmu „Załoga" itp.)

System pracy z grubsza biorąc był taki, że kierownik działu literackiego i jego etatowi współpracownicy-literaci znając dokładnie potrzeby i plany gazety, orientując się w aktualnej problematyce ogólnej i młodzieżowej — na podstawie planów przedyskutowanych poprzednio z literatami współpracującymi z pismem i zatwierdzonych przez kier. redakcji—wyznaczali poszczególnym pisarzom zadania do realizacji, oraz kontrolowali i oceniali wykonanie tych zadań. W razie potrzeby — bądź to dokładniejszego zapoznania literatów z problematyką, bądź w wypadku różnicy zdań — odwoływano się do kierownictwa redakcji. W tym okresie jednak red. naczelny stosunkowo mało czasu poświęcał sprawie bezpośredniej współpracy z literatami, działając z reguły przez kierownika działu literackiego. Przez pewien okres wydawało się, że taki stan rzeczy jest całkowicie słuszny.

Coś jednak zaczęło się psuć w państwie duńskim. Przede wszystkim pracujący w dziale literackim towarzysze coraz częściej zaczęli stwierdzać, że ich praca w redakcji na „ogólnych zasadach" przeszkadza im w pracy nad doskonaleniem własnej twórczości literackiej, nie pozwala im brać pełnego udziału w życiu kulturalnym i literackim, odrywa ich od jego problematyki, a po części i od środowiska literackiego. Po drugie — współpracujący z pismem literaci coraz częściej odczuwali brak znajomości całokształtu problematyki pisma i — jak twierdzili — przekształcali się w ślepych, a więc bardzo niedoskonałych wykonawców poszczególnych „zamówień" redakcji.

Rezultatem tego wszystkiego było odejście z gazety literatów pracujących na etacie. Zamiast tego stworzono szerszy, lecz luźniej związany z redakcją kolektyw młodych pisarzy.

W początku tego okresu redakcja popełniła stosunkowo więcej błędów aniżeli w okresie późniejszym. Błędy te polegały na zbyt sztywnym stosowaniu wszystkich zasad pracy redakcyjnej wobec literatów, na niedostatecznym liczeniu się z osobistymi zainteresowaniami literacko-społecznymi i planami twórczymi literatów, na nie dość wnikliwym, powierzchownie dziennikarskim stylu pracy nad rękopisem literata, wreszcie na formalno-biurokratycznym traktowaniu sprawy zapoznawania literatów z ogólnopolityczną i młodzieżową problematyką, wytyczającą kierunki pracy organizacji ZMP-owskiej i jej gazety.

Do jaskrawych wypadków zaniedbań z naszej strony należą wypadki zwrócenia literatom maszynopisów bez motywacji ich negatywnej oceny i przekazanie uwag krytycznych dopiero po pewnym czasie.

Tak samo z winy redakcji nie ukazały się pewne artykuły, których dezaktualizacja spowodowana została przetrzymaniem ich w redaktorskich biurkach.

Jednak po pewnym czasie redakcja wyciągnęła słuszne wnioski ze swych błędów i stara się zbudować tę współpracę na innych, zdrowych podstawach. W tym okresie jednak, większość trudności i braków tej współpracy obciąża konto literatów.

Koncepcję pracy z literatami oparliśmy na systematycznym udziale szerokiej grupy literatów w planowaniu i realizowaniu planów pracy działu kulturalnego. Związani oni byli z gazetą z punktu widzenia formalnego — umowami o współpracy oraz systematyczną informacją problemową. W ręku jedynego pracownika-literata pozostającego w gazecie, tow. Lasoty, skupić się miała organizacyjna strona tej współpracy, kontroli wykonania umów oraz codzienna więź z kierownictwem redakcji. Redaktor naczelny pisma zobowiązał się do systematycznego i gruntownego informowania literatów o aktualnych problemach młodzieżowych. Redakcja wzięła również na siebie obowiązek ułatwienia współpracującym z nią literatom wyjazdów w teren, umożliwiła korzystanie z listów nadchodzących do redakcji, i innych materiałów jej dostępnych.

Trzeba powiedzieć, że jak dotąd (z wyjątkiem ostatnich tygodni) te zasady współpracy spodziewanych rezultatów nie dały (chociaż wprowadzenie literatów w problematykę młodzieżową i problematykę gazety odbywały się — może jeszcze mało regularnie, ale w każdym razie dużo systematyczniej i w sposób pełniejszy, aniżeli uprzednio. Niestety, na ogół wysuwane wobec literatów problemy nie spowodowały jak dotąd dostatecznego zainteresowania. Powstał paradoks, niektórzy towarzysze, niedawno jeszcze użalający się na zbyt rygorystyczne wyznaczanie tematów, zaczęli uskarżać się na brak konkretnego „zamówienia", w innych wypadkach następowało melancholijne stwierdzenie, że co prawda problematyka jest ciekawa — ale „obecnie ja siedzę nad czymś innym i to mi zajmuje dużo czasu. Może kiedyś się tym zajmę"...

Umowy, które zawarliśmy, a które określały w każdym wypadku zobowiązanie dostarczenia określonych ilości pozycji literackich, recenzyjnych itd. — są systematycznie niewykonywane przez literatów.

Przyczyny, które powodują taki stan rzeczy, wydają mi się następujące: 1. Wielu literatów, z którymi podjęliśmy współpracę, ma tendencje (z błogosławieństwa ZG ZLP) do zajmowania się bardziej pracą społeczno-polityczną w literaturze, aniżeli samą pracą twórczą. 2. Wielu literatów, o których mowa — ma pewne snobistyczne skłonności, wyrażające się w niedocenianiu znaczenia współpracy ich z gazetą w ogóle, a zwłaszcza z gazetą młodzieżową, a przecenianie znaczenia wystąpień na łamach pism literackich. 3. Niektórzy z literatów, z którymi współpracujemy, mają wynikające stąd niewłaściwe pojęcie o realizacji tzw. „zamówienia społecznego" — własne, skądinąd pożyteczne, ale z punktu widzenia problematyki podstawowego dla nich odbiorcy — czytelnika młodzieżowego — nie zawsze najtrafniejsze pomysły twórcze. Literaci również zapominają o tym, że praca w dzienniku wymaga natychmiastowej reakcji na wydarzenia, szybkiego i terminowego dostarczania materiału.

Trzeba przyznać, że w ostatnich tygodniach nastąpiło ożywienie w tej współpracy. Szereg literatów zainteresowało się wprost kapitalnym dla młodzieży zagadnieniem — sprawą kształtowania oblicza moralnego młodego człowieka. Rozpoczęto więc pracę nad tworzeniem książki o młodych bohaterach naszej historii, przeprowadzona została ciekawa i pożyteczna dyskusja nad książką Czeszki „Pokolenie", szereg literatów wyjeżdża w teren, dla zebrania materiałów o tym, jak młodzież spędza czas wolny od pracy...

Wydaje się, że to ożywienie wywołane zostało pierwszymi próbami połączenia pracy szerokiego zespołu literatów opartej na zainteresowaniu problematyką z dość ścisłą konkretyzacją zadań stawianych przed poszczególnymi pisarzami. I w tej syntezie, wydaje się, należy szukać rozwiązania problemów współpracy literatów z gazetą.

Tak więc:

1. Doświadczenie nasze mówi, że współpracę z literatami należy opierać na zainteresowaniu ich problemami stojącymi przed gazetą i na możliwie pełnym i systematycznym oświetlaniu tych problemów wobec literatów. 2. Doświadczenie nasze mówi, że potrzebna jest wyraźna konkretyzacja tematu dla poszczególnych autorów i kontrola redakcji nad wykonaniem przez nich zadań. 3. Doświadczenie nasze mówi, że praca z rękopisem literackim musi być prowadzona dużo wnikliwiej. 4. Doświadczenie nasze mówi, że w redakcji powinna być dość silna kontrola (dział), łącząca kierownictwo redakcji z literatami. 5. Doświadczenie nasze mówi, że istotnym warunkiem polepszenia współpracy literatów z naszą gazetą jest przezwyciężenie wymienionych poprzednio oporów wśród literatów.

*

Wszystkie wymienione przeze mnie braki naszej współpracy, niedostateczne „zgranie się" pisarzy z redakcją i redakcji z pisarzami nie mogą w żadnym wypadku przysłonić nam oczywistej prawdy, że w podnoszeniu na wyższy szczebel poziomu naszego pisma bardzo wiele zawdzięczamy właśnie współpracy prozaików i poetów.

Szkoda, że wielu innych pisarzy stroni jeszcze od współpracy z gazetą. Co prawda niejednego z nich usprawiedliwić może w jakiejś mierze wielkie — a często zbyt wielkie — przeciążenie działalnością społeczno-organizacyjną, ale przecież nie wszystkich.

Redakcja największe trudności spotyka niejednokrotnie nawet przy samych próbach zadzierżgnięcia mocniejszych więzi współpracy z pisarzami, którzy nie mają dla siebie usprawiedliwienia „przeciążenia pracą organizacyjną". Np. tow. K. Brandys, A. Tarn i inni.

Uwagi powyższe dotyczące współpracy gazety codziennej z literatami, oparte są na doświadczeniach redakcji „Sztandaru Młodych", uzyskanych w okresie około dwuletniego istnienia pisma Ze względu na specjalne zadania gazety współpraca jej z literatami nosiła dość specyficzny charakter. Mimo to wydaje mi się, że pewne nasze doświadczenia mogą być z pożytkiem uwzględniane przy kształtowaniu w ogóle współpracy gazet z pisarzami.

Stanisław Ludkiewicz

STANISŁAW PIĘTAK

ODCZYT

Nie wydumałem zdarzenia. Kronikę piszę
dni surowych, lecz pięknych. Siedzieli jak w zbroi
starcy pod dębem w polu, osłaniając ciszę.
Księżyc wiał, przemieniał ich w starodawnych wojów.

A dokoła szła młodzież. — wieczór chłodził oczy.
Przyjezdny prelegent stał, wsparty na kamieniu
i mówił. Co nadziei i co w piersi mocy
rapsod głosił o komunistycznym tworzeniu.

Opowiadał, jak wielka jest ludzka potęga...
Zawraca biegi rzek, roślinność i klimaty
zmienia — i czynem swego mózgu i tam sięga,
gdzie wieki wznosiły nadprzyrodzone światy.

Był jak w natchnieniu, drżała mu z szczęścia powieka,
gdy nagle runął krzyk i śmiech jak strzały gruchnął.
Poznać było po głosach, że szyderstwo szczeka,
poznać było, że jad chciało zaszczepić „próchno"...

Młodzi jednak wrogich okrzyków nie słuchali,
bili w dłonie, prosili o nową opowieść
i płonąc nad dziejami przyszłej ludzkiej chwały,
marzyli, by poznane dzieła dalej ponieść.

PLAN SZEŚCIOLETNI

Kraju falistych pól, kraju nizin i łagodnych rzek,
już pod twym ciepłym niebem nie staje pohańbiony człek.
Już dzieci szlochając nie uciekają od swych cieni
i młodzi, którzy pragnęli, nie gasną umęczeni.

Toczą się i przez odludne pola drogi jak wstęgi.
Zielenią się trawami w słońcu zdrenowane łęgi.
Światło elektryczne unosi uliczki leśnych wsi.
Pociąg nad trwałymi łożyskami rzek biegnie i lśni.

Kiedyś na bagnach konie padały na ślady czarne,
dziś suną tam kombajny, dławią się ziarnem młocarnie.
Stają u wydm jak przyjazne drzewa piece wielkich hut.
W lasach, w błotach uczeni jak krwi szukają nowych rud...

Kraju drogi, tulę do piersi każdą część twej ziemi
i patrzę na przemianę twą oczyma wzruszonymi.
Przodkowie los jak kamienie na grzbietach spuchłych nieśli,
zbudują sobie życie piękne i wolne współcześni.

DO MŁODEGO POKOLENIA

Zapamiętaj ręce spuchnięte od potu w upale.
Żyto w sterty rosło jak budowle ku czasu chwale.

Zapamiętaj górników tłumem idących do pracy.
I cień ich pyłem krwi, wysiłkiem niedawnym się znaczy.

Zapamiętaj artystę, co w późną świtania porę
jeszcze dłoń wznosi nad dziełem, choć ciało jego chore.

Zapamiętaj kształty pól i rzek, powietrze nad ziemią,
byś wiedział jak myśli ludzkie to, co istnieje, zmienią.

Zapamiętaj... Ty musisz być jak tamci bohaterzy —
i niechaj myśl twoja jeszcze dzieło ich poszerzy.

ROMAN BRATNY

MYŚLI O KONSTYTUCJI

Na kolanach,
na kolanach przed kłosem
(sierpami prowadzili żniwa),
jak przed bogiem.

Krwawy pot a dniówka pańska.
Zgubił 50 groszy przez pocięte palce,
Gdy się żona dowiedziała,
na serce umarła.

Nie chowali za darmo w grobach,
trzeba było pazurami drzeć na pochówek
Jedyna żałoba
to ziemia za niezgojonymi pazurami.

Jan Dróżdż wskazuje ręką lewą
na traktor w spółdzielczym polu.
Ręce mi cierpną:
czubki poobrzynane ma od sierpa.

Wiem czego żąda Dróżdż
od Konstytucji:
żeby przekreśliła przeszły czas,
czas nieludzki.

*
* *

Choćby człowiek żył tak krótko,
że jego życie mogłoby się przejrzeć
w kropli
gnającej z wodospadu...

Choćby człowiek był taki mały,
że płatek śniegu spadający
stanowić by mógł kurtynę
nad sceną życia...

I tak przenosiłby morza,
i tak formowałby góry,
gdyby go prowadziły
prawa tego czasu.

TADEUSZ KONWICKI

Literat w gazecie

Dziś jeszcze redaktorzy gazet nie mogą wyzbyć się podejrzeń, że literat ma dwie dusze: literacką i dziennikarską. Na tym podejrzeniu zasadza się w konsekwencji mniemanie, że literat - literat gardzi literatem - dziennikarzem. Słyszymy więc często narzekania: literaci nie doceniają roli naszej pracy, lekceważą swój udział w wychowaniu nowego społeczeństwa na tym odcinku. Traktują — rzekomo — swoją współpracę z gazetami jako pewnego rodzaju pańszczyznę, jako „zamówienie społeczne", które przeszkadza im we właściwej pracy tzw. „pracy twórczej". Zdarzają się nawet redaktorzy przebiegli, którzy z przejęciem powiadają, że uznają hegemonię „czystej pracy twórczej" nad współpracą z gazetą, jednakże pozwolą sobie zaapelować do szlachetnych uczuć literata i proszą go, aby na jutro napisał taki a taki artykulik, bo temat ma szczególną wagę „na tym etapie".

Podobne sądy i przesądy wypływają z anachronicznego już dziś nieporozumienia. Literat ma jedną duszę. Literat, który jest świadomym bojownikiem o socjalizm i pokój, w codziennej swej walce posługuje się każdą dostępną mu bronią: powieścią, wierszem, felietonem gazetowym czy publicystyką. Współpraca z gazetą jest konsekwencją jego politycznej postawy, jego ideowej aktywności. W comiesięcznych remanentach nie rozkłada swojej produkcji na dwie kupki: tej „ponadczasowej" i tej skazanej na przepadnięcie, pańszczyźnianej.

Pisarz aktywista zdaje sobie doskonale sprawę, że współpraca z gazetą wzbogaca jego literacki arsenał, wiąże go silnie z dniem dzisiejszym, uczy bardziej aktywnej, bardziej bojowej postawy.

Jednakże współpraca pisarzy z naszymi dziennikami układa się niezbyt pomyślnie. Ulubioną formą kontaktu redaktorów z literatami jest telefon. „Słuchajcie — brzęczy tubka słuchawki — dlaczego nie napiszecie czasem do nas? Bardzo was prosimy, napiszcie coś!" Literat poci się ze słuchawką przy uchu. Trudno na taką propozycję odpowiedzieć. Słowo „coś" przez swą niewymierność nic nie znaczy. Po chwili literat chwyta się brzytwy: „Jestem bardzo zajęty, doprawdy nie wiem, czy coś napiszę ale jeszcze zobaczę..." Słuchawka brzęczy: „Koniecznie napiszcie, bardzo nam zależy. A więc czekamy, cześć!" I obaj odkładają słuchawkę: redaktor z nadzieją, że literat może jednak „coś" napisze — literat z przekonaniem, że nic nie napisze, a redaktor szybko zapomni.

Dlatego dużą zasługę ma „Sztandar Młodych" w tym, że potrafił koło siebie skupić kilkunastu literatów. Dział kulturalny tego dziennika pozostawia jeszcze wiele do życzenia, ale jest z pewnością najlepnych, ponieważ tamte albo w ogóle szy wśród naszych pism codziennego nie posiadają, albo wegetuje w nich w stanie szczątkowym. Przy tym „Sztandar Młodych" to pismo, które więcej utworów literackich odrzuca, niż inne dzienniki w ogóle otrzymują.

Z naszych doświadczeń trudno wyznaczyć ostateczną receptę na doskonałą współpracę pisarza z gazetą. „Sztandar Młodych" potrafił dotychczas jedynie w formie organizacyjnej skupić koło siebie literatów, tchnąć w nich wątłą iskierkę zapału, która bardzo często przygasa.

Do współpracy ze „Sztandarem Młodych" szczególnie zachęcił nas czytelnik tej gazety. Któż może być wdzięczniejszym odbiorcą literatury, jeśli nie młodzież. Pamiętając o „Komsomolskiej Prawdzie" „czuliśmy już w końcach palców" zapalczywe felietony, mobilizujące wiersze, tętniące życiem nowele. Widzieliśmy przed sobą bogactwo środków oddziaływania i kontaktu z najmilszym z czytelników. W praktyce okazało się, że marzenie w sposób szkodliwy oderwało nas od teraźniejszości redakcyjnej. Utwory nasze zaczęły coraz częściej powracać do autora z adnotacjami, „że dla naszego czytelnika to się nie nadaje". Czytelnik stał się zagadką, którą zna tylko redakcja. Jej sytuacja była tym bardziej uprzywilejowana, że to ona właśnie była tym wtajemniczonym pośrednikiem między literatem a czytelnikiem. Zaczęliśmy się coraz bardziej oddalać od czytelnika, znając go tylko z relacji wyobrażaliśmy sobie, że jest groźny i nieobliczalny. Wyobrażenie to zachwiały wypadki następne, kiedy redakcja zwracała maszynopis z następującą ciepłą uwagą: „Artykuł bardzo piękny, ale — niestety — nie dla naszego czytelnika". Zastanowiła nas pewna niekonsekwencja: jeśli artykuł bardzo dobry, to dlaczego niestosowny dla młodego czytelnika? Nasunęło się więc podejrzenie, że redakcja ma ciasny, praktycystyczny stosunek i do czytelnika, i do materiałów redakcyjnych, które przymierza do bardzo wąskich własnych kryteriów, być może nie często odświeżonych w kontaktach z czytelnikami. To niedocenianie bogactwa środków literackich, lekceważenie pewnej eksperymentalności w pracach literackich dla gazety, nieumiejętność wszechstronnego wyzyskania możliwości pisarskich współpracowników, zaważyło na jakości działu kulturalnego. Literaci pragnęli wspólnie z czytelnikami i redakcją wypracować styl tego działu, kierownictwo redakcji natomiast hamowało z lekka te zapędy chowając z zanadrzu doskonałą, bezapelacyjną receptę, wobec której nasze wysiłki mogły być tylko pocieszne i niestosowne.

Jeden z literatów otrzymał odrzucony artykuł z liścikiem, w którym go powiadomiono, że nie po to u niego zamawiano artykuł, żeby napisał tak, jak może napisać każdy pracownik redakcji. Niezależnie od tego właśnie felietonu można dostrzec tu pewne niedocenianie właściwości publicystyki literackiej. Kierownictwo redakcji zraża np. fakt, że literat w artykule publicystycznym nie dał lepszego rozwiązania aktualnego problemu od gazet. Oczywiście literat nie zawsze może dać nowe, zaskakująco trafne rozwiązanie lub wzbogacenie problematyki, ale prawie zawsze może dać krótki, świeży, posługujący się środkami właściwymi dla literatury utwór, który — być może okaże się skuteczniejszy od niejednokrotnie schematycznej publicystyki dziennikarskiej, potrafi silniej zaagitować czytelnika.

Bardzo ważna jest atmosfera, w której literat pracuje z gazetą. Niewychowawczy i niekorzystny jest taki system, że literat przynosi do gazety utwór, następnie po niejakim czasie znajduje go w piśmie i po tygodniu odbiera honorarium. Praca jego zginęła w labiryncie mechanizmu redakcyjnego. Po jakimś czasie znowu po omacku będzie pisał następny arytkuł i z drżeniem serca powierzy go loterii gazetowej: wydrukują czy nie wydrukują? Bardzo mi się podoba żartobliwy aforyzm: literat powinien pisać każdy swój utwór z gorącym przekonaniem, że bez tej jego pracy nie zbudujemy socjalizmu. Chciałbym, żeby chociaż częściowo przekonanie to udzieliło się redakcji gazety.

Literat — o czym powszechnie wiadomo — jest też tylko człowiekiem. Opierając się na tym pewniku redakcja gazety powinna sama zainteresować literata problematyką terenu. Nie wystarczy wspaniałomyślnie zaproponować: jeśli chcecie, to my wam umożliwimy dostęp do listów nadsyłanych do redakcji. Trzeba po prostu przekazywać pisarzom najbardziej typowe, najciekawsze listy wyselekcjonowane z napływającej masowo korespondencji. Listy te mogą stać się zalążkiem felietonu czy opowiadania, które to utwory zasygnalizują w mobilizującej formie problem, który już w terenie dojrzewa, a nie przedostał się jeszcze na łamy gazet. Czy dyskusji o chuligaństwie nie można było w ten sposób (literacki) rozpocząć pół roku wcześniej? Większa sprężystość organizacyjna, trwalszy kontakt z literatem, mniej dygnitarskiego „niemaczasu" związą literata ściślej z gazetą, ustrzegą go od — zdarzającego się czasem człowiekowi — zniechęcenia. Wzajemne ukłony, uprzejmości i zapewnienia o wszelkiej gotowości nie wiele pomogą. Trzeba szybko działać — jak powiada Andrzej Mandalian.

Doniosłości prasy w życiu naszego społeczeństwa nie trzeba chyba udowadniać. Trudności prasy, jej niedomagania obchodzą bardzo aktyw literacki. Nasze postulaty pod adresem gazet nie są wynikiem urażonych ambicji czy osobistych dąsów. Pragniemy w jak najskuteczniejszy sposób walczyć na ważnym strategicznie w walce o socjalizm przyczółku, jakim jest prasa Polski Ludowej.

Tadeusz Konwicki

JERZY ANDRZEJEWSKI

POCHWAŁA „SKROBANIA KARTOFLI"

Artykuł niniejszy stanowi fragment przygotowanego do druku zbioru felietonów politycznych pt. „Ludzie i zdarzenia — 1951". J.A.

1.

Jeden z moich wybitnych kolegów po piórze, dowiedziawszy się, że stale pisuję tygodniowy felieton polityczny do „Głosu Szczecińskiego", bardzo się tym oburzył i w rozmowie z członkiem redakcji tego dziennika oświadczył, co następuje: „Co wy najlepszego robicie? Przecież to nie ma sensu! Andrzejewski powinien pisać powieści, a wy go w prowincjonalnym dzienniku używacie do skrobania kartofli".

Jakkolwiek ów wybitny kolega po piórze uchodzi i słusznie za jednego z najbardziej ideowo i politycznie dojrzałych pisarzy — wydaje mi się, że w tym wypadku wykazał nieco mniej roztropności niż w swoim czasie Stendhal, gdy opowiadając dzieje księżny Sanseverины i Fabrycego del Dongo miał odwagę zawołać: „Polityka w utworze literackim, to wystrzał z pistoletu w czasie koncertu; coś brutalnego, czego jednak nie podobna pominąć".

Od tego okrzyku wielbiciela Szekspira, Mozarta i Cimarozy minęło lat z górą sto. Historia w ciągu tego stulecia uczyniła niejeden ogromny krok naprzód. Świat połowy wieku dwudziestego zarysowuje się całkiem odmiennym obrazem od tego, który wyrażał oblicze współczesności młodego Marksa i Mikołaja I. Dzisiaj, u schyłku roku pięćdziesiątego pierwszego, autor „Pustelni Parmeńskiej", gdyby mu z jego wnikliwym umysłem danym było żyć obecnie, z pewnością inaczej niż ongiś określiłby charakter rzeczy politycznej w dziele sztuki. Do truizmów już dzisiaj bowiem należy stwierdzenie, które w każdym dziele sztuki każe dostrzegać określony wyraz polityczny bez względu na to, czy twórca stanowisko polityczne zajął świadomie, czy też się od jakiejkolwiek tendencji politycznej odżegnywa. Również truizmem wydaje się inna prawda, zresztą warta jeszcze częstego przypominania, a mianowicie ta, że spośród kilku elementów decydujących o trwałości dzieła sztuki — postępowa wiedza i pasja polityczna twórcy służą temu trudnemu celowi w równej mierze, co doskonałość rzemiosła artystycznego, oraz siła i zdolność wyrażenia i utrwalenia rzeczywistości ludzkiej w kształcie ojczystego słowa.

Rzecz zatem o współtwórczej roli polityki w literaturze już nie polega na tym, czy ogromna dziedzina polityki powinna lub nie powinna znaleźć swój wyraz w dramacie, wierszu lub powieści. Rzecz, która jeszcze dla Stendhala była „wystrzałem z pistoletu w czasie koncertu", dzisiaj prowadzi nas nieporównanie dalej, ponieważ zarówno sama rzeczywistość, jak i nasza o niej obecna wiedza, kształtując sztukę — poszerzają jednocześnie jej granice, a zakresowi twórczej pisarskiej działalności udzielają treści coraz głębszych i bogatszych. Nie chodzi zatem o to, czy pisarz powinien swoją sztuką oddziaływać politycznie, lecz o to, czy w zależności od toczącej się walki odczuwa potrzebę i chce dla wyrażenia swej wiedzy i pasji politycznej natchnąć własne pióro tą samą szlachetną ambicją, która przed kilkunastu laty stała się bodźcem dla górnika donieckiego, Aleksego Stachanowa.

2.

Niegdyś, w ciężkich dla Francji godzinach pruskiego najazdu, Cézanne ani na chwilę nie oderwał się od swojej palety i pod niebem pogodnej Prowancji, z dala od huku armat i dymów palonych wsi, cały wysiłek umysłu i serca poświęcał swoim pejzażom. Kolory Cézanne'a są rzeczywiście piękne. Jego płótna są arcydziełami. Można też z podziwem i nie bez głębokiego szacunku skłonić głowę przed twórczą namiętnością burżuazyjnego artysty, który przez całe życie i bez względu na okoliczności niezmiennie wiernie pracował dla swojej sztuki. Niemniej artyście współczesnemu, który dzisiaj kocha sztukę równie żarliwie, jak Cézanne kochał ją wczoraj, bliższy jest Pablo Picasso, twórca cyklu „Guernica" oraz Gołębia Pokoju. Również bliższy jest Majakowski świadomie wspierający swymi wierszami Rewolucję. Bliżsi niż Cézanne, pracujący w czas wojny nad błękitem nieba swoich pejzażów, są ludziom współczesnym ci wszyscy twórcy i epok minionych, i lat obecnych, którzy sensu i celu swojej sztuki dopatrują się w jej nierozerwalnym związku z dniem dzisiejszym, a swój rozum i wiedzę, swój talent i swoje serce oddają w służbę najważniejszym zadaniom chwili. Oto honor i godność sztuki! Nie na peryferiach burzliwego życia je znaleźć, nie zdala od zgiełku codziennej walki i nie w oszczędnym odmierzaniu swego rzemiosła, lecz właśnie wśród sprzeczności świata, w udziale w codziennej walce i w ciągłym poszerzaniu i wzbogacaniu rzemiosła. Nie warto doprawdy kłaść na papier innych słów prócz takich, które natychmiast mogą stanąć u boku ludzi walczących. Nie warto pisać innych książek tylko takie, które choćby mówiły o dniach minionych, służą swoją wiedzą i pięknem współczesnej rzeczywistości po to właśnie, aby wyjaśniając świat dzisiejszy przybliżać realizację jutra. Nie ma dla przyszłości lepszej i trwalszej pracy nad tę, która bez reszty poświęcona jest teraźniejszości.

Myślę więc, że wspomniany wybitny pisarz mimo wielu zalet umysłu i talentu nie miał racji pogardliwie przyrównując do „skrobania kartofli" działalność pióra powieściopisarza poświęconą politycznemu felietonowi. Nie w tym przecież rzecz, aby mając dane do pisania np. powieści zaniedbywać je dla publicystyki. W tym natomiast rzecz, aby stale i świadomie poszerzać zakres swojej pisarskiej działalności i uprawiając powieść uprawiać również publicystykę, w taki sposób kształtując obie dziedziny, by jedna wspomagała i wzbogacała drugą. Przy podobnym zaś postawieniu zagadnienia czyż można powiedzieć, że oddanie części swego „powieściopisarskiego" czasu publicystyce oznacza sprzeniewierzenie się sztuce i obowiązkom pisarskim? Nonsens! Więc może rzecz się ma odwrotnie i czas powieściopisarza oddany publicystyce świadczy o wierności artysty wobec sztuki i o właściwym pojmowaniu przez niego pisarskich obowiązków? Osobiście skłonny byłbym tak właśnie myśleć.

3.

Wydaje mi się, że byłoby komunałem przypominać, że ani Prus nie zdradzał „Lalki" i „Faraona" odrywając się od nich dla „Kronik Tygodniowych", ani Gorki nie sprzeniewierzał się sztuce socjalistycznej walcząc o socjalizm w licznych artykułach i pamfletach, ani Erenburg — korespondent wojenny „Prawdy" nie marnował swego czasu powieściopisarza, podobnie jak nie marnuje go i dzisiaj wygłaszając przemówienia na kongresach pokoju. Niewątpliwie stwierdzenia podobne są w Polsce w roku pięćdziesiątym pierwszym komunałem. Jednak pewien rozdźwięk pomiędzy świadomością ludzką, a świadomym jej realizowaniem w życiu jest dość charakterystyczny dla naszych czasów przełomowych i w niejednej dziedzinie możemy zauważyć, jak często się zdarza, że treści nowe i twórcze stając się dla wielu ludzi prawdą jak najbardziej oczywistą, nie są jednocześnie przez nich przyswojone na tyle głęboko, aby w stosunku do konkretnych decyzji, sądów i czynów spełniały rolę kierowniczą. Stary świat wypędzony z naszych umysłów nie przestaje krążyć w naszej krwi. I tak na przykład ów rozdźwięk pomiędzy w i e d z i e ć i c z y n i ć niejednokrotnie i to ze szczególną wyrazistością zaznacza się w dziedzinie sztuki.

Wielu naszych pisarzy przyswoiło już sobie zasady myślenia dialektycznego, lecz ich n o w a świadomość nie zawsze dość skutecznie przezwycięża s t a r e kategorie wartościowania, co w rezultacie stwarza jeden z paradoksów naszych czasów: typ artysty myślącego postępowo, lecz w praktyce twórczej skłaniającego się niekiedy ku wstecznictwu.

Bo czyż nie jest przejawem wstecznictwa owo często jeszcze u nas spotykane lekceważenie tej całej rozległej dziedziny sztuki, którą nazywamy publicystyką? Czyż nie jest dowodem wstecznictwa, jeśli twórcy skąd inąd szczerze i prawdziwie postępowi, ludzie o rozwiniętej świadomości i dużym talencie hołdują mimo to martwym sądom, które zgodnie z interesami klas wyzyskujących usuwały publicystykę poza sferę sztuki, bądź w stosunku do dramatu lub powieści wyznaczały jej skromną rolę kopciuszka? Czyż nie jest świadectwem, że szczątki starego myślenia krążą jeszcze we krwi artysty, jeśli ten w hierarchii wartości literackiej wyżej stawia przeciętną powieść niż dobry tom publicystyki? A czym, jeśli nie spuścizną po czasach wstecznictwa wyjaśnić rozliczne opory, jakie wielu jeszcze naszych postępowych pisarzy wstrzymują przed zaangażowaniem się w działalność publicystyczną? Co powiedzieć o owych uroczystych piórach godnych w swym mniemaniu trzystu stron powieści, lecz zbyt wielkich, by zużywać miały atrament na utrwalenie na dwóch stroniczkach ważnego zagadnienia chwili? Co powiedzieć o owych piórach — znów używając słów innego naszego wybitnego i „antypublicystycznie" nastawionego powieściopisarza — przywykłych „do honorowania przede wszystkim dzieł przygotowujących się z całą świadomością rzeczy do przejścia do wieczności, pozapinanych na ostatni guzik"?

Nie, po stokroć nie! Nie sądzę, abym sprzeniewierzał się sztuce opracowując referaty i przemówienia na zebrania komitetów obrońców pokoju. Nie zmarnowałem w moim poczuciu sześciu miesięcy poświęconych pracy nad książką „O człowieku radzieckim". I chyba nie marnotrawię swoich umiejętności prozaika siadając co tygodnia od roku do napisania felietonu politycznego dla prowincjonalnej gazety. Mogą z całą pewnością, na jaką stać człowieka, powiedzieć, że dzisiaj kocham sztukę głębiej i mądrzej niż umiałem ją kochać wczoraj i przedwczoraj. I nigdy, nawet w bezkrytycznych dniach młodości, nie danym mi było zaznać takiej wierności wobec sztuki i wobec piękna, jak właśnie teraz, kiedy na miarę swojej wiedzy i talentu odczuwam potrzebę, aby właśnie jako pisarz zabierać głos w każdej sprawie, która porusza mój umysł i serce, wzbudza miłość lub gniew, radość czy zgryzotę.

Nie sądzę, aby pisarz, który wykazał był pewne umiejętności w obieraniu dużych i soczystych gruszek, zaprzepaszczał swoje talenta zabierając się do „skrobania kartofli". Kartofle należą, jak wiadomo, do jednego z najbardziej rozpowszechnionych posiłków. Trzeba je zatem skrobać i obierać. A któż jeśli nie ludzie o wyrobionych palcach powinni się do tej roboty zabrać? Może ludzie, którzy przy obieraniu kartofli kaleczą się niechlujnie i marnują, i raczej powinni tłuc ziemniaki dla prosiąt niż operować ostrym nożem?

4.

Żaden, jak mi się wydaje, z rodzajów literackich nie służy w równym stopniu co publicystyka wzbogacaniu i pogłębianiu świadomości twórcy. Stale uprawiając publicystykę pisarz musi z konieczności nie tylko znać realia codziennej rzeczywistości we wszystkich jej przejawach, lecz co ważniejsze: musi wobec konkretnych faktów zajmować konkretną postawę, ten zaś z kolei obowiązek pociąga za sobą konieczność stałego uzupełniania i usprawniania posiadanej wiedzy.

Myślę, że gdy mówi się niejednokrotnie o niedostatkach ideologicznych naszych pisarzy, to przyczyny owych braków szukać należy między innymi i w tym, że pisarze ci — do czego zresztą w ogóle zdradzają skłonność intelektualiści — więcej okazują zainteresowania dla teorii niż dla stałego stosowania jej w praktyce. I tu zaryzykowałbym twierdzenie, że w rozwoju ideologicznej świadomości pisarza publicystyka spełnia tę samą pobudzającą twórczą rolę, jaką dla aktywisty społecznego lub partyjnego stanowią doświadczenia w terenie.

Nie wierzę, aby pisarz, który nie potrafi napisać trafnego ideologicznie felietonu albo artykułu, mógł stworzyć dojrzałą ideologicznie powieść czy dramat. Jest rzeczą jasną, że kto fałszywie lub w sposób schematyczny i banalny ocenia ważne wydarzenia życia bieżącego, ten konstrukcję ideową fabuły literackiej również zbuduje fałszywie, albo w sposób schematyczny i banalny.

A sprawa konieczności pogłębiania ideologii przedstawia się, jak sądzę, tak: nie można tej ważnej pracy powierzać dobrym chęciom, a nawet prawdziwym i szczerym potrzebom intelektualnym; trzeba natomiast stwarzać samemu sobie takie sytuacje i podejmować takie obowiązki, które konkretnie z m u s z a j ą do pogłębiania wiedzy i świadomości ideologicznej. Lektura klasyków marksizmu jest konieczna, lecz te studia wówczas dopiero spełnią swoją rolę, jeśli wiązać się będą z konkretną działalnością lub konkretną potrzebą omówienia tego, czy innego zagadnienia. Cóż z tego, że przeczytam całego Lenina i Stalina, jeśli nie będę się umiał nimi posłużyć przy omówieniu na przykład: zagadnienia sojuszu robotniczo - chłopskiego? Korzyść w podobnym wypadku wydaje się dość względna. Natomiast na pewno zyskam bardzo wiele, jeśli chcąc jako pisarz zabrać głos w kwestii sojuszu robotniczo-chłopskiego i orientując się w realiach tego problemu u nas dzisiaj, sięgnę do pism Lenina i Stalina, aby dokładnie poznać, co oni na podstawie doświadczeń radzieckich mówią w tej sprawie.

A czyż możemy mieć zaufanie do pisarza, który bierze pióro do ręki nie po to, żeby wzbogacać własną świadomość i rzemiosło, lecz w tym tylko celu, aby odcinać kupony od swojej dotychczasowej wiedzy i ciągnąć za uszy rzemiosło już osiągnięte? Cóż za nędza zostać naśladowcą i epigonem samego siebie! A zdarzają się przecież twórcy, którzy uznawszy siebie za dojrzałych, za cnotę poczytują sobie własną niezmienność. Pomyślcie, czy nie jest przerażającym zjawiskiem pisarz, który dzisiaj myśli tak samo, jak przed laty pięcioma i za lat pięć będzie myśleć to samo, co dzisiaj?

Dzięki czemu jednak możemy się stać w roku pięćdziesiątym drugim artystą tego właśnie roku, a w roku pięćdziesiątym siódmym pisarzem ukończonego Planu Sześcioletniego? Tylko dzięki naszej wiedzy ideologicznej tak pogłębianej i tak stale stosowanej w pracy, abyśmy poprzez naszą świadomość oraz celność wartościowania potrafili mówiąc słowami Gorkiego „wynaleźć sposób wydobycia z danej rzeczywistości jej idei przewodnich i ucieleśnić je w obraz".

5.

Dwudziestego drugiego kwietnia 1912 roku, w pierwszym numerze bolszewickiej „Prawdy", Józef Stalin zachęcając robotników do czynnego współudziału w redagowaniu gazety tak powiedział:

„Niechaj robotnicy nie mówią, że „nie przywykli" do pisania; robotnicy - literaci nie spadają gotowi z nieba, wyrabiają się powoli, w toku pracy publicystycznej. Należy tylko odważniej brać się do dzieła: ze dwa razy się potkniesz, a później nauczysz się pisać... A więc energiczniej do pracy!".

Te słowa sprzed lat czterdziestu zwrócone były ku ludziom nie tylko nieobeznanym z formami publicystyki, lecz i w szerszym pojęciu tego słowa nie nawykłym do pisania. Stalin odwołał się wówczas nie do ludzkiej umiejętności, lecz do ludzkiej świadomości. I jeśli słuszność tego apelu potwierdzona wieloletnim doświadczeniem ludzi radzieckich sprawdza się dzisiaj każdego dnia i u nas na przykładzie tysięcy korespondentów terenowych, to również — jak się wydaje — w odniesieniu do pisarzy owe słowa Stalina zachowują swoją twórczą przydatność.

Doświadczenia powieściopisarza zarówno dzięki osiągnięciom, jak i błędom i klęskom składają się na pewną sumę wiedzy pisarskiej o gatunku powieściowym. Pisarz wciąż się uczy, a im szerszy zakres wiedzy posiada, im głębiej wnika w sztukę własną i w ogóle w sztukę, tym rozleglejsze przed jego świadomością otwierają się perspektywy i tym jaśniej ogarnia ogrom wysiłku, na jaki musi się jeszcze zdobyć, aby owe ogromne horyzonty rozpoznać i wypełnić żywą treścią.

Z publicystyką i z uprawianiem jej form nie dzieje się inaczej. W tej dziedzinie podobnie jak w sferze poezji, dramatu czy powieści również w świadomości pisarza kształtuje się powoli pewna suma doświadczeń i wiedzy, a im te doświadczenia są bogatsze, zaś wiedza gruntowniejsza — tym pisarz jaśniej zdaje sobie sprawę, że i tutaj jego wysiłkowi intelektualnemu towarzyszyć musi ambicja artystyczna równa tej, która służy formom wielkim. Wydaje mi się, że zawsze jest rozsądniej mówić o sobie bez względu na dotychczasowy dorobek: staję się powieściopisarzem — niż: jestem powieściopisarzem. Również: staję się publicystą — a nie: jestem publicystą. Wiele godzin gorzkiej rozpaczy musi nieraz zaznać pisarz, gdy uświadamia sobie własne braki i widzi, że albo obraz rzeczywistości źle zarysował, albo słowo go zawiodło. Lecz jednocześnie cóż za przejmujący dreszcz wzruszenia, gdy kładąc ostatnią kropkę w powieści, artykule czy felietonie czuje pisarz całym sobą, że jakkolwiek nie osiągnął był, czego pragnął i co sobie zamierzył, przecież na kształt czystego źródła pulsuje w nim radosna nadzieja, prawie pewność, że znów biorąc pióro do ręki — lepiej podoła zadaniu, ponieważ dopiero odkrywszy błąd zrozumiał jak go uniknąć.

Jasną jest dla mnie rzeczą, że spośród kilkudziesięciu felietonów, które napisałem, jedne udatniej wyrażają myśl polityczną, drugie, zwłaszcza początkowe, spełniają to zadanie słabiej. Czasem udało mi się — jak odnoszę wrażenie — nasycić myśl polityczną takim ładunkiem intelektualnym, iż jego napięcie i ciężar zrodziły świeżość formy, to znaczy powołały słowa, które żyją rzeczywistością ideową i artystyczną. W innych wypadkach, gdy wysiłek umysłu pisarza ograniczył się tylko do wykładu politycznych faktów lub do ich możliwie jak najjaśniejszego uporządkowania — również i słowo zatraciło odkrywczość artystyczną, ograniczając swoją rolę do poprawnego wypowiedzenia poprawnych stwierdzeń i sformułowań.

Każdego tygodnia ubiegłego roku miałem możność niezmiennie się przekonywać, że tylko odwaga myśli, jej celność i odkrywczość mogą się stać źródłem piękna sztuki. Że osiągnąć to piękno dlatego jest tak trudno, ponieważ wyzwala je spod pióra pisarza rzecz na świecie najtrudniejsza i jednocześnie godna jak najgorętszej miłości: właśnie twórcza ludzka myśl. Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, że odważna i celna myśl niby pałeczka magiczna w rękach czarodzieja samorzutnie wyczarowuje piękno sztuki. Chciałbym tylko powiedzieć, że jeśli „wyczarowuje" cokolwiek, to jedynie w a r u n k i dla rozwinięcia się piękna. Lecz czyż nie jest to dość wiele, aby w hierarchii elementów składających się na dzieło sztuki właśnie odważnej, postępowej i odkrywczej myśli ludzkiej przyznać pierwszeństwo?

6.

Cechą książek o wyraźnym obliczu jest to, że adresat, do którego się zwracają, również jest wyraźny. Do jakich zatem czytelników zwracają się stronice moich artykułów? Przede wszystkim do ludzi o obliczach wyraźnych.

W walce, jaką wypada nam toczyć ze wstecznictwem własnym i z wpływami reakcji obcej, nigdy nie dosyć mówić o tej walce i stale określać i wartościować zarówno pozycje swoje, jak wrogie. Również budując nowy dom trzeba określać i wartościować każdy element budowy, każdy jej etap, każde ważne osiągnięcie i także trudności ujawniające się w trakcie budowy.

Do kogóż jeśli nie do pisarzy należy w tej mierze składanie raportów? Do nich również należy wysiłek rozpoznawczy i proponowanie stwierdzeń i ocen. Pisarz wreszcie powinien być tym, który utrwalając zagadnienia chwili, tworzy niejako „zaplecze" dla zagadnień nowych. A utrwalanie podobnego „zaplecza" wydaje się u nas szczególnie potrzebne, wciąż jeszcze bowiem w naszej świadomości pokutują ślady starego i fałszywego rozumienia pojęcia aktualności. Czy nie zdarza się u nas nawet w pracy partyjnej, że w rozumieniu niektórych członków partii uchwały np. III Plenum „dezaktualizują się" dzięki wytycznym Plenum następnego? Czy w wielu dziedzinach naszego życia nie możemy zaobserwować podobnej „dezaktualizacji" spraw i zagadnień wczorajszych na korzyść żywiołowego podejmowania spraw i zagadnień dzisiejszych?

W zrozumiałym interesie rządów ucisku i wyzysku leżało i nadal leży omamianie i oczadzanie umysłów coraz to nowymi sensacjami dnia zazwyczaj rozmijającymi się z prawdą o tym dniu i mówiącymi o nim równie niewiele, jak o naszej np. rzeczywistości przedwojennej niewiele mówił słynny w swoim czasie i rozdmuchany do rozmiarów epokowego wydarzenia proces Gorgonowej. Prasa kapitalistyczna dostarcza nam w tym względzie aż nadto licznych i jaskrawych przykładów. Stąd i pogoń ginącego świata za aktualnością noszącą stempel ostatniego dnia; żałosna pogoń krótkowidzów, którzy widzą nie dalej niż na wyciągnięcie ramienia i nigdy się za siebie nie oglądają.

Jesteśmy — zresztą nie od dzisiaj—świadkami masowej i zbrodniczej kastracji dokonywanej pod rządami kapitału na ludzkich umysłach. Bo czyż można inaczej niż kastracją umysłów nazwać owe perfidne metody, które przy pomocy propagandy wszelkiego rodzaju i również przy współudziale sztuki kierują swe wysiłki ku temu, aby umysł człowieka reagował tylko na chwilę bieżącą, na moment krótki jak fajerwerk, zatracając jednocześnie powoli potrzebę i umiejętność łączenia faktów w logiczną całość przyczyn i skutków? Człowiek z podobnie okaleczonym umysłem przestaje istnieć w świecie obiektywnym, żyje bowiem rzeczywistością cienką jak skrzydełko motyla i na tej wątłej warstewce opiera swoje istnienie, jakże niepewne i chwiejne, jak strasznie ubogie! Ludzie, którzy oślepli, nie widzą wprawdzie świata, lecz mogą wiedzieć, że świat istnieje. Natomiast ludzie o umyśle ślepym nie tylko świata nie widzą, lecz i nic o nim nie wiedzą.

Rzecz jasna, że obyczaj podawania rzeczywistości w charakterze „skrzydełka motyla" jest jak najbardziej obcy naszej ideologii. W naszym rozumieniu doświadczenia roku pięćdziesiątego drugiego ani trochę nie dezaktualizują doświadczeń lat poprzednich, ponieważ z nich wynikają, na nich są oparte i jeśli się rzeczywiście chce rozumieć i wartościować to, co jest dzisiaj — trzeba rozumieć i wartościować, a więc pamiętać to, co było wczoraj. Nasz poniedziałek nie przekreśla niedzieli. Przeciwnie: nasz poniedziałek wznosi się nie tylko na niedzieli, lecz i na dniach, tygodniach i latach poprzednich. Nasz wysiłek zmierza ku temu, aby ogarnąć umysłem możliwie najpełniejszy zakres świata. Nie wystarcza nam „skrzydełko motyla". Chcemy mocną ziemię czuć pod stopami. Idąc naprzód uczymy się sięgać wzrokiem jak najdalej, lecz nie tracimy z oczu, a potem z pamięci krajobrazów pozostawionych w tyle.

Cóż więc w związku z tą potrzebą nowej ludzkiej świadomości i z koniecznością przezwyciężania starych nawyków powiedzieć o roli pisarza? To chyba, że na pisarzu już choćby dlatego, że posługuje się słowem pisanym, spoczywa szczególny obowiązek utrwalania przemijających spraw i wydarzeń, z tym jednak równym tamtemu obowiązkiem, aby powierzchownością oceny i pusto brzmiącym frazesem nie uśmiercał żywego nurtu dziejów. Naród nasz po raz pierwszy w dziejach poczyna świadomie kształtować własną historię. Trzeba mu w tym dopomagać. Tym zaś celniej możemy wytyczać nowe drogi, im dokładniej znamy już przebyte.

Jeśli więc pisarz ma być ową, jak poeta powiedział „arką przymierza między dawnymi i młodszymi laty", to niechże nie mierzy rozpiętości swej „arki" tylko długością lat i nie sądzi, że tylko do wznoszenia ogromnych łuków pomiędzy wiekami jest powołany. Przeciwnie: niech stara się wznosić swoją „arkę" również pomiędzy dniem i dniem, pomiędzy jednym rokiem i drugim, ponieważ takie właśnie mostki są nam również jak najbardziej potrzebne, a nawet niezbędne.

7.

Myślę, że im więcej człowiek ludziom zawdzięcza, im większej od nich pomocy zaznał, tym silniej poczyna odczuwać potrzebę, a nawet konieczność służenia z kolei doświadczeniami własnymi. I tutaj czuję się w obowiązku podkreślić twórczą rolę, jaką w pracy publicystycznej spełnia dobrze pracujący kolektyw redakcyjny. Wszystkie moje felietony z wyjątkiem trzech, czy czterech ukazywały się na łamach dodatku kulturalnego do „Głosu Szczecińskiego". Ostatnie ukazywały się jednocześnie w podobnych dodatkach do partyjnych dzienników kilku innych miast wojewódzkich.

Otóż nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że bez pomocy redakcyjnego kolektywu „prowincjonalnej" gazety trudności moje jako politycznego felietonisty byłyby ogromną górą w stosunku do wyniosłości, jakie w rzeczywistości musiałem pokonywać. Wydaje mi się, że jest coś starczego w nieraz jeszcze u nas spotykanej „ambicji" pisarskiej, głuchej na wszelką inspirację z zewnątrz i pielęgnującej w artyście niewolnicze przywiązanie do każdego napisanego przezeń słowa. Myślę, że taka „ambicja" jest głupią ambicją i jałową. Że właśnie pisarz powinien być na inspirację z zewnątrz jak najbardziej otwarty, a przywiązania do swojej sztuki nie powinien utożsamiać z fałszywie rozumianym poczuciem „własności" i ze ślepym zakochaniem się w swoich słowach. Muszę wyznać, że mojej „ambicji" pisarskiej w niczym nie uraża fakt, że niejeden z tematów niniejszych felietonów pochodzi nie ode mnie, lecz właśnie od redakcyjnego kolektywu, a również niejeden z moich własnych pomysłów był w trakcie kolektywnej dyskusji uzupełniony i pogłębiony.

Wydaje mi się, że o im silniejszy kolektyw wspiera się praca pisarza, tym lepiej i dla pisarza, i dla jego sztuki. Tylko skąpcy i ciaśni, próżni egoiści lękają się jawnego zaciągania długów.

Skoro jednak w naszych masach pracujących coraz wyraźniej poczyna się kształtować nowy socjalistyczny stosunek do pracy i do roli kolektywu — czas, aby i pisarze nie pozostając w tyle za najlepszymi przodownikami i racjonalizatorami wymietli ze swojej świadomości resztki antyhumanistycznego, jałowego indywidualizmu. Myślę, że i w tej dziedzinie, jak w wielu innych, zaangażowanie się pisarza w publicystykę dopomaga mu w skruszeniu starych oporów i wynaturzeń, oraz przyspiesza zrozumienie nowego stylu pracy i istoty indywidualizmu naprawdę humanistycznego.

Krótko więc całę tę dość obszerną „pochwałę" podsumowując: chwalę „skrobanie kartofli", ponieważ „kartofle" są potrzebne i trzeba „skrobać kartofle". A również i za to chwalę „skrobanie kartofli", że uczy się przy nim pisarz nieporównanie więcej, niż może przypuszczać zabierając się do tej roboty. I to wszystko.

Jerzy Andrzejewski.

STANISŁAW KAMIŃSKI

POZDROWIENIE O ZMIERZCHU

Jest zmierzch jesienny
i liście kasztanu
z poświstem wiatr strąca na ziemię,
gdy myślą z Poznania na biały Muranów
przepływam i błądzę po M. D. M-ie.

A błądzę, bo znałem rok temu te gruzy
i zwały rumowisk zwęglone,
gdzie dziś pogodnieje
jak niebo po burzy —
wiecha zatknięta nad domem.

Tam jutro przed nocą
w okiennych kwadratach
różowiąc się światło zabłyśnie —
i próżno bym szukał tej wiechy, gdy wracam
z wędrówki przez szare Powiśle.

I u nas dni nigdy nie będą smutniejsze
od waszych — twórczej radości,
co wzwyż nad Warszawą się piętrzy
i z ruin strzelistą budowę podnosi
pod błękit nieba napięty.

To prawda, że u nas nie ma kolumny,
za którą wśród obcych tak tęsknił Słowacki,
lecz serca napawa radością i dumą
— jak wasze —
dzień każdy gorący od pracy.

Poznań 1951 r.

ANNA SEGHERS

O LITERATURZE

LIST Z CHIN

Kochany Przyjacielu!

Na znaczku pocztowym tego listu widzisz fotografię człowieka, który nazywa się Lu Sün. Bywa nazywany Gorkim Chin. Umarł w tym roku, w którym wybuchła wojna między Chinami i Japonią. Pismo na znaczku wykłada się mniej więcej tak:

„Z gniewem wpatruje się w swych wrogów, nienawistnie wyciągających palce wskazujące.

Z własnej woli przyjmuje na siebie brzemię, jak gdyby służył swemu dziecku za bawołu."

Jeden z przyjaciół zmarłego opowiadał mi, że Mao Tse-tung szczególnie lubuje się w tych wierszach.

Pamiętaj, że bawół w Chinach jest wodnym bawołem chłopów, potężnym lecz łagodnym zwierzęciem. Znamy go z opowiadań i obrazków. Ucieszyłam się, gdym go po raz pierwszy ujrzała z bliska. Leżał przed wsią, jak gdyby wczoraj przybył tu z pradawnych czasów, a jednocześnie wzbudzał tyle ufności w swą niewzruszoną siłę, jak gdyby idące w głąb tysiącleci oswajanie go dokonało się z dnia na dzień. Tupotało wokół niego dziecko, on patrzył spokojnie.

Radośnie i ochotnie przyjmowanym brzemieniem, którego ciężar czujesz tak mało, jak bawół czuje wagę dziecka, jest właśnie lud.

Lu Sün stał na czele ruchu z 4 maja 1919 r. Chińczycy podkreślali tę datę, gdy informowali nas o rozwoju swej literatury nowoczesnej. Albowiem tego dnia młoda inteligencja, która społecznie wyrosła przeważnie z drobnomieszczaństwa — studenci, nauczyciele, dziennikarze — masowo demonstrując, wtargnęła w życie narodu.

Do tego momentu sztuka i literatura chińska była w swej treści i formie feudalna. Była niezrozumiała dla ludu, za wysoko wznosiły się bariery między myśleniem i bytowaniem ludu a życiem cienkiej warstwy górnej. Od przewrotu z 4 maja 1919 r. usiłowali najlepsi pisarze chińscy wypowiadać się w języku mas. Ich zerwanie ze starą formą nie było czymś „formalnym", była to demonstracja na ulicy i na papierze, było to prawdziwe zerwanie z feudalizmem i nowoczesnym kapitalizmem, z którym się feudalizm stowarzyszył. Feudalizm i kapitalizm przeszły do wściekłego przeciwnatarcia.

Lu Sün cieszył się miłością młodej inteligencji swojego kraju. Czczono go w całej Azji. Spotykał się z nim Rabindranath Tagore. Przetłumaczono go na języki europejskie. On sam mówił obcymi językami. Korespondował z Leninem i Gorkim. Jego sława była zbyt ugruntowana, żeby Czang Kai-szek ośmielił się go uwięzić. Gdy sytuacja w Chinach zaostrzała się coraz bardziej — Japonia zajęła Szanghaj i Mandżurię, a Czang Kai-szek, zamiast walczyć z nieprzyjacielem zewnętrznym, prześladował w kraju komunistów — Lu Sün zerwał ze studiami i dotychczasowymi pracami. Wymyślił sobie nową formę, aby wyrazić to, co wydało mu się najważniejsze. Napisał szereg krótkich, ostrych swego rodzaju essayów politycznych. Wychodził w nich z wydarzeń dnia. Atakował feudalizm i imperializm. Demaskował agentów Kuomintangu. Myślę, że wkrótce przetłumaczą nam i skomentują te essaye, które już ukazały się po rosyjsku.

„Jak nasz przewodniczący Mao Tse-tung oświadczył w roku 1942 na zjeździe w Jenanie..." Ta wskazówka pojawiała się raz po raz w cierpliwych odpowiedziach, których nam artyści chińscy udzielali na setki pytań. Cóż to były za pytania? No, takie jakie ty sam stawiasz. Takie, jakie każdy porwany swym zawodem artysta stawia nieustannie we wszystkich krajach. Pytania zaś mają szczególne znaczenie w demokratycznych krajach między Łabą a Oceanem Spokojnym. Nie dlatego, by gdzie indziej były mniej poważne, ale dlatego, że tu trafna odpowiedź przejawia się natychmiast w działaniu tysiąca procesów pracy, we wszystkich dziedzinach życia. Bo tu każda artystycznie wyrażona myśl przyjmuje się natychmiast wśród milionów, świadomie lub nieświadomie określając ich myślenie i działanie. Co to oznacza, mogłeś wyrobić sobie pojęcie w czasie swej wizyty u nas. Simonow powiedział tu raz w jednym ze swych odczytów: „Fakt, że dzieło sztuki przyjmowane jest przez miliony, stawia przed nami całkowicie nowe zagadnienia artystyczne". (Miał tu na myśli nie tylko zagadnienia polityczne, bo to byłoby samo przez się zrozumiałe, a również zagadnienia wyrazu artystycznego, zagadnienia formy).

Co się w tym mieści, że przeważająca część narodu, składającego się z 475 milionów od dwu lat uczy się czytać i pisać, da się tu na miejscu jako tako zrozumieć. Mówię „jako tako", bo nie byłoby prawdą, gdybyśmy utrzymywali, że — kiedy rozumiemy ustawę — jest dla nas rzeczą w pełni jasną, co się rozgrywa w ludziach. Kto widział młode i pomarszczone twarze uczniów, którzy po pracy idą do szkoły roztąsowanej na ulicy, kto widział „małych nauczycieli", którzy uczą starych chłopów we wsi, kto widział mądrą i trochę uroczystą twarz byłego kulisa, który sobie z zarobku po raz pierwszy kupuje książkę, ten wie, że powstaje w nich coś olbrzymiego. Ileż trzeba było krwi i ofiarności, ileż mądrości i nieomylnych rozstrzygnięć, aby kulis mógł wreszcie pójść do szkoły! Kiedy nie szczędzi trudu, potrzeba mu trzech do sześciu miesięcy studium, aby zrozumiał prosty tekst. Są już gazety chłopskie i proste czytanki, opracowane przy użyciu możliwie najmniejszej ilości znaków graficznych.

Ze znajomością pisma otwiera się przed byłym kulisem treść, arystycznie wyrażona myśl, odtworzony, skondensowany świat. Im większa ogarnia cię miłość do sztuki, tym lepiej wiesz, że to jest coś olbrzymiego. Jakież możliwości nastręczają się artyście i jakaż staje przed nim odpowiedzialność! Taki kulis oczekuje od pisarza nie tylko tego, czego oczekuje młodzież wszystkich narodów: rady, pomocy, umocnienia na ciężkiej drodze. Po stuleciach nędzy i przymusowej niewiedzy spodziewa się o wiele więcej i jego oczekiwanie jest bardziej niecierpliwe.

Mnie samej mowa Mao Tse-tunga bardzo w wielu rzeczach pomogła, gdy przed kilkoma laty dano mi ją do przeczytania za granicą. Pomogła mi nie tylko zrozumieć wiele błędów, które popełniłam, ale i uniknąć błędów, które mogę znowu popełnić i prawdopodobnie w jakiejś części wciąż popełniam. Gdy rozpowszechnia się u nas po niemiecku mowę jenańską, wymaga ona wstępu napisanego przez człowieka, który potrafi ją bardzo dobrze interpretować. Jak istnieje różnica między niewolniczym, czysto mechanicznym tłumaczeniem a przekładem rozumnym, tak nie można również nauk jenańskich zastosować wprost do naszej sytuacji. Należy je tłumaczyć stosownie do sensu. Tu ludzie już dawno, w środowisku wysoko rozwiniętego kapitalizmu, nauczyli się czytać i pisać, podlegali ośmioletniemu obowiązkowi szkolnemu. A mimo to wielu pisarzy i wiele książek pozostających na służbie imperializmu pomogło ludziom przysposobić się do znanych nam wydarzeń: do hitlerowskiego faszyzmu i do wojny.

Zadasz mi chyba pytanie: jakże pomogła ci mowa, którą Mao Tse-tung wygłosił przed dziesięcioma laty?

W mowie tej pojawiła się znikoma ilość „izmów", które u nas odgrywają wielką rolę. Niewiele tu było mowy o formalizmie i innych tego rodzaju pojęciach. Pytania, które skierowano do artysty, brzmią w pierwszym rzędzie tak: dla kogo piszesz? I: kim jesteś sam?

„Punktem wyjściowym naszej dyskusji na temat zagadnień muszą być rzeczywiste stosunki, a nie definicje".

W tym czasie, gdy Mao Tse-tung wygłaszał swą mowę, artyści przybywali ze sfer mieszczańskich, przede wszystkim z drobnomieszczaństwa, skoro na zasadzie wykształcenia nie mogło być inaczej. Ich odbiorcami byli ci wszyscy, którzy zdecydowali się stawić opór imperializmowi japońskiemu. Przede wszystkim robotnicy, chłopi i żołnierze. Duża część drobnomieszczaństwa, również burżuazja narodowa. Widzisz już na podstawie tego komentarza, gdzie znajdujemy paralele do naszej sytuacji.

Myślimy prawdopodobnie tak, jak myśleli słuchacze jenańscy sprzed dziesięciu lat: jest dla nas rzeczą najzupełniej jasną, jakiemu celowi i jakim ludziom służymy swoim pisarstwem. Jednakże dopiero wtedy, gdy jesteśmy zmuszeni jeszcze raz rozwinąć to zagadnienie i jeszcze raz dokładnie je rozwiązać, rozumiemy również inne zagadnienia, które zeń wynikają. Nie mogę ci tu streszczać mowy Mao Tse-tunga. Musisz ją przeczytać. Znajdziesz w niej odpowiedzi na pytania, z którymi stykamy się co dzień.

Jaki istnieje związek między rozpowszechnianiem poziomu i jego podwyższeniem? Obydwie te sprawy pozostają z sobą w ścisłym związku, chociaż sprawa rozpowszechnienia jest bezpośrednią koniecznością. Nie ma również jakiegoś „albo-albo", jest natomiast ścisły związek między treścią i formą dzieła sztuki. Prawidłowa treść jest czymś pierwotnym. Jednakże bez formy, która odpowiada treści, nie powstanie żadne prawdziwe dzieło sztuki. I Mao Tse-tung szczegółowo bada, na czym polegają błędy, gdy nawet w wypadku logicznie prawidłowej treści dzieło sztuki nie potrafi oddziaływać.

Ten sam związek występuje przy rozstrzyganiu problemu: literatura klasyczna i literatura „nieociosana", problemu literatury młodej, początkującej, właśnie „nieociosanej", jak bywa nazywana. Gdzie pobiera naukę pisarz? W życiu, w którego walkach bierze czynny udział. Nie tylko na szlakach życia i nie tylko jako obserwator — co za każdym razem można w danym dziele sztuki rozpoznać — ale dzięki temu, że identyfikuje samego siebie z walkami. Jakże można by sobie w innym wypadku wyobrazić powstanie wielkich dzieł literatury radzieckiej? Pisarz uczy się tam, gdzie może się uczyć: poznając dzieła sztuki europejskiej i własne dziedzictwo kulturalne. Ale klasycy nie są takim „źródłem" jak życie i literatura „nieociosana", która w stanie surowym i czystym wywodzi się z procesów pracy. Klasyków można raczej porównać z „prądem" niż ze „źródłem". Pisarz nie stosuje się do nich mechanicznie, ale przyjmuje ich z krytycyzmem.

Opowiadali nam nasi chińscy przyjaciele - pisarze: „Bywaliśmy wszędzie. Braliśmy udział w wojnie z Japonią. Pracujemy przy reformie rolnej. Na placach wiejskich, gdzie pouczamy chłopów. Z urzędnikami przy biurkach. Pomagamy przy ujmowaniu rzek w wały. Udajemy się jako ochotnicy do Korei."

Jest tak, że rząd nie tylko troszczy się o pisarzy, ale śledzi dokładnie ich pracę. Mao Tse-tung przeczytał w dzienniku artykuł i zawezwał pisarza do siebie na następny dzień. Jeden z ministrów znalazł w pewnej noweli miejsca, które poruszyły go i wprawiły w podziw, tak że zapragnął porozmawiać na ten temat z pisarzem. I tak się zdarzyło, że członkowie naszego rządu zwrócili uwagę na pewne książki, które krytyka omówiła tylko powierzchownie.

W naszych rozmowach doszliśmy do pojęcia „formalizm". Jak to się może stać, że dzieło sztuki pozbywa się swej rzeczywistej treści? Jak gdyby się „odtreściowuje"? Że forma przestaje być wyrazem treści? Dlaczego pustoszeje świat burżuja, dlaczego bezprzedmiotowość, abstrakcja może być korzystna dla imperializmu, który boi się nowej treści?

Był tu w rozmowie z chińskimi przyjaciółmi pewien punkt, który — jak sądzę — jest dla nas nie dość wyczerpany.

„Formalizm może powstać i wtedy, gdy ktoś opanował stronę techniczną swego zawodu, ale nie zdobył w tej samej mierze doświadczenia życiowego. Życie zmienia się nieustannie. Pisarz wyraża opanowanymi dotychczas środkami wciąż to samo. Ale to samo nie jest już tym samym. Albowiem zmieniło się życie. Wprawdzie używa prawidłowych pojęć. Ale nie pojmuje już, jak je należy zastosować na nowo do rzeczywistości, która się zmieniła. Nie przeżył sam życia, które ma przedstawić".

W „Nouvelle critique" wyczytałam zdanie: „Formalizm wygnany drzwiami powraca znowu oknem".

Myślę, że towarzysz z Francji doszedł do tego samego wniosku ostatecznego.

Nawiązując do mowy Mao Tse-tunga przyjaciele chińscy mówili:

„Jak dochodzimy do prawidłowej metody"?

Drogą doświadczenia życiowego. To znaczy — biorąc udział w walkach ludu, a więc przez właściwe współdziałanie, nie tylko przez obserwację. — Drogą prawidłowego myślenia, to znaczy — przez prawidłową analizę. wtedy — bogaci w doświadczenie i dojrzali w doświadczeniu — możemy za każdym razem wybrać najważniejszy temat i odpowiedzieć na zawarte w nim pytania. — Drogą dobrej, techniczno-fachowej wiedzy. — Drogą gruntownego studium zarówno nauki marksistowskiej, jak i wytworów kultury naszego narodu oraz kultury innych narodów, a w szczególności narodu radzieckiego.

Nasza Republika Ludowa jest jeszcze bardzo młoda. Ona wzrasta nieustannie i my nieustannie wzrastamy.

Historia literatury i sztuki chińskiej ma za sobą przeszło dwa tysiące lat. Gdy ją poznano, poruszyła artystów całego świata. Mowa jenańska ma olbrzymie znaczenie nie tylko dla artystów chińskich. Ten sam człowiek, który jest upostaciowaniem siły, co wyzwoliła jego naród, pokazał pisarzom ich zadania w walce wyzwoleńczej.

Przełożył **Adolf Sowiński**

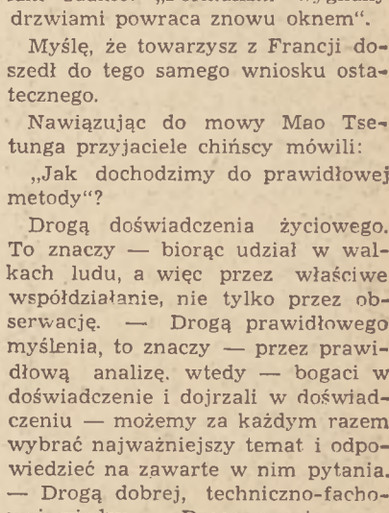

Anna Seghers

Rys. Kuo Czuin

Nauka

EGON NAGANOWSKI

DROGA PISARSKA ANNY SEGHERS

I

Anna Seghers już pierwszą swą książką, wydanym w r. 1923 „Buntem rybaków z Santa Barbara"[1]) (pisarka miała wówczas 28 lat), stanęła po stronie wyzyskiwanego i uciskanego ludu. I choć opowiadanie to nie wyszło bynajmniej spod pióra świadomej bojowniczki o prawa i wyzwolenie proletariatu, to jednak przyszła droga autorki rysuje się w nim wyraźnie.

Aby należycie ocenić „Bunt rybaków w Santa Barbara" trzeba sobie zdać sprawę, że Anna Seghers, pochodząc ze środowiska mieszczańskiego, zbliżyła się wprawdzie wcześnie, jeszcze podczas studiów, do ruchu robotniczego i utrzymywała żywy kontakt z komunistycznymi emigrantami z różnych krajów, lecz jednocześnie pod względem artystycznym pozostawała pod wpływem estetyzujących prądów literackich z końca lat dwudziestych. Wśród tych prądów wielu postępowych a nawet proletariackich pisarzy (J. R. Becher, Fryderyk Wolf i inni) z trudem odnajdywało właściwą drogę.

Wracając do „Buntu" można łatwo stwierdzić, jak częściowe poddanie się pisarki zgubnej modzie literackiej osłabiło społeczną wymowę obranego tematu, jak zatarło ostrość postawionego problemu. Anna Seghers bowiem zawiesiła bunt rybaków przeciwko kapitalistycznemu wyzyskowi potężnego Towarzystwa Okrętowego w geograficznej, czasowej i politycznej próżni. Rzecz dzieje się wszędzie i nigdzie. Nie wiemy, kim jest i co reprezentuje Jan Hull, główna postać opowiadania i przywódca akcji strajkowej, który tropiony listami gończymi zjawia się w osadzie niby romantyczny bohater i działa z niewiadomo jakich pobudek — pominąwszy instynktowne poczucie solidarności z uciskanymi biedakami. Raz postępuje rozsądnie i celowo, to znów powodują nim nieświadome czy na wpół tylko świadome impulsy i odruchy, pada ofiarą niejasnych wątpliwości, ogarnia go strach, „jaki nieszczęście samo rzuca na człowieka, gdy jest tak blisko, że można je dotknąć ręką", wreszcie zaś z fatalistyczną determinacją męczennika składa niepotrzebną ofiarę ze swej wolności a może życia, oddając się nieledwie sam w ręce żołnierzy. Małomówni zaś i ociężali rybacy i marynarze, borykający się z biedą i morzem, głodne kobiety i dzieci, wiatr, mgła i słone powietrze skalistego wybrzeża, osada z karczmą, miejscem wspólnych narad i wspólnego milczenia, życie prymitywne, sprowadzone do kilku elementów, wszystko to jako całość wywiera wrażenie stylizowanej sagi.

A jednak w „Buncie rybaków" tkwi mocny realistyczny rdzeń. Strajk, jeden z wczesnych, żywiołowych strajków o podłożu wyłącznie ekonomicznym, ma przebieg typowy. Autorka umiała trafnie uchwycić mechanizm opisywanych zdarzeń, wszystkie etapy narastania buntu, jego punkt szczytowy a potem tragiczne przesilenie, gdy rybacy osaczeni przez głód, przebiegłą politykę Towarzystwa Okrętowego, zdradę towarzyszy z pobliskich osad a w końcu przemoc wojskową, musieli skapitulować i podjąć pracę na dawnych warunkach. Ważnym osiągnięciem debiutu Seghers jest też fakt, że nieudany bunt nie rozpłynął się w nicości, bo jego duch nadal „unosił się nad pustym, białym rynkiem i nie pozwalał zapomnieć o tych, których zrodził, wychował i przygotował do walki o ich własne dobro". Oto jedno ze zdań, którymi opowiadanie wybiega poza swój pesymizm w przyszłość. W przyszłość realistycznego talentu autorki wskazuje również plastyczny rysunek niektórych ludowych postaci, przypominających obrazy Kathe Kollwitz, dalej wierne odmalowanie szczegółów z codziennego ciężkiego życia rybaków, dramatyczne, przekonywające rozegranie niektórych scen, szczególnie sceny starcia strajkujących z żołnierzami, wreszcie zaś jędrny, oszczędny a przy tym bogaty język, język szkolony na najlepszych wzorach wielkiej, realistycznej literatury niemieckiej.

„Bunt rybaków z Santa Barbara" jest reprezentacyjny dla pierwszych lat twórczości Anny Seghers. Podobny charakter posiada tom jeszcze bardziej przepojonych psychologizmem, w większości przed „Buntem" pisanych opowiadań pt. „W drodze do poselstwa amerykańskiego" (1930), z których jedynie ostatnie, „Chłopi z Hruszowa", odbija od całości jasnym, realistycznym stylem i zdecydowaną, proletariacką tematyką, zapowiadającą „Towarzyszy". Widać, że w autorce dokonała się wielka przemiana, zacieśnił się kontakt z rewolucyjnym ruchem robotniczym. „Chłopi z Hruszowa", wsi położonej na Rusi Zakarpackiej, walczą już nie o poprawę bytu w ramach kapitalistycznego społeczeństwa, lecz o urzeczywistnienie idei komunizmu, przeciwko wzrastającej w siły kontrrewolucji (rzecz dzieje się w roku 1920). W ten sposób Seghers pośrednio nawiązała do sytuacji w Niemczech, gdzie rozwój wypadków nabierał coraz bardziej dramatycznych i tragicznych akcentów. Zaostrzył się kryzys, mnożyły się strajki, rosło niezadowolenie mas, z dnia na dzień bezkarniej poczynali sobie faszystowscy bojówkarze i demagodzy, finansowani przez rodzimy i obcy kapitał, a zwalczani zdecydowanie tylko przez komunistów, podczas gdy socjaldemokraci, ściślej socjaldemokratyczni przywódcy, polityką zdrady rozbijali jedność klasy robotniczej i doprowadzili do sromotnej, samobójczej kapitulacji przed Hitlerem. Wielu zaś przeciętnych, „apolitycznych" obywateli niemieckich absolutnie nie orientowało się w tym, co się dzieje i na wszelki wypadek chowało głowę w piasek. Dla nich, ale przede wszystkim dla rozbitych politycznie robotników niemieckich Anna Seghers napisała na pięć minut przed dwunastą „Towarzyszy", książkę-apel do proletariackiej solidarności i internacjonalizmu i książkę-ostrzeżenie przed faszyzmem.

Akcja „Towarzyszy" (1932) [2]) rozgrywa się w latach 1920 — 1927 na Węgrzech, w Polsce, we Włoszech, Bułgarii i Chinach oraz na emigracyjnych szlakach między Wiedniem, Berlinem, Paryżem a Londynem. Od upadku węgierskiej Republiki Rad i okrutnej eksterminacji pewnej „czerwonej" wsi gdzieś nad brzegami Cisy — do trzeciego z kolei uwięzienia młodego robotnika Janka w Polsce Piłsudskiego, autorka przenosi czytelnika w coraz to inne miejsce, gdzie walczą, cierpią w kaźniach i giną komunistyczni bojownicy lub czekają na powrót do ojczyzny, borykają się z obcym otoczeniem i samotnością, łamią i znów podnoszą antyfaszystowscy emigranci. A w tle tej trudnej walki, której bohaterami są nie tyle poszczególni ludzie, ile po prostu „towarzysze", anonimowi wobec wspólnej sprawy, wznosi się wielki Kraj Rad, otucha i nadzieja, przykład i wzór. Książka świadczy o wysokim stopniu ideowego zaangażowania się autorki, o jej partyjności w pięknym, leninowskim znaczeniu tego słowa. Dla walki z kontrrewolucją i faszyzmem, dla sprawy komunizmu i internacjonalizmu Seghers każe swym towarzyszom składać szczęście osobiste i rodzinne, zdrowie i życie w ofierze, bo takie jest prawo bezlitosnego boju, toczonego przez proletariat z okrutnym, nie przebierającym w środkach wrogiem klasowym, który we wszystkich krajach, mimo pozornych różnic, jest taki sam.

Wymowę książki Anny Seghers osłabia jednak fakt, że mimo paru świetnych, artystycznie przetrawionych fragmentów oraz kilku wyraziściej narysowanych postaci z epizodyczną zresztą Polką Dąbrowską, pięknym typem matki - proletariuszki na czele, całość powieści cierpi na zbytnią migawkowość, fragmentaryczność, niektóre z równoległych wątków snują się gdzieś na marginesie, a wielu pośpiesznie, chwilami po reportersku naszkicowanych bohaterów wiedzie ułamkowy, anemiczny żywot. Nie ulega jednak wątpliwości, że Anna Seghers uczyniła „Towarzyszami" zdecydowany krok naprzód, a trudności, z którymi nie zdołała się w zupełności uporać, były już trudnościami innego rodzaju, niż przy „Buncie rybaków", były trudnościami, wynikającymi ze zmagania się z wielkim proletariackim tematem i ze znalezieniem dla tego tematu odpowiedniej formy.

Książka o „Towarzyszach", jak powiedzieliśmy, nawiązywała wprawdzie pośrednio do sytuacji w Niemczech, powstała w cieniu groźnych chmur, które zbierały się nad Republiką Weimarską, lecz bezpośrednio z rzeczywistością niemiecką niewiele miała wspólnego. Dopiero zwycięstwo hitlerowskiego barbarzyństwa, konieczność opuszczenia ojczyzny, narzuciły pisarce tematy związane ściśle z tragedią własnego narodu, tematy, które przez kilkanaście lat następnych pochłaniały prawie całą jej uwagę. Jak u wielu postępowych pisarzy emigracyjnych głównym celem Seghers stało się poszukiwanie źródeł katastrofy, rozwiązywanie dręczącej zagadki, jak i dlaczego hitlerowcom udało się otumanić większość narodu, zdobyć i utrzymać władzę, dlaczego antyfaszyści przegrali, czy i jak prowadzili nadal walkę, jaki oddźwięk walka ta wywoływała w szerokich masach itd. Odpowiedzi na te pytania Anna Seghers poświęciła kilka swoich najlepszych dzieł z „Siódmym krzyżem" na czele, zajmując się bądź poszczególnymi warstwami, społecznymi, bądź też całym narodem. Swoją dokumentarną analizę faszyzacji narodu niemieckiego pisarka rozpoczęła od chłopów, którzy wraz z drobnomieszczaństwem stanowili główną ostoję ruchu hitlerowskiego już w okresie przed powstaniem III Rzeszy a w wyborach z r. 1932 przyczynili się walnie do nazistowskich sukcesów. Ustalenie przyczyn tego zjawiska, przedstawienie procesu ulegania pewnej wsi w Nadrenii brunatnej infekcji — oto zasadniczy problem „Listu gończego" [3]), pierwszej książki Anny Seghers, wydanej na emigracji (1933).

Jak wiadomo, hitleryzacja wsi w swym typowym przebiegu obejmowała wieś od góry, od chłopów bogatych lub zamożnych i powoli poprzez średniorolnych docierała do biedniaków. Przy tym zasadniczą rolę odgrywały momenty ekonomiczne. Hitlerowcy, wykorzystując kryzys, spadek cen produktów rolnych i zadłużenie gospodarstw, obiecywali złote góry ze skreśleniem długów i reformą rolną włącznie. Ponadto szafowali hojnie nacjonalistyczną frazeologią i demagogicznie tłumaczyli przyczyny ciężkiego położenia wsi „hańbą Wersalu" i „machinacjami żydów", co u zupełnie niedojrzałych, ślepych pod względem politycznym chłopów również nie przechodziło bez wrażenia. Mimo to niewyrozumowana, instynktowna nieufność chłopów względem krzykliwych agitatorów jeszcze w krytycznym okresie 1932 r. była duża i nawet u tych, którzy głosowali na Hitlera, zupełnie nie zanikła. Niektórzy, szczególnie biedniejsi, nie oddali wtedy głosu na nikogo, protestując w ten bierny i jedynie dostępny dla nich sposób (wybory faktycznie nie były tajne, tam, gdzie nie było nacisku nazistów, był nacisk partii niemiecko-narodowej) przeciw temu, co się działo, a czego ocenić ani pojąć nie umieli

[1]) Anna Seghers: Bunt rybaków w Santa Barbara. Tłum. Z. Petersowa, Warszawa 1950, „Czytelnik", str. 83.

[2]) Anna Seghers: „Towarzysze". Tłum. Wanda Kragen, str. 222 Czytelnik. 1950 r

[3]) Anna Seghers „List gończy", tłum. Wanda Kragen i Juliusz Popławski, str. 174, Czytelnik 1951.

O TRUDZIE ROZNOSZENIA AMUNICJI

(Dokończenie ze str. 1).

tykuł wstępny lub felieton dajmy na to o zalesianiu ugorów, w którym jednak oprócz głównego tematu, powiązanego z Planem 6-letnim i wzorami Związku Radzieckiego publicysta, zgodnie z wolą redaktora, nie omieszkał przypomnieć czytelnikowi wszystkich ostatnio powszechnie omawianych problemów, a więc walki z analfabetyzmem, wojny w Korei, remilitaryzacji Niemiec Zachodnich, zagadnień Chin Ludowych, NRD, amerykańskiej „maszynki do głosowania" w ONZ, Iranu, Egiptu, polityki Watykanu i kontraktacji świń.

Przesadnie opisany tu przykład schematyzmu i sloganowości wymaganej przez niektórych nadgorliwych redaktorów zniechęcić może nawet najbardziej upartego pisarza-publicystę. Niesłusznie zresztą. Trzeba bić się. Trzeba walczyć z redaktorami nadgorliwcami, którzy wartość pracy publicysty mierzą ilością sloganowych formułek, umieszczonych w artykule czy felietonie! Żądać dyskusji na zebraniu redakcyjnym, a gdy i to nie pomaga, uderzać wyżej, do Związku Literatów, do Partii.

Narzekaniami i obrażaniem się na prasę nie zniszczymy schematyzmu i „knyżowego" zakalca w naszej prasie codziennej i tygodniowej.

GŁOS „PRAWDY"

Skoro już mowa o schematyzmie i frazesowości w prasie i o zjawisku wzajemnych dąsów między redaktorami prasy codziennej a pisarzami, warto przypomnieć tu dwa fragmenty zasadniczego artykułu *„Prawdy"* (z 14.IX.1950) o reportażu w gazecie, napisanego jako odpowiedź na pytanie, dlaczego w wielu dziennikach radzieckich reportaż jest *„pełen konwencjonalnych frazesów i plew rezonerstwa autora"?*

„Odpowiedź jest jedna — pisze *„Prawda" — wiele gazet ustosunkowuje się lekkomyślnie do reportażu. Jakkolwiek wydaje się to dziwne, pokutuje gdzieniegdzie jeszcze pogląd, że reportaż gazetowy należy wyłączyć z pojęcia literatury. Jest przecież faktem, że niektórzy literaci reportaż w czasopiśmie zaliczają do „drugiego gatunku" literatury, a reportaż w gazecie — do „trzeciego gatunku" literatury. Niektóre zaś gazety nie pragną nadal patrzeć na reportaż jako na utwór artystyczny. Stąd — beztroska i niewybredność tych gazet wobec reportażu i niedostateczna energia i dbałość o doskonalenie tego rodzaju literackiego. Należy wypowiedzieć walkę wszelkim próbom pomniejszania znaczenia i wagi reportażu w gazecie, zwiększyć wymagania stawiane tej formie literackiej, wszelkimi sposobami doskonalić ją, dążyć do mistrzostwa artystycznego, do prawdziwego i plastycznego odtwarzania naszego bogatego życia".*

Niestety to, co w Związku Radzieckim występuje w prasie gdzieniegdzie, u nas jest nagminne. W naszych dziennikach cprócz nieraz świetnych reportaży napotkać można zbyt często na reportaże, których maniera młodopolskiej, chłopomańskiej frazeologii spowszechnia się zastraszająco („Robotnik W. człek siwy wyciągnął dwie grube pajdy chleba scementowane marmoladą..."!). Niestety, to co w Związku Radzieckim jest z miejsca przez ostrą i czujną krytykę publicystyki napiętnowane, u nas, ponieważ krytyka taka nie istnieje, plenić się może i manierować młodych do woli.

Cytowany artykuł *„Prawdy"* kończy się słowami, które stokroć bardziej niż w Związku Radzieckim aktualne są u nas:

„Gazety powinny pozyskiwać do współpracy pisarzy. Publikowanie na łamach gazety reportaży jest nie mniej ważne dla autorów niż dla gazety. Nawiasem mówiąc, wielu znanych pisarzy radzieckich rozpoczęło swoją działalność literacką od reportażu. Lecz obecnie niestety, wielu zapomniało o tym... A gazeta powinna nawet dopomagać w pracy doświadczonym pisarzom, nadawać kierunek ich pracy. Taką właśnie pracę powinny, naszym zdaniem, prowadzić gazety stale, każdego dnia, wespół z organizacjami literatów".

Dziennik, który słowa powyższe ogłosił, posiada w składzie etatowych pracowników swej redakcji szereg wybitnych pisarzy, takich np. jak Borys Polewoj. Obecność literatów w redakcjach dzienników radzieckich jest czymś równie oczywistym, jak współpraca tysięcy korespondentów robotniczych i wiejskich. Organ partyjny — pisał w swoim czasie w związku z problemem korespondentów ludowych Lenin — *„będzie żywy i życiowy wówczas, kiedy na pięciu czołowych i stale piszących literatów przypadnie pięciuset i pięć tysięcy pracowników nie-literatów"* *). W zdaniu tym oczywistość obecności i stałego pisania literatów w dzienniku jest tak jasna, że jest drugoplanowa.

Jak dalecy jesteśmy od tej oczywistości radzieckiej ocenić łatwo na jednym tylko porównaniu ilości reportaży czołowych pisarzy radzieckich w r. 1951 w „Prawdzie" z ilością reportaży czołowych pisarzy polskich w „Trybunie Ludu"...

Sprawę współpracy pisarzy z gazetami postawił u nas w swoim czasie Tadeusz Borowski, pisząc w „Małych kronikach wielkich spraw" (str. 160), m. in. te słowa:

„Głoszę pochwałę gazety. Uważam gazetę za dobrego wychowawcę młodego pisarza. Co prawda, wielu moich kolegów uskarża się na redakcje. Uważają oni pracę w redakcji za rzecz niegodną wzniosłego talentu. Odpycha ich dyscyplina, razi pośpiech i nerwowość dziennikarstwa. Zapominają oni, że gazeta nie wiąże skrzydeł poezji, lecz je rozwija. Nie pamiętają, że klasycy literatury byli doskonałymi dziennikarzami. Monitor był świetną szkołą dla księcia poetów, Krasickiego".

„Nie mielibyśmy Daniela Defoe, wielkiego realisty XVIII wieku, gdyby nie zahartował się on w bezlitosnej szkole dziennikarstwa i publicystyki. Publicystyka antyreligijna trzy razy zawiodła go pod pręgierz i zakuła w dyby na długie lata. Ale też przyniosła mu wielkie triumfy: lud londyński uwieńczył słup pręgierza girlandami róż i pił zdrowie skutego pamflecisty. Młody Dickens zasłynął jako reporter Boz obrazkami z życia proletariatu i drobnomieszczaństwa londyńskiego. Podczas wędrówek reportera zbierał materiał, którego bogactwo tak nas zadziwia w jego wielkich powieściach. Czechow latami drukował opowiadania w gazetach. Nie wiadomo, co przeważa w twórczości Erenburga: czy publicystyka w jego literaturze, czy literatura w jego publicystyce. Pliniusz Młodszy zostawił Tacytowi (i nam) błyskotliwy, barwny opis ostatnich dni Pompei. Był dobrym reporterem. Może wychowałby się z czasem na wielkiego pisarza. Niestety, starożytność nie znała gazet".

„Przemawiając na drugim zjeździe młodych pisarzy radzieckich Konstanty Fiedin przypomniał słowa Lwa Tołstoja o prozie otłuszczonej i mięsistej. Można by przyrównać gazetę do trenera, który zdziera z prozy tłuszcz, a rozwija mięśnie. Gazeta wyrabia w pisarzu szacunek dla zwartości formy, celności języka, jasności myśli. Gazeta żyje polityką, walką klasową, jest orężem propagandy i agitacji. Może ona otworzyć pisarzowi oczy na palące problemy życia, nauczyć go reagować szybko i skutecznie, wykorzystywać bogactwo środków artystycznych: felietonu, notatki, krótkiego opowiadania, obrazka, zapisek. Ołówek redaktora nieraz kreśli drogi, którymi pójdzie twórczość młodego pisarza".

„ESPERANTYZM" ANTYMARKSISTOWSKI

„Prasa — mówił J. Stalin na XII Zjeździe WKP(b) w 1923 r. (Dzieła T. V. str. 209 — 210, Książka i Wiedza, Warszawa, 1950) — *to najsilniejsza broń, z której pomocą partia co dzień, co godzina przemawia do klasy robotniczej w swoim, potrzebnym jej języku. Innych środków rozpostarcia nici duchowych między partią a klasą, innego równie giętkiego aparatu nie ma w przyrodzie. Oto dlaczego partia winna zwrócić na tę dziedzinę szczególną uwagę".*

Przyznaję, że nie mogę pojąć, dlaczego pisarze, ludzie obdarzeni umiejętnością najcelniejszego władania słowem, unikają udziału w tej codziennej rozmowie i lekceważą ten najpowszechniejszy środek łączności między ludźmi, i dlaczego redaktorzy pism codziennych tak mały kładą nacisk na udział pisarzy w ich pismach.

To jedna sprawa. Druga zaś jest problemem, który zamyka się w słowach Stalina o języku prasy, którym przemawia partia, a który jest *„swoim, potrzebnym jej językiem".*

Kiedy mowa o schematyzmie i sloganowości naszej prasy, słyszy się nieraz złośliwe uwagi rodzimych wstecznków, że jest to naturalnym wynikiem wprowadzenia „całej tej nie do strawienia terminologii marksjstowskiej" do języka potocznego naszych gazet. Złośliwość uwagi wypływa z naiwnego przekonania, że niemożliwe jest spowszechnianie naukowego socjalizmu w sposób jasny, prosty, zrozumiały dla wszystkich.

Niewątpliwy fakt, że partia używa *„swojego, potrzebnego jej języka"*, bynajmniej nie oznacza, że jest to jakieś esperanto tylko dla wtajemniczonych. Jeśli, niestety, nieraz takie to robi wrażenie, to jest to wynikiem nieporadności językowej autorów artykułów, odezw, czy referatów. Kiedy ostatnio czytałem z Jerzym Andrzejewskim pewien referat rozesłany na cały kraj do odczytywania na zebraniach masowych, ogarnęło nas przerażenie, jak większość słusznych myśli została stratowana frazesowością, wynikającą z ubóstwa języka, z powtarzania oklepanych zwrotów, ze stosowania terminologii na pozór ściśle marksistowskiej, ale pozbawionej życia przez drewniany styl zdań i przez to martwej, a więc antymarksistowskiej. Zastanawialiśmy się wtedy, dlaczego takiego referatu nie dano do opracowania jakiemuś pisarzowi, dając mu materiał i określając ściśle krąg słuchaczy, do których referat ma przemówić. Przecież to jest przemówienie do milionów ludzi w całej Polsce! I na tym polu jest mnóstwo do zrobienia.

Wróćmy jednak do prasy. Problem swoistego języka, którego potrzebuje partia, jest problemem nie tylko partii, ale i pisarzy. Źródło problemu jest to samo: wtargnięcie do wszystkich dziedzin życia naukowego sposobu myślenia kategoriami marksizmu - leninizmu. To zmusza i partię, i pisarzy do szukania sformułowań, które by najprościej i najcelniej podawały prawdę naszych dni i musiały — mówiąc znów słowami Stalina — *„rzucać światło socjalizmu naukowego na każde zjawisko, z którym styka się robotnik"*, (Dzieła T. I. str. 27, „Książka i Wiedza", Warszawa, 1949), a więc na każde zjawisko, występujące w kraju rządzonym przez klasę robotniczą.

Rys. K. Sosnowski

Współczesny krytyk

„O wysoki poziom publicystyki dbać muszą wszystkie działy redakcji — pisała 21.IX.1950. *„Kultura i Zizń" — Każdy artykuł propagandowy powinien odznaczać się leninowsko - stalinowskim stylem propagandy. Towarzysz Stalin w swym przemówieniu na wieczorze kursistów kremlowskich, mówiąc o Leninie, w ten sposób scharakteryzował jego styl: „Niezwykła siła przekonywania, prostota i jasność argumentacji, zwięzłe i dla wszystkich zrozumiałe zdania, brak pozy, brak zawrotnych gestów i błyskotliwych zdań, obliczonych na efekt... Niestety na łamach niektórych gazet wciąż jeszcze pojawiają się słabe pod względem treści i formy artykuły propagandowe".*

Niestety, u nas, nie tylko na łamach niektórych gazet, lecz raczej nagminnie spotkać można ową niedbałość o wysoki poziom publicystyki i ów „esperantyzm" rzekomo marksistowski (w rzeczywistości antymarksistowski).

Do pokonania tego wszystkiego, co rodzi w naszej prasie schematyzm, sloganowość i „esperantyzm" potrzebna jest współpraca najściślejsza redaktorów z pisarzami. Redaktorzy muszą znaleźć drogę do pisarzy, a pisarze muszą porzucić swój lekceważący, czy pogardliwy nawet stosunek do publicystyki. Odpowiedzialność pisarzy za język narodu jest odpowiedzialnością, która obejmuje również język co dzień czytany przez miliony Polaków, język prasy codziennej.

SPRAWA WZORÓW KLASYCZNEJ PUBLICYSTYKI

Z kolei przejdźmy do *czwartej*, ostatniej *przyczyny* głównej słabości naszego piśmiennictwa publicystycznego. Widzę ją w niedostatecznym ciągle nawiązaniu naszej publicystyki do najlepszych wzorów postępowej publicystyki świata.

Oczywiście, aby pisarz mógł nawiązać do dorobku innych, musi mieć możność poznania go. Niestety pod tym względem jest źle. Nie mamy dotąd dostatecznej ilości wyborów najcelniejszej publicystyki radzieckiej, nie mamy dotąd takich antologii światowego dorobku publicystycznego, jak Egona Erwina Kischa *„Klassischer Journalismus"*, nie mamy dotąd żadnej antologii małych form literackich w prasie codziennej, wypracowanych przez najlepszych polskich prozaików od czasów Oświecenia po dni dzisiejsze.

Brak krytycznych opracowań tego rodzaju odbija się ujemnie przede wszystkim na młodym pokoleniu pisarskim, które nie zdaje sobie często sprawy z bogactwa form publicystyki i z możliwości, jakie daje każda z tych form.

Nie widzę żadnej racji, dlaczego ze wszystkich dziedzin literatury tylko publicystyka, najpowszechniejsza broń postępu, nie posiada własnej literatury fachowej i po dyletancku na chybił trafił posiłkować się musi literaturą innych dziedzin twórczości pisarskiej.

Tej literatury fachowej, zarówno wzorcowej jak krytycznej, nie stworzą dziennikarze. Ogromny wysiłek, na jaki zdobywa się Ośrodek Szkolenia Dziennikarzy, związany z Uniwersytetem Warszawskim i Stowarzyszeniem Dziennikarzy Polskich, w małej tylko części z natury rzeczy skierowany jest na kształtowanie publicystyki nowego typu. Ośrodek dać bowiem musi ogólną wiedzę o dziennikarstwie, którego, jak wiemy, częścią tylko jest publicystyka, i to nie cała.

Młody dziennikarz, który w pracy redakcyjnej uprawia i publicystykę, musi mieć możność stałego rozbudowywania swego warsztatu pisarskiego. Proszę nie zapominać, że w dziennikarstwie naszym coraz więcej jest ludzi nowych, z warstw, które dawniej bardzo rzadko wydawały dziennikarzy. Często są to ludzie, którzy dopiero od dwóch, trzech lat żyją w większym mieście. Ich trud pisarski przypomina trud racjonalizatorów, świeżą, młodą myślą dostrzegających wiele możliwości, których nie widzi fachowiec inżynier. Niemniej racjonalizator bez pomocy inżyniera nieporadnie, ze stratą mnóstwa czasu borykać się będzie z samym tworzywem, które dla inżyniera natomiast nie przedstawia żadnego problemu.

CZTERY WNIOSKI

Konieczność współpracy pisarzy z prasą codzienną, konieczność stworzenia wreszcie polskiej literatury fachowej o publicystyce, zmusza do postawienia szeregu wniosków.

Wniosek pierwszy: należy jak najszybciej zwołać naradę twórczą pisarzy i dziennikarzy, poświęconą omówieniu szczegółowemu stanu obecnego, zadań i potrzeb publicystyki polskiej w okresie budowania socjalizmu. Naradę taką winny zwołać Związek Literatów i Stowarzyszenie Dziennikarzy.

Wniosek drugi: Związek Literatów i Stowarzyszenie Dziennikarzy, winny wspólnie stworzyć Sekcję Twórczą Publicystyki, na której zebraniach omawiane byłyby wszystkie bieżące problemy publicystyki.

Wniosek trzeci: Przy Instytucie Badań Literackich winna powstać w łączności z Ośrodkiem Szkolenia Dziennikarzy i z Sekcją Twórczą Publicystyki, Sekcja Badań Publicystyki Polskiej. Zadaniem tej sekcji IBL byłaby nie tylko praca krytyczno - naukowa, ale i patronowanie akcji wydawniczej. Myślę tu o stworzeniu „Biblioteki Publicysty", złożonej zarówno z prac krytycznych o tym rodzaju piśmiennictwa, jak i z krytycznych wyborów najcelniejszych utworów publicystycznych z całej światowej literatury postępowej.

Wniosek czwarty: przy którejś z wyżej wymienionych instytucji powstać winna Naukowa Biblioteka Dzienników i Czasopism, konieczna dla badań Sekcji IBL, potrzebna poza tym dla wieloraki ch badań naukowych i pisarskich.

Tak więc, omówiwszy główne przyczyny nierozwinięcia się u nas jeszcze w pełni publicystyki nowego typu i określiwszy podstawowe środki zaradcze, możemy przejść z kolei do omówienia tego wszystkiego, co daje nam podstawę do twierdzenia, że publicystyka nowego typu ma możliwości pełnego rozwoju w Polsce, budującej socjalizm.

OD DNIA 18 MARCA 1848 R. ...

Byłoby wielkim błędem przy ocenie rozwoju publicystyki nowego typu widzieć tylko przeszkody, które trzeba pokonać, a nie widzieć tego wszystkiego, co już istnieje i może walnie dopomóc do rozwinięcia naszego piśmiennictwa „w kwestiach na dobie" z siłą odpowiadającą wysiłkowi ludzi budujących w Polsce socjalizm.

Nie wolno nam zapominać ani przez chwilę, że posiadamy szeroki i wieloraki dorobek publicystyczny i doświadczenia na tym polu całego obozu postępu. Jest z czego czerpać i jest na czym się uczyć, byleby tylko właściwie podejść do dorobku i doświadczeń posiadanych. Wzorce wysokiej klasy publicystyki nowego typu, stwarzane przez pisarzy, nie mogą powstawać w oderwaniu od całości publicystyki postępowej.

Postarajmy się więc przynajmniej wypunktować sobie główne zdobycze postępu w dziedzinie publicystyki, na których możemy i powinniśmy się oprzeć. Wszelkie szersze opisywanie dorobku i doświadczeń na tym polu wymagałoby wielu tomów źródłowych prac z historii publicystyki postępowej. Przypuszczam, że zostaną one napisane w miarę zyskiwania sobie przez publicystykę nowego typu rangi jej należnej. Na razie dla naszej rozprawy dyskusyjnej wystarczy zanotować podstawowe doświadczenia i dotychczasowy dorobek.

Datę powstania publicystyki nowego typu w obozie postępu można

---

*) Cyt. ze skryptu Ośrodka Szkol. Dziennik. *„O roli i zadaniach prasy"*. Część II, str. 72, Warszawa, 1951. Stamtąd cyt. również „Głos Prawdy", a dalej cyt. głos „Kultury i Żizni". Bardzo cenny to skrypt, który nie tylko uwadze dziennikarzy, ale i pisarzy polecam.

Powyższy, w najogólniejszym zarysie nakreślony przebieg faszyzacji wsi niemieckiej wraz ze środowiskiem, w którym się odbywał, i pewnymi oporami, na które natrafiał, Anna Seghers opisała z głęboką znajomością rzeczy, zgodnie z historyczną prawdą, wystrzegając się wszelkich uproszczeń. Słusznie np. umieściła w powieści nie tylko takich zamożnych chłopów, którzy z wyrachowania, z myślą o przyszłych korzyściach pierwsi wywiesili hitlerowskie chorągwie, ale i takich, którym nawet narodowi - „socjaliści" wydawali się początkowo zbyt „czerwoni". I słusznie pokazała nie tylko biednych chłopów, czujących instynktowną niechęć do hitlerowców, ale i biednych chłopów, upatrujących we wstąpieniu do SA jedyną możliwość wydobycia się z beznadziejnego położenia i zrobienia nieoczekiwanej „kariery życiowej". Należy też podkreślić, że wszystkie chłopskie postacie są plastycznie zindywidualizowane, a jednocześnie typowe, ich myśli i uczucia mimo silnego zróżnicowania determinuje w gruncie rzeczy sytuacja materialna i pozycja społeczna we wsi. Po psychologizmie „Buntu rybaków" i jednostronnej lub zbyt schematycznej interpretacji niektórych „Towarzyszy", bohaterowie „Listu gończego" przekonują swą solidnie podbudowaną, realistyczną motywacją psychologiczną.

O ile „List gończy" jako literacki dokument i socjologiczno-psychologiczna analiza sytuacja chłopstwa niemieckiego pod koniec Republiki Weimarskiej posiada dużą wartość poznawczą i artystyczną (poza plastycznymi postaciami chłopów i hitlerowców mamy tu wiele doskonałych scen, styl jest jędrny i potoczysty), o tyle wprowadzony do powieści motyw antyfaszystowskiej walki wypadł dosyć blado. Bohaterscy komuniści z miasteczka, usiłujący przeciwstawić się wpływom nazistowskim na wsi, ścierający się z hitlerowskimi bojówkami w okresie przedwyborczym, są pobieżnie i zbyt epizodycznie pokazani a młody robotnik fabryczny Jan, poszukiwany listem gończym za zabicie policjanta podczas manifestacji w Lipsku, do końca powieści, do chwili schwytania go przez żandarmów jest raczej zbiegiem, ukrywającym się u chłopa niż antyfaszystowskim bojownikiem. Jakieś dalekie koligacje łączą go z jego imiennikiem z „Buntu rybaków".

Dla samej autorki „List gończy" dzięki zastosowanej w nim metodzie ujmowania psychiki postaci oznaczał przede wszystkim wzbogacenie warsztatu pisarskiego o nowe i to bardzo istotne możliwości realistycznego konstruowania ludzkiego losu. Jednocześnie jednak powieść sygnalizowała pewne niebezpieczeństwo, polegające na rosnącej skłonności Seghers do rozbudowywania wątków i sytuacji nie mających z głównym nurtem książki nic wspólnego a nawet nie tłumaczących się dostatecznie chęcią dokładniejszego odmalowania środowiska.

Skłonność ta, która w „Liście gończym" przejawiła się np. w autonomicznej historii o okrutnym chłopie i jego umysłowo upośledzonej żonie, doszła szerzej do głosu w „Ocaleniu" 1937[4]) pierwszej obszernej powieści Anny Seghers a drugiej jej dokumentarnej książce o Niemczech. Tym razem autorka obrała sobie za przedmiot obserwacji Zagłębie Ruhry w latach 1929 — 1933 tj. w okresie wielkiego bezrobocia, kiedy to coraz cięższe, coraz tragiczniejsze położenie materialne rozbijało solidarność robotników i górników, z których jedni, najbardziej uświadomieni, w obronie swoich praw i interesów podejmowali pod przewodem Partii Komunistycznej energiczną walkę z kapitalizmem i faszyzacją kraju, drudzy ulegali zwodniczym i kapitulanckim hasłom prawicowych socjalistów, inni, początkowo nieliczni, przechodzili do hitlerowców, a jeszcze inni otępiali przez głód i troski wegetowali z dnia na dzień, biernie czekając na uruchomienie zamkniętych fabryk czy kopalń.

Anna Seghers zajęła się w „Ocaleniu" przede wszystkim tymi ostatnimi, szeroko odmalowała materialną i moralną tragedię bezrobocia, poniżenie i rozprzężenie ludzi, skazanych na bezczynność i nędzne bytowanie za groszowe zasiłki. Wprawdzie spotykamy w książce liczne postacie ideologicznie zróżnicowanych górników, spotykamy takich, których oczy są zwrócone na Związek Radziecki, kraj bez kryzysów i bezrobocia, takich, którzy rozdają antyfaszystowskie broszury i ulotki, na zebraniach przemawiają za jednością i międzynarodową solidarnością proletariatu, urządzają demonstracje i stawiają czoło policji i nazistowskim bojówkom. Wprawdzie uczestniczymy w rozmowach i sporach między komunistami a socjalistami, dowiadujemy się, jak to bakcyl hitleryzmu przenosi się na „kumpli" z zamieszkałych w robotniczej dzielnicy drobno-mieszczan, kolportujących hitlerowskie dzienniki. Wszystko to jednak autorka umieściła na dalszym planie, częściowo zupełnie na marginesie. Postacie politycznie zaangażowanych górników, nie wyłączając antyfaszystowskich bojowników, są poza młodym Lorenzem, o którym będzie jeszcze mowa, zaledwie naszkicowane lub też przewijają się przez powieść tylko jako nazwiska. A obrazy takich czy innych przejawów społeczno - politycznej walki mają przeważnie charakter krótkich migawek, odbijających w sposób bardzo niepełny, fragmentaryczny, dramatyczną rzeczywistość „czerwonej Ruhry", gdzie przecież od bohaterskich dni 1919—1920 r. zarzewie buntu tliło nieustannie, wybuchając raz po raz jasnym płomieniem i gdzie hitleryzm natrafił na znacznie większy opór niż w wielu innych fabrycznych i górniczych ośrodkach niemieckich. Z drugiej strony również procesu faszyzacji górników i robotników autorka nam naprawdę nie pokazuje. Otrzymujemy o nim kilka rozrzuconych po książce informacji i nic więcej. W każdym razie umieszczenie przez autorkę na pierwszym planie mniej lub więcej biernych, klasowo nieuświadomionych i apolitycznych ofiar bezrobocia, których oczyma patrzy się też na bieg wypadków, stanowi niesłuszne przesunięcie punktu ciężkości książki.

Jeżeli chodzi o poznawczą wartość „Ocalenia", typowość pokazanych w nim spraw i ludzi, duże zastrzeżenia budzi też postać i historia głównego bohatera, rębacza Bentscha. Na początku powieści, podczas katastrofy w kopalni, daje on moralne oparcie sześciu zasypanym współtowarzyszom niedoli, spokojną i zdecydowaną postawą ratuje im życie i dzięki temu czynowi zdobywa sobie powszechny szacunek górników. Potem jednak, straciwszy, tak jak wielu innych, pracę, przez kilka lat znosi z denerwującym fatalizmem swój ciężki los, spędza dni na wałęsaniu się bez celu i na budowaniu z zapałek modelu kościoła dla księdza proboszcza, pozostaje obojętny na toczącą się walkę społeczną i polityczną, której sensu nawet w przybliżeniu nie rozumie, jest uosobieniem braku świadomości klasowej i dopiero pod koniec książki, jakby pod wpływem ojcowskiego uczucia dla komunisty Lorenza, coś się w nim przełamuje. Po aresztowaniu młodego przyjaciela kontynuuje jego działalność, przekazując dalej pozostawione przezeń ulotki i od tej chwili angażuje się czynnie w ruchu oporu. Zrobił to jednak nie dlatego, że zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, że zaszła w nim rzeczywista przemiana, lecz z jakichś na wpół tylko świadomych, raczej osobistych pobudek (Lorenz). „To przyszło tak samo od siebie" — jak sam powiada i podobne wrażenie odnosi czytelnik. Droga Bentscha-katolika do antyfaszystowskiego obozu jest mgliście przedstawiona, jego dzieje obfitują w niejasne sytuacje a cała ta postać dziwaka, mruka i samotnika ma w sobie tyle cech osobliwych, ile jej brak typowych choćby dla tego odłamu klasy robotniczej, który według intencji autorki reprezentuje.

W „Ocaleniu" znów się odezwał — w innej niż dawniej formie — psychologizm, który męcząco zagmatwał myśli i uczucia Bentscha, jego stosunek do ludzi, do Lorenza, do córki Katarzyny, dziwnej „kompleksowej" dziewczyny, przeżywającej niedobrą, tragicznie kończącą się miłość. Miłość ta i inne ściśle osobiste sprawy niektórych bohaterów, nie przyczyniające się niczym do lepszego zrozumienia środowiska i czasów, zajmują w książce więcej miejsca, bardziej przykuwają uwagę autorki od antyfaszystowskiej walki. Akcja zaś powieści z wyjątkiem kilku fragmentów, a przede wszystkim doskonałego, dramatycznego początku (zasypani górnicy) płynie nużąco powoli, obciążona balastem naturalistycznej faktografii, wieloma drobnymi, nic nie wnoszącymi szczegółami i szczególikami. Na tym tle z postaci pierwszoplanowych swą pozytywną i przekonywającą postawą odbija sylwetka Lorenza, którego ewolucję z naiwnego chłopca w świadomego bojownika komunistycznego Seghers uchwyciła bardzo wnikliwie i prawdziwie. Jemu włożyła też w usta bolesne zdania o rosnącym osamotnieniu czynnych antyfaszystów, owej tragicznej samotności, tak wyśmienicie opisanej w „Siódmym krzyżu", powieści, roztaczającej szeroki i niezwykle rzetelny obraz Niemiec w r. 1937, kiedy to hitleryzm rozmaitymi drogami zdołał już zapuścić głębokie korzenie w niemieckim narodzie.

Egon Naganowski

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

---

[4]) Anna Seghers, „Ocalenie", tłum. Janina Marecka i Maria Wołczecka, str. 466, „Czytelnik" 1950 r.

ustalić ściśle dniem, w którym pojawiły się w druku po raz pierwszy słowa Manifestu Komunistycznego.

„*Manifest*“ K. Marksa i F. Engelsa, oceniany z punktu widzenia formy sztuki i formy walki, był pierwszym utworem publicystyki nowego typu.

Marks i Engels, Lenin i Stalin, w walce politycznej wypracowali nowy typ publicystyki. Mamy więc tu do czynienia ze zjawiskiem w literaturze szczególnym, kiedy nie pisarze w przyjętym pojęciu literata, lecz naukowcy, działacze społeczni i politycy zarazem, ukształtowali pewien rodzaj literacki do czasu ich wystąpień kształtowany przede wszystkim przez literatów.

Voltaire i Diderot, nie byli mężami stanu. Byli pisarzami, którzy porwani ideą Oświecenia rozpowszechniali zdobycze naukowców. Tu natomiast twórcy określonej nauki sami wypracowywali formy najskuteczniejszego rozpowszechniania głoszonych przez siebie naukowych tez, nie czekając na pisarzy.

Zjawisko to nie jest odosobnione. W Polsce Ludowej na przykład najwyższej klasy publicystykę nowego typu dawali i dają od pierwszych dni wyzwolenia wybitni działacze partii.

ARGUMENTY JANA KOTTA

W maju 1945 r. Jan Kott w „*Odrodzeniu*“ (Nr 25) pierwszy podnosząc głos w sprawie publicystyki godnej czasów, w które weszliśmy, pisał:

„*Kiedy przegląda się wychodzące obecnie pisma, uderza przede wszystkim nikłość, więcej nawet, zupełny brak żywej, odważnej i twórczej publicystyki...*“

Po czym długo wymienia Kott problemy nie omówione dotąd przez pisarzy, problemy najściślej związane z bieżącym życiem narodu. Kott stawia pytanie: „*Czy pisze ktoś o tym?*“ i daje taką odpowiedź:

„*Owszem, jest jeden wyjątek! W ciągu ostatnich trzech miesięcy przeczytałem jeden żywy, twórczy, odważny, bogaty w myśli i fakty artykuł publicystyczny. Było nim... przemówienie ministra przemysłu ob. Hilarego Minca na Krajowej Radzie Narodowej*“.

Pamiętam dwukrotnie słyszane zazdrosne westchnienia znanych pisarzy: raz gdy jeden z nich słuchał przemówienia Prezydenta Bieruta na otwarciu radiostacji wrocławskiej, innym razem, gdy drugi z nich czytał przemówienie Premiera Cyrankiewicza w Częstochowskiej Hucie. W westchnieniach było zazdrosne zdumienie, że tacy ludzie „od polityki“ potrafią tak celnie, jasno i pięknie używać języka „jakby byli literatami“. Jeden z pisarzy, z natury nieufny, próbował nawet rozeznać ze stylu zdań, „kto z literatów pisze ministrowi X przemówienia?“ I był bardzo zdumiony, że w Polsce Ludowej nie ma „ghost writer'ów“, literatów wynajmujących się mężom stanu, tak jak to jest w zwyczaju we Francji czy Ameryce.

„*Nasz wiek XX* — pisał Tadeusz Borowski w „Opowiadaniach z książek i gazet“ — *jest wiekiem dyskusji między kapitalizmem a socjalizmem. Historyk Herodot naszych dni zapamięta wielkie sprawy epoki: mity i marksizm, głód i wolność, wyzysk i godność, pieniądze i rozum. Będzie mówił o walce kryzysu przeciw rewolucji, okopu przeciw orce, komór gazowych przeciw traktorom, bomb atomowych przeciw pięciolatkom, ale zapomni o zgiętych plecach ogrodnika i przemilczy samotne przechadzki pisarzy*“.

Publicystyka nowego typu posiada olbrzymi ładunek treściowy przy nienagannej formie literackiej, a cechą jej charakterystyczną jest to, że z ujawnieniem się nigdy nie czekała na pisarzy. Będąc najpowszechniejszą bronią postępu socjalistycznego musi nadążać za tym postępem, a zatem nie może czekać, aż łaskawie ci czy owi pisarze zechcą zakończyć swe samotne przechadzki.

RODOWÓD LITERACKI

Bazą podstawową dla pełnego rozwoju publicystyki nowego typu jest ogromny dorobek na tym polu stworzony nie przez literatów, a przez naukowców i polityków, głosicieli i realizatorów idei marksizmu - leninizmu. Dla pisarzy publicystyka Marksa i Engelsa, Lenina i Stalina jest nie tylko źródłem nauki o rozwoju społecznym, ale i wzorem publicystyki nowego typu, zarówno pod względem ładunku treści, jak i pod względem formy. Podobnie dla nas pisarzy publicystyka polskich działaczy rewolucyjnych i budowniczych Polski socjalistycznej jest nie tylko źródłem nauki o rozwoju społecznym Rzeczypospolitej, ale i wzorcem polskiej publicystyki nowego typu.

Podejście pod tym kątem do dorobku twórców i realizatorów marksizmu - leninizmu przez naszą krytykę literacką wielce przyczynić by się mogło do ustalenia najistotniejszych kryteriów potrzebnych do oceny publicystyki nowego typu, a tym samym przyczyniłoby się walnie do dalszego rozwoju naszej publicystyki.

Popełnilibyśmy jednak oczywisty błąd, sądząc, że publicystyka nowego typu dlatego, że zapoczątkowana została nie przez pisarzy, nie posiada swojego literackiego rodowodu. I Marks, i Engels, i Lenin i Stalin, Mao Tse-tung i Pieck, Thorez i Passionaria, Togliatti i Bierut korzystali w swych pracach publicystycznych z wielkiego dorobku postępowej literatury swoich narodów i literatury światowej. Język ich publicystyki jest językiem, na który złożyła się praca pokoleń pisarzy i to zarówno minionych jak i współczesnych politycznym twórcom publicystyki nowego typu.

DLA ILU I JAKICH CZYTELNIKÓW PISZEMY?

Czas nam przejść do pasjonującej sprawy samorodności słowa publicystycznego nowego typu, co postaramy się pokazać na przykładzie doświadczeń naszej prasy, tej jakże często nudnej, schematycznej, sloganowej, a mimo to coraz bardziej twórczej w miarę przejmowania doświadczeń prasy radzieckiej.

Rys. K. Sosnowski
Próba „Knyża“

O naszej prasie mówiliśmy dotąd zazwyczaj cyframi, a więc, że w r. 1939 nakład wszystkich dzienników wynosił 1.360.000, w 1945—1.118.000, w roku 1946 — 1.704.000, w 1947—2.330.000, w 1948 r. — 3.270.000, a w 1949 r. w wykonaniu Planu Trzyletniego przekroczyliśmy 4 miliony, którą to cyfrę w Planie Sześcioletnim zwiększymy prawie dwukrotnie, bo o 82%, czyli około 7,5 miliona gazet rozchodzić się będzie co dzień w r. 1955 wśród 26 milionów obywateli Polski Ludowej. Ile poza tym co tydzień rozchodzić się będzie milionów czasopism, nie będę już wyliczał, bo w danym wypadku chodzi mi przede wszystkim o prasę codzienną. Faktem jest, że w Polsce przedwrześniowej jedna gazeta codzienna wypadała na 26 mieszkańców, natomiast w Polsce Planu Sześcioletniego jedna gazeta wypada na 3 do 4 obywateli państwa budującego socjalizm. Ponieważ, jak wiemy, każdy egzemplarz gazety jest czytany co najmniej przez dwie, trzy osoby, możemy śmiało twierdzić, że w Polsce po raz pierwszy w dziejach, prawie każdy dorosły obywatel czyta już, względnie wkrótce będzie czytał co dzień słowo informacyjne i publicystyczne. Krąg oddziaływania zatem publicystyki w prasie codziennej rozszerzył się po raz pierwszy w naszej historii na cały naród.

„*Co to jest naród?* — pytał Mao Tse-tung na naradzie twórczej pisarzy chińskich i taką dał odpowiedź: — *Ponad 90 procent ludności naszego kraju — to robotnicy, chłopi, żołnierze i drobni mieszczanie. Spośród naszych czytelników wymienić musimy na pierwszym miejscu robotników, klasę, która przewodzi rewolucji. Za nimi idą chłopi, główny i najbardziej zdecydowany nasz sprzymierzeniec. Trzecią grupę czytelników stanowią uzbrojeni robotnicy i chłopi, żołnierze Ósmej Armii, Nowej Armii, Czwartej Armii i innych sił zbrojnych naszego narodu — jądro naszych sił bojowych. Czwartą — są dolne warstwy drobnomieszczaństwa, również sprzymierzone z nami, które jeszcze długo będą z nami współdziałać. Te cztery grupy obejmują olbrzymią większość ludności Republiki Chińskiej — dlatego możemy je nazwać narodem.*

Pisarze nasi muszą postawić przed sobą zadanie zapuszczenia korzeni głęboko w masy robotnicze, chłopskie i żołnierskie, zadanie opanowania nauki marksizmu-leninizmu, nauki o społeczeństwie z punktu widzenia robotników, chłopów i żołnierzy.

Tylko wtedy, gdy potraficie dać wyraz uczuciom ludu, będziecie mogli uczyć lud i jedynie w tym wypadku, gdy potraficie stać się uczniami ludu, będziecie mogli również być jego nauczycielami“.

Jakkolwiek różnice istnieją między narodami Republiki Chińskiej i Polski Ludowej, jedno jest im wspólne: trzon robotniczo-chłopski, który stanowi najszerszą i najbardziej uświadomioną rzeszę czytelniczą dzienników, czasopism i książek. Zatem słowo drukowane musi odbijać i kształtować pojęcia przede wszystkim tej masy czytelniczej. Ale — jak słusznie stwierdził Mao Tse-tung — ludzie pióra mogą uczyć lud dopiero wtedy, kiedy staną się uczniami ludu

O SAMORODNOŚCI PUBLICYSTYKI NOWEGO TYPU

I oto jesteśmy u źródła samorodności publicystyki nowego typu, zjawiska znamionującego wielkość rewolucyjnej przemiany. Co to znaczy, uczyć się od ludu? To znaczy przejmować i rozwijać dorobek twórczy ludu, to znaczy przejmować się troskami ludu, to znaczy nie lekceważyć twórczej krytyki ludu. Znaczenie prasy jest tu ogromne. Ona bowiem codziennie rozmawia z całym właściwie narodem i od niej w wielkiej mierze zależy, w jakim stopniu doświadczenia w pracy i walce mas ludowych staną się powszechnym dorobkiem całego narodu. Aby zadaniu temu podołać, zadaniu niezwykle ważnemu dla zwycięstwa rewolucji, prasa radziecka stworzyła pierwszą niezwykłą w dziejach prasy masową łączność twórczą między czytelnikami a redakcją gazety. Za przykładem prasy radzieckiej poszła prasa Polski Ludowej. I oto niespodziewanie dla wielu pisarzy na łamach naszej prasy codziennej poczęły się pojawiać samorodne utwory publicystyki nowego typu. Wspomnę tu dwa listy, które w swoim czasie obiegły całą polską prasę: List Marii Żywioł, robotnicy z fabryki włókienniczej w Andrychowie o współzawodnictwie w pracy, zaczynający się od słów: „*Z tym współzawodnictwem to jak z matką i dzieckiem...*“ i List Stanisławy Osieckiej, maszyniarki Nadodrzańskich Zakładów Odzieżowych w Szczecinie, pt. „*O czym nie mówiłam na zebraniu?*“, poruszający sprawę konieczności ujawniania błędów i trudności. Przykładów podobnych, gdyby ktoś zadał sobie trud przejrzenia za ostatnie lata naszych dzienników, można by przytoczyć tysiące.

Co wnosiły nowego te głosy publicystyczne rzesz czytelniczych do naszej prasy? Ogromny ładunek nowych treści, którymi żyje naród, treści nie ujawnionych przedtem ani przez dziennikarzy, ani przez pisarzy. Maria Żywioł nie czekała, aż do Andrychowa przyjedzie „obywatel redaktor“, czy „pan literat“, wysłucha jej myśli o współzawodnictwie i opisze kwiecistie jej prostą, piękną metaforę o robotnicy-matce i robocie-dziecku. Czuła wewnętrzną potrzebę podzielenia się z odkrytego przez siebie socjalistycznego stosunku do pracy i napisała wprost do redakcji: „*Kocham swoją robotę jak własne dziecko*“.

Jaki wpływ wywierają te głosy publicystyczne rzesz czytelniczych na naszą prasę? Przede wszystkim ten, że prasa nasza staje się coraz bardziej ludową, coraz bardziej bliską ludowi, coraz bardziej interesującą lud. To, co dla wielu inteligentów w prasie tej jest nudne, jest ogromnie ciekawe dla milionów czytelników. Pojęcie „nudne“ jest pojęciem subiektywnym, związanym z treścią życia każdego poszczególnego człowieka. Inna sprawa, w jakiej formie „nudnej“ czy „ciekawej“ podaje się fakty żywotnie obchodzące wielu ludzi. Wątpię jednak, czy nawet „ciekawe“ podanie faktów zmieniłoby sąd tej miałkiej części naszej inteligencji, dla której prasa nasza jest „absolutnie nudna i nieciekawa“, bowiem istota nieporozumienia leży w tym, że tych krytyków naszej prasy nie obchodzą najbardziej żywotne powszednie sprawy narodu.

Spójrzmy na to zagadnienie od innej jeszcze strony. Od strony podanych wyżej cyfr wzrostu nakładów naszych dzienników. Czy

Rys. K. Sosnowski
Schematyzm w publicystyce

mógłby następować tak olbrzymi wzrost, gdyby prasa nasza tylko „nudziła“ i „odstręczała od czytania gazet“? Przecież te miliony nowych stałych czytelników zdobytych przez naszą prasę, to są miliony jednostek indywidualnie zdobywanych długim mozolnym procesem docierania do świadomości nowego czytelnika znów publicystycznym słowem. I kiedy przeglądam roczniki któregokolwiek z naszych dzienników „terenowych“ i oglądam wykres stałego wzrostu czytelników tych pism od 1945 r., ogarnia mnie dziwne uczucie, mieszanina dumy narodowej z zawstydzeniem członka pisarskiego klanu. Przeglądając bowiem te roczniki musiałem bezstronnie stwierdzić, że siłą słowa w nich drukowanego, nie było słowo pisarzy, jakże nikłe ilościowo, lecz słowo działaczy partii, nie-literatów i słowo robotników i chłopów, piszących do „swojej gazety“.

Okazuje się, że robotnicy i chłopi potrafią nie tylko wykopać bez udziału pisarzy ziemniaki, ale i podnieść wysoko czytelnictwo w Polsce, więcej, potrafią twórczo przyczynić się do rozwoju publicystyki nowego typu. (Ta ostatnio sprawa, cóż za wspaniały temat do doktorskiej pracy któregoś z naszych młodych krytyków literackich!).

PRZYKŁAD „GŁOSU SZCZECIŃSKIEGO“

Nie umiem powiedzieć, w jakim stopniu „*Głos Szczeciński*“ jest lepszy czy gorszy od innych pism „terenowych“ naszego kraju. Studiując jednak bacznie przez rok cały to pismo, zdając sobie sprawę, podobnie jak redakcja „*Głosu*“, z jego różnych braków, pojąłem przyczynę wzrostu czytelników tego pisma i zdałem sobie sprawę z przyczyn niewątpliwego wpływu, jaki już pismo na swych czytelników zdobyć potrafiło. Wszędzie tam, gdzie pismo umie, względnie może zastosować w praktyce doświadczenia prasy radzieckiej, tam zyskuje wpływ i poszerza swą bazę czytelniczą. A więc w pierwszym rzędzie przez tworzenie coraz szerszego kręgu współpracowników z rzesz czytelniczych, po drugie przez stosowanie języka prostego i jasnego a argumentacji bliskiej myśleniu czytelnika, do którego się zwraca, po trzecie wreszcie przez ciągłe szukanie nowych form omawiania wielokrotnie poruszanych, bo wciąż żywych problemów.

Przykładem oddziaływania tych mocnych stron „*Głosu*“, może być niecodzienny w historii prasy fakt, że w całym województwie szczecińskim wśród chłopstwa przyjętym stał się w mowie potocznej podział na „mądre Sowy“ i „głupich Skowronów“, zaczerpnięty z *jednego artykułu wstępnego* w „*Głosie Szczecińskim*“! (W wydaniu wiejskim „*Głosu*“ z 1.XII.51 na pierwszej stronie obok informacji o uchwale Prezydium Rządu o dodatkowej pomocy hodowlanej dla rolników kontraktujących trzodę chlewną na 1952 r. ukazał się tłustym drukiem dwułamowo oryginalny artykuł pt. „Prosty rachunek“. W jednym łamie wyliczano, co otrzyma według nowej uchwały Rządu gospodarz Antoni Sowa, który posiada 7-hektarowe gospodarstwo i zakontraktował 5 tuczników, a w drugim łamie, jak wyjdzie Jan Skowron, właściciel takiej samej gospodarki na niezakontraktowaniu posiadanych również 5 tuczników o tej samej wadze. Ujęta w paragrafy uchwała rządu nagle stała się jasna w najdrobniejszym swym punkcie. Artykuł przykładowo świetnie udokumentowany kończył się stwierdzeniem: „*Sprawa jest jasna. Sowa, który kontraktuje, jest lepszym i mądrzejszym gospodarzem niż Skowron, który nie kontraktuje*“. Rozumiem dumę pisarzy, kiedy imiona bohaterów ich powieści wchodzą jako umowne słowa do języka potocznego. Rozumiem jednak również dumę zespołu redakcji „*Głosu*“, kiedy imiona bohaterów *jednego artykułu wstępnego* stają się nie tylko umownymi słowami w potocznym języku, ale i powszednią bronią w walce o realizację Planu Sześcioletniego.

POSŁOWIE

W latach Planu Sześcioletniego, kiedy po raz pierwszy w historii Polski słowo publicystyczne i to słowo nowego typu może dotrzeć do wszystkich ludzi w narodzie polskim, sprawa publicystyki nowego typu jest sprawą ogólnonarodową, której komu jak komu, ale pisarzom kraju, budującego socjalizm, lekceważyć nie wolno.

Gdy Tadeusz Borowski odszedł od nas tak nagle, że wielu sercom na chwilę zabrakło oddechu, nie byłem w stanie wówczas napisać ani jednego słowa, które by było w mocy oddać choć cząstkę, zapadłych w odrętwiałą niespodziewanie pamięć myśli i uczuć młodego żarliwca.

Obecnie mam to głębokie przeświadczenie, że pracą niniejszą wyrównałem choć w małej części dług, narosły w ciągu kilku lat obcowania z żywym słowem, tym mówionym i tym drukowanym, słowem pomocnym Pisarza-Agitatora, poety, nowelisty i publicysty nowego typu, Tadeusza Borowskiego.

Jego więc pamięci poświęcam tę pierwszą rozprawę o publicystyce w Polsce budującej socjalizm. I Jego słowami zamykam to wszystko, co o publicystyce nowego typu udało mi się z pomocą kolegów i przyjaciół wyrazić w sposób właściwy, zgodny z prawdą naszych trudnych, ale pięknych czasów:

„*Uczymy się odróżniać prawdę sztuki od kłamstwa, wiarę od złudzenia, żyjąc, pracując, niepokojąc się o świat. Księgi zbrodni hitlerowskich, raporty Partii Komunistycznej o plantacjach południa USA, sprawozdania z Bliskiego Wschodu, z Malajów, Indonezji, Chin, wieści z Paryża, Rzymu i New Yorku, meldunki z kopalń i fabryk, listy od hutników i murarzy — miłość i troska o los człowieka — oto powszedni dzień pisarzy*“.

O ten powszedni dzień pisarzy walczył Tadeusz Borowski, aby w kraju naszym rozwijała się najpowszechniejsza broń postępu — publicystyka, dla której — jak pisał w tym samym pierwszym rozdziale „Opowiadań z książek i gazet“ — „*warto poświęcić życie, choć pamięć o słowie publicystycznym nietrwała jest i zawodna*“.

Edmund Osmańczyk

ANDRZEJ BRAUN

OJCZYZNA

Tam i na powrót. Znowu, znowu czekam świtu.
Jakże tu ustać, zasnąć? krążę wciąż po kole. —
Obok młody milicjant myśli moje wyczuł,
wskazał ręką za rzekę, w ciemność, i rzekł: — „Polen“.

Sznur autokarów czarnych, stłoczony na skarpie.
Tam nisko twarz owiewa chłód w nadrzecznej lasze —
i kluje coś, i serce szarpie
patrząc: te trzy światełka tam gdzieś, to już nasze...

W dole Odra bulgocze z lamp oczyma w gwiazdach.
Senność zakleja oczy i gwiazd moich nie ma.
Z bratnią ziemią pod ręce płynie stara rzeka
w podmyte mgłą ruiny miasta.

Tu niemieckich przyjaciół zasmucone twarze,
tam — pierwszy ogień w kuchni, ktoś w okno spogląda.
Drwal z tartaku lub rybak wstaje. Na zegarze
dochodzi piąta.

Patrzę z okna sąsiada. Oto w moim domu
pierwsze światło świeci.
Anim ja, niestety, pływającą rybką,
ani skowroneczkiem, ni jaskółką chybką
by lecieć.

O tej porze z nad wody wstaje mleczna mgła.
To, co na tamtym brzegu zostawiła rzeka,
choćbym w książki czy w kraje najdalsze uciekał,
wszystko to we mnie świeci, i żyje, i trwa.

Młodzieńcze filozofie, wrażeń, przygód żądze,
pierwsze z murami świata zderzenia bolesne,
malutka moja nędza i małe pieniądze,
pierwsze szramy kul, bata, życia uniwersytet.

Tam moja biblioteka, sprzedana na szpital
i nadaremne próby zbudowania domu.
Ale za szersze szczęście, którymś mnie powitał,
jeśli nie tobie wdzięcznym być, kraju, to komu?

Za to, co mnie stawiało sztorcem, gniotło, biło,
za klęski, którym jeszcze nie umiał poradzić,
kocham cię jak najdrożej opłaconą miłość,
jak tę jedyną miłość, co nie zdradzi.

Tam wszystkie sny dziecinne, które nie tak wyszły,
tam również piękno życia, którego nie śniłem,
tam uśmiech mojej partii, co dała czas przyszły,
tam trud mój, dzień powszedni, który dał mi siłę.

Tego, co tam, za rzeką, nie wyrwę już z siebie,
tak jak bolącej ręki ciału nie odetnę,
skoro z tej ręki dumny nieraz byłem przedtem.
I biegnie wzrok przez wodę tam, gdzie świt na niebie.

Wy, śpiący przed odjazdem, wy tylko nie wiecie:
ile cieni odkreśla chłodny ranek letni,
tyle i bólu mieści każdy dzień na świecie,
aby tym jaśniej widzieć światło dnia i lepiej.

Na granicy, we Frankfurcie nad Odrą
sierpień, 1951 r.

TADEUSZ KUBIAK

RĘKAWICZKI

Twojej malutkiej, białej dłoni
posłuszne jabłka na jabłoni,
posłuszny piasek nad Dunajcem,
gdy przesypujesz go przez palce,
piasek ziarnisty, piasek złoty —
Uległy dłoni ptak i motyl
i fala, która brzegi płucze,
korali sznur, naszyjnik z muszel
i białe karty wielkiej książki,
którą jak ziemię bierzesz w rączki
i rękopisy moich wierszy,
które przyciskasz do swej piersi —
Oddane twoim dłoniom wstążki,
kwiaty, gałązki, lalki, broszki,
klamki i drzwi, te drzwi z jemiołą
gdzie pocałunek, gdzie wesołość,
dane ci gwiazdy, nawet gwiazdy...

Nigdy bym nie chciał, abyś w dłoni
musiała nosić broń co dzwoni,
broń, która ciąży rękom, sercu,
choć sprawiedliwą, lecz morderczą,
nigdy bym nie chciał byś znów miała
ukrywać granat w rączce małej,
czy w futerale starych skrzypiec
przenosić visy przez ulicę
i skradać się wśród nocy zdarzeń
z ulotką w dłoni, z kolportażem,
byś miała nosić w dłoni, cisnąć
do piersi dziecka — ach — to wszystko,
co odebrało mi wesołość,
która nie wraca pod jemiołą,
co odebrało mi i młodość,
która nie wraca ponad wodą
wielką i czystą. W wodzie gwiazdy.

W miesiącach mroźnych zimy polskiej,
na Mokotowie, czy na Wolskiej,
gdy dmie w ulice wicher — zamieć
jak srebrny rycerz staje w bramie
w puklerzach lodu, w szronie kolczug,
podróżni grzeją się na dworcu,
stróż nocny nad płonącym koszem
dłoń kładzie — w dom zimowy niosę
małe, zabawne rękawiczki
na rączki twoje jak różyczki,
na rączki twoje co jak gwiazdy
zabłysły ponad moim miastem,
zabłysły ponad moim życiem
pełnym porażek, pełnym zwycięstw.
Te dłonie ustrzec chcę od mrozu,
od krwi, od nieszczęść co jak powróz —
by ich słuchały nawet gwiazdy.

JAN JAŹWIEC

Ilustrował HENRYK GRUNWALD

PRZY TORFIE

Leżałem z zamkniętymi oczami, odpędzając dłonią siadające mi na twarzy natrętne muchy. Gdy tylko zaczęło się rozwidniać, zrywały się całymi rojami z czarnych desek pułapu i szukały pożywienia. Odpędzane, wracały uparcie i urządzały sobie spacery po moich ustach, oczach i nosie.

Koguty budziły ludzi do pracy, lecz myśmy się nie śpieszyli. Nie było potrzeby wstawać. Muchy jednak nie pozwalały dłużej spać. Przez całą noc leżeliśmy wszyscy na jednym boku, gdyż w innych pozycjach nie mogliśmy pomieścić się w trzech na niezbyt szerokim wyrku. Odwracaliśmy się zwykle dopiero „na komendę".

Próbowaliśmy zresztą rozmaicie. Przez pewien czas Władek, leżący zawsze w środku, kładł się odwrotnie wsuwając nogi między nas. Mieliśmy trochę więcej miejsca.

Skończyło się to jednak, kiedy Staszek we śnie oparł nogę na twarzy Władka i przeciągając się przycisnął jego nos całą siłą do tylnej ściany wyrka.

Władek zaczął kopać nogami. Słaby, przepocony wsyp na pierzynce rozdarł się i pierze zaczęło wysypywać się w barłóg.

Mama lubiła opłakiwać naszą nędzę, toteż i wtedy nie obyło się bez łez. Pozbierała pierze, ile się dało, zacerowała wsyp, ale Władek musiał wrócić „w głowy".

Słoma pod nami starła się na miazgę. Nie mogliśmy jej zmienić, gdyż w sąsieku od marca nie było ani jednego snopka. Sieczkę dla krowy ojciec rżnął już drugi miesiąc z poszywki, odzieranej z dachu stodoły.

Ułożeni jak pisklęta w utartym, upierzonym gnieździe leżeliśmy w drewnianym kojcu i czekaliśmy, aż krzątająca się matka zbudzi nas na śniadanie.

Słońce wytoczyło się już dość wysoko i z góry zaglądało w nasze okno.

Nie mogłem dłużej uleżeć. Gdy schodziłem z łóżka, nadepnąłem Staszkowi na stopę. Kopnął mnie drugą nogą i mało brakowało, a byłbym spadł twarzą na lepkę, co groziło wybiciem zębów.

Spojrzałem na piec kuchenny. Był pusty. Ognia ani śladu. Stanąłem przy oknie i patrzyłem bezmyślnie na poruszające się liście starej wiśni.

— A po cóżeś wylazł? — spytała matka... Trzeba było jeszcze spać... Jak się leży, to i jeść się nie chce...

— Nie wstałem, żeby jeść... Wiem przecież, że nic nie ma... Ale gnatów już nie czuję od tych desek.

Matka doradzała, żebyśmy poszli do lasu i sierpami użęli paproci. Gdy wyschnie na słońcu, można ją będzie wściełić do łóżka.

— To lepsze niż słoma — mówiła. — No i pchły się nie trzymają.

Żołądek jednak upominał się o swoje. Już drugi dzień mama nie rozpalała ognia. Nie było po co.

Czytałem drugi tom „Nad Niemnem" Orzeszkowej.

Matka, jakby na usprawiedliwienie, oznajmiła mi, że ojciec poszedł na wieś — może uda mu się pożyczyć trochę ziemniaków.

Staszek chrapał ciągle. Teraz, gdy ja wstałem, nie obowiązywała już dyscyplina leżenia na jednym boku. Dwaj moi bracia mogli swobodnie przekręcać się na wyrku i dać wypoczynek zdrętwiałym kościom.

Mama zaczęła cicho śpiewać godzinki. Przeszkadzało mi to. Wziąłem książkę pod pachę i wymoszlem się z domu.

Słońce wznosiło się coraz wyżej. Ciepłe promienie przenikały przez cajgową bluzę. Kłoszące się żyto szumiało obok. Położyłem się na polnej dróżce, zarośniętej bujną trawą i długo czytałem.

Gdy się zbudziłem, na karcie książki ujrzałem odbity mój spocony nos i brodę.

Słońce zeszło już z południa. Z komina naszej chałupy unosił się dym, tworząc wysoką, prostą smugę. Poczułem burczenie w żołądku. Złożyłem książkę i dość raźnym krokiem podążyłem do domu.

Mama mieszała w tyglu jakieś zielsko. Władek siedział osowiały na ławie z zaspanymi, podpuchniętymi oczami. Staszek postawił nogę na ławie, podparł ręką brodę i patrzył gdzieś w przestrzeń.

W domu panowała zupełna cisza. Nikt nie prowadził rozmowy. Usiadłem obok Władka i milczałem także.

Mama podeszła do nas. Poczułem na głowie jej rękę. Spojrzałem jej w oczy. Dwie duże krople spłynęły po jej policzkach. Nie powiedziała ani słowa. Może nie mogła? Może zastanawiała się nad naszym dalszym życiem? A może myślała, że niepotrzebnie wydała nas na świat?

Smażone w mleku zielsko napełniło izbę miłym zapachem. Mama wróciła do tygla. Dosypywała ciągle soli i mieszała skwierczące liście.

— Może zjeta trochę lebiody? — zwróciła się do nas po pewnym czasie.

Skrzywiłem się i ruszyłem ramionami. Staszek nie odwrócił głowy. Tylko zaspany Władek zsunął się z ławy i podszedł do rondla.

— Nawet dobre... Chodź, Pietrek — zachęcała mama.

Wyciągnąłem się na ławie i czytałem dalszy rozdział.

Nad wieczorem wrócił ojciec dźwigając na plecach pół korca kartofli. Zdyszany, z trudem łapał powietrze.

— A po cóżeś dźwigał? — zganiła go matka. — Czy nie ma kto, czy jak?

— A już chciałem jak najprędzej... Idźta chłopaki do Michałka... tam jeszcze... jest pół korca — mówił rwącym się głosem.

— Od Michałka pożyczyłeś? — zdziwiła się matka.

— Od kogo miałem pożyczyć?... Od tych... wilczych gardzieli? Jak cię biedny nie poratuje... to zdechniesz.

Lecieliśmy po prostu jak na skrzydłach. Wróciła żywność i energia. Zniknie na jakiś czas ta bezustanna myśl o jedzeniu — przechodziło mi przez głowę.

Z ziemniakami na plecach biegliśmy pędem do domu. Gdyśmy weszli, rozchodził się po izbie zapach dogotowującej się zalewajki z grzybami.

Ojciec opowiadał, jak wędrował od jednego do drugiego „bogoca". Nie mógł od razu mówić, o co chodzi. Musiał zagadywać, musiał wysłuchiwać ich bajdurzeń, chociaż o niczym innym nie myślał, jak tylko — w jaki sposób można by poprosić o pożyczkę. A gdy się już odważył — odmawiano. I znów był zmuszony wysłuchiwać długich wywodów, mających usprawiedliwić odmowę.

Ojciec chwalił Boga, naciągał czapkę i szedł do następnego, ażeby usłyszeć to samo.

Tak smacznej kolacji, jaka była u nas tego dnia, nie jada się często w życiu.

Długo wieczorem siedzieliśmy i słuchaliśmy opowiadań ojca o urodzajnych ziemiach Ukrainy, o łagodnym klimacie czarnomorskim, o wielkich śniegach, które zasypywały domy aż po dachy. Aż do pierwszego piania kogutów opowiadał nam o różnych bogactwach, które widział podczas czteroletniej służby wojskowej w armii carskiej. Dziwiliśmy się tylko, że w tak bogatym kraju chłopi mieszkali w dołach i szałasach, że zamiast butów nosili „łapcie", że panowała taka ciemnota i zacofanie.

Byłby nam pewnie wszystko to wyjaśnił, lecz Władek zerwał się ze stołka i pędem pobiegł w kierunku drzwi. Nie zdążył wybiec z domu. Rzygał zieleniną, zjedzoną w południe. Wypita woda potęgowała mdłości. Mamę to ominęło, ale za to rano wstała z zapuchniętą twarzą.

Na górze Marii Magdaleny zatrzymaliśmy się. Taczki pchane dość długo od dworu były stosunkowo ciężkie. Nie dostosowane do pracy tak młodych chłopców.

Na szczycie stała kapliczka. Usiedliśmy na taczkach z odkrytymi głowami. Wiedzieliśmy, jak i wszyscy okoliczni mieszkańcy, że miejsce to jest cudowne. We wnętrzu góry spoczywa uśpione wojsko, które kiedyś wstanie i zawojuje cały świat. Wtedy zapanuje równość i dobrobyt dla wszystkich.

Przed nami rozciągała się ogromna równina, poprzerzynana rowami łąk torfowych. Z lewej strony na chłopskich działkach czerniały już poustawiane kozły. Z prawej, na dworskich, zieleniła się murawa. Tu woda bardzo szybko zalewała doły i torf był płytszy. Z tego powodu nikt nie zgłaszał się do kopania na dworskim. Tym bardziej, że dwór płacił o trzydzieści groszy od tysiąca mniej, niż chłopscy handlarze.

Karbowy wskazał nam miejsce. Nad brzegiem zeszłorocznego dołu mieliśmy prowadzić dziesięciometrowy kanał. Wyrznięty torf należało wywozić tak daleko, ażeby ustawiane rzędy pokrywały się z prowadzonym kanałem. Inaczej nie dalibyśmy sobie rady, gdyż musielibyśmy po kilku dniach omijać przez nas samych ułożone kozły.

Zdjęliśmy wierzchnią darń, splantowaliśmy na równiutko czarną, maziowatą powierzchnię, obliczyliśmy mniej więcej, ile z jednej „ławki" będzie tak zwanych cegieł, i odmierzyliśmy, od jakiego miejsca zaczniemy wywożony torf ustawiać.

Potem oznajmiliśmy karbowemu, że następnego dnia od samego rana zabieramy się do pracy.

Gdy powiedzieliśmy w domu o rozpoczęciu robót, nastąpiła ogólna radość.

Byliśmy dumni z siebie. Ja, chociaż miałem dopiero szesnaście lat, czułem się jak dorosły. Zaczynałem przecież pracować i pomagać rodzinie.

Cieszyliśmy się, że udało się nam ukryć nasze zamierzenia aż do czasu rozpoczęcia roboty.

Wszyscy myśleliśmy tylko o tym, że długi przednówek przeżyjemy za własne, zarobione pieniądze. Ojciec będzie mógł iść na targ i od nieznanego chłopa kupić ziemniaki. Obejrzy, zgodzi, a później z węzełka chusteczki wysupła pieniądze i zapłaci. Uczyni to z godnością. Nie będzie już nieśmiało zagadywał o pożyczkę. Matka o wątłym zdrowiu nie będzie się żywić lebiodą.

Wierzyliśmy, że od tej pory zacznie się u nas zupełnie inne życie.

Zachowaną na żniwa ćwierć prosa ojciec tego dnia wybrał ze słomianki do worka i zaniósł do młyna. Wieczorem wrócił z obrobioną już, żółciutką jaglaną kaszą, którą przeznaczono dla nas na obiady.

Staszek udał się do miejscowego sklepikarza, ażeby omówić z nim możliwości pobierania towarów na kredyt.

Krępy człowieczek w wysmarowanym czarnym chałacie długo patrzył swoimi głęboko osadzonymi oczami w Staszka, jakby badał, czy może zaryzykować. Potem udał się przez oszklone drzwi do mieszkalnego pokoju, — prawdopodobnie chciał się naradzić z żoną. Gdy wrócił, pisał długo za ladą i mruczał coś pod nosem, w końcu zwrócił się do Staszka:

— Mogę wam dawać, co tylko będzie potrzeba. Ojciec wasz był zawsze i jest uczciwy.... Nie boję się, żebym miał stracić na was. Ale jednak pieniądze ulokowane w towarze i wydane na kredyt nie przynoszą żadnego dochodu... byłbym pokrzywdzony.

Dla wyrównania strat, jakie by poniósł udzielając kredytu, musi doliczyć dziesięć procent wartości towaru.

Podkreślił przy tym, że to tylko dla nas wyświadcza tę przysługę, bo gdyby pieniądze te były w obrocie, przyniosłyby mu większy dochód.

Staszek zgodził się. Zdawał sobie sprawę, że sklepowy zarabia na nas podwójnie. Lecz nie było innej rady. Na początek nie mieliśmy ani grosza i nie moglibyśmy zacząć roboty. Byliśmy nawet wdzięczni za wyświadczoną „przysługę". W niedługim czasie mieliśmy otrzymać zaliczkę — wtedy nie będziemy musieli dopłacać tych dziesięciu procent.

Było jeszcze ciemno, gdy zerwaliśmy się z łóżka. W piecu z trzaskiem palił się ogień, rzucając na izbę promienie migotliwego blasku. Mama drewnianą „warzechą" mieszała w saganie kaszę. W drugim żelaznym garnku o dwu uchach dymiła ugotowana już zalewajka.

— Nie można by zapalić lampy? — spytałem.

— Eee... skądże... — odpowiedziała matka. — Nie ma ani kropli nafty. Kury tak mało teraz niosą, że tylko na sól i na zapałki wystarcza.

Ustawiliśmy długi stołek naprzeciwko pieca. Mama nalała zalewajkę w wielką glinianą miskę. Obsiedliśmy ją wokoło. Słabe blaski ognia z jednej strony tylko oświecały blade, zaspane jeszcze twarze.

Staszek krajał długim nożem kupiony na kredyt chleb. Po raz pierwszy od Wielkanocy otrzymaliśmy na śniadanie po dużej pajdzie chleba. Trzeba było nabrać sił do pracy.

Mama odsunęła położoną przed nią kromkę.

— Jedźta, jedźta... — mówiła — ja tam nie idę do roboty, to i o byle czym przełażę.

Osiem łyżek szybko migało w świetle palącego się w piecu drzewa. Czasem następowało zderzenie dwu spieszących po zalewajkę łyżek. Metaliczny trzask głuszył chlipanie zaprawionej mlekiem kartoflanki.

Po śniadaniu przygotowywaliśmy się do drogi. Błota torfowe odległe były o siedem kilometrów. Przenieść kaszę w ręku byłoby trudno. Ojciec poradził zawiązać garnek szmatą i włożyć go do worka. Można wtedy spokojnie nieść kaszę na plecach. Ażeby nie wystygła, najlepiej zabrać w tym samym garnku, w którym się gotowała. Cały dzień trzyma ciepło. Tak właśnie nosił kaszę — twierdził ojciec — gdy jeszcze jako kawaler chodził pracować do smolarni dworskiej w czasach, kiedy tu, gdzie dziś są uprawne pola, rosły jeszcze ogromne lasy dworskie.

Lasy dawno już zniknęły. Ojciec zestarzał się. Teraz my — jak on dawniej — szliśmy z kaszą w worku na plecach do roboty. Ale ciągle na pańskie.

Na podwieczorek matka dała nam po flaszce kawy osłodzonej sacharyną. W czerwoną chustkę w białe kropki, którą mama nosiła na głowie, zawiązaliśmy biały kilogram pytlowego chleba od przytyckich piekarzy.

Zaczęliśmy pracę.

Staszek niezręcznie władał nożem. Każde pchnięcie wymagało wysiłku. Całym ciężarem ciała naciskał na oporną stal noża.

W dolnych warstwach pomagał sobie pchnięciem kolana. Robota jednak szła powoli.

Ja i Władek ładowaliśmy ociekające wodą cegły na taczki i wywoziliśmy daleko od dołu, ustawiając równiutko rzędy kozłów, po dwadzieścia sztuk w każdym.

Kółko naładowanych ciężarem taczek wrzynało się w rozmokłą od deszczu darń. Wypięte pośladki kręciły się raz w jedną, raz w drugą stronę. Trudno było utrzymać równowagę. Czasem kółko zapadało aż po piastę i żadną siłą nie można było pchnąć taczek. Zdejmowaliśmy połowę ciężaru na murawę i jechaliśmy dalej. Po resztę wracaliśmy później.

Kiedy ręce słabły, oślizgłe uchwyty taczek wymykały się z rąk. Małe nachylenie na bok — i cegły waliły się na łąkę, tworząc kopułę zmiażdżonego błota.

Szukaliśmy sposobów, które by nam ułatwiły pracę. Przynieśliśmy grube lniane sznury. Końce postronków przywiązaliśmy do uchwytów taczek i zakładaliśmy sznur na szyję. Chodziliśmy jak w jarzmie. Odciążało to ręce, ale za to pod wieczór nie mogliśmy skręcić głowy w bok. Przez cały jednak dzień taczki ani razu nie wymknęły się nam z rąk.

Ścieżką obok, każdego dnia chodziły kobiety, które nosiły mężom obiady. Przystawały blisko nas i przypatrywały się pracy, kiwając głowami z politowaniem.

Nie mogliśmy nadążyć z wywożeniem wyrzucanego na wierzch torfu. Staszek wychodził wtedy z dołu, ażeby ogrzać nogi. Zimna jak w źródle woda zalewała szybko dół. Drewnianą szuflą wychlustywaliśmy ją do starego kanału obok.

Przyszły pogodne, ciepłe dni. Nierówna powierzchnia łąk pokrywała się ciągle dalszymi rzędami czarnych kozłów. Wprzęgnięci w taczki ze sznurem na szyi pracowaliśmy wytrwale od świtu do zmroku. Wracaliśmy do domu późnym wieczorem, ledwie ciągnąc za sobą nogi. Zmęczeni, zapadaliśmy w twardy sen, jak borsuki. Noc zbyt szybko mijała, i gdy otwieraliśmy rano oczy, odczuwaliśmy większe zmęczenie niż dnia poprzedniego. Kości były jakieś sztywne, jakby poskładane z niedopasowanych części. Po mięśniach przebiegały dziwne dreszcze czy drgawki. Ledwie mogliśmy dźwignąć się z łóżka.

Nie narzekaliśmy jednak. Nie chcieliśmy przyznawać się rodzicom, że praca ta jest ponad nasze siły.

Codziennie rano o wschodzie słońca, polną ścieżynką wśród szumiących kłosów żyta, gęsiego szliśmy do miejsca naszej pracy z kaszą w worku na plecach i kilogramem białego chleba. Zdawaliśmy sobie sprawę, że praca ta dla nas jest katorgą. Cóż innego mogliśmy uczynić? Zarobków nie było żadnych. Do żniw było jeszcze daleko. Wreszcie i wtedy, nie mogliśmy liczyć na zarobki. Trzeba było odrabiać konia, pożyczoną ćwierć żyta lub przywiezioną z lasu cholnę.

Siwy jak gołąb stary rybak Mikołaj często siadał nad naszym dołem i opowiadał różne historie ze swojego życia. Wałęsał się po świecie i nie jedno widział i słyszał. Przyglądając się naszej pracy zwrócił się raz do nas z tymi słowami:

— Ej, chłopcy... Nie dla was taka robota... Tak się męczyć w takim wieku... Róść trzeba na pociechę lepszym czasom, a nie na panów pracować... Ryby lepiej łowić.

— Lepsze czasy... odezwał się Staszek. — Lepszych czasów nie ma co się spodziewać.

— Przyjdą, przyjdą, kochany... Jesteście jeszcze młodzi... a czasy dobre idą... idą, mój chłopcze.

Na obiecaną zaliczkę czekaliśmy cały miesiąc. W końcu po całodziennym oczekiwaniu przed kancelarią Staszek otrzymał czterdzieści złotych. Musiał przedtem doręczyć kwit od karbowego, że wyrżnęliśmy osiemdziesiąt tysięcy cegieł.

Prosto z dworu Staszek udał się do sklepowego, ażeby wyrównać dług. Właściciel był zdziwiony i twierdził, że rzadko trafiają mu się tak solidni dłużnicy. Mógłby nawet poczekać aż do wypłaty, ale skoro Staszek przyniósł pieniądze, to przyjmie — jedzie po towar i przyda się większa ilość gotówki.

Był przy tym bardzo uprzejmy, poczęstował nawet Staszka papierosem „Wisła", ale swoje dziesięć procent lichwy doliczył. W końcu zapewnił, że kredyt mamy w sklepie otwarty i możemy brać na każdą sumę. Pozostałe pięć złotych Staszek wręczył ojcu na kupno kartofli.

Korzystaliśmy nadal z zaufania sklepikarza i pobieraliśmy towary na kredyt.

Pod koniec czerwca nastały upalne dni. Gdy słońce zbliżało się ku południowi, trudno było wytrzymać, taki był upał. Koszule zdejmowaliśmy z siebie, gdyż stawały się mokre od potu, jakby je kto w wodzie namoczył. Pot ściekał po gołych plecach strumieniami. Czarny pył torfowy osiadał na mokrej skórze. Opaleni i brudni, podobni byliśmy do murzynów.

Urządziliśmy dłuższe przerwy obiadowe. W samo południe niesposób było pracować. W wykopane w murawie dołki wstawialiśmy kółka odwróconych do góry uchwytami taczek, tworząc w ten sposób osłonę przed gorącymi promieniami słońca.

W cieniu taczek zajadaliśmy ciepłą jeszcze jaglaną kaszę ze słoniną. W niedługim czasie dostawaliśmy wszyscy straszliwego pieczenia w gardle, zwanego zgagą. Powodowało to pragnienie, które potęgował jeszcze nieznośny upał.

Z wykopanego w ścianie torfu dołka czerpaliśmy garnuszkiem i chłeptaliśmy brudną, cuchnącą zgniłymi korzeniami wodę. Brzuch pęczniał od niej jakoś dziwnie, lecz była zimna i gasiła dręczącą suchość gardzieli.

W jeden z takich upalnych dni Staszka zaczął boleć żołądek. Leżał przez dłuższy czas zwinięty w kłębek na murawie, lecz gdy ból nie ustawał, udaliśmy się do domu. Szedł skurczony, trzymając się ręką za brzuch. Widocznie ból dokuczał mu bardzo, gdyż pod górę lazł prawie na czworakach i siadał co chwilę. Na szczycie Marii Magdaleny położył się i oświadczył, że nie ruszy się z miejsca, chociażby miał zdechnąć. Wił się, krzyczał, jakby go kto rozpalonym żelazem przypiekał.

Nie wiedzieliśmy co robić. Siedzieć przy nim — czy biec gdzieś po pomoc.

Nikt nie słyszał jego jęku. Ani karbowy, ani rządca, ani też właściciel majątku. Tylko spłoszone sroki skrzeczały obok. A może we wnętrzu góry słyszeli jego głos śpiący rycerze? — Wzięliśmy go pod ręce i z trudem przywlekliśmy do domu.

Bez słowa zrzucił z siebie ubranie i położył się do łóżka. Miał czerwone wypieki na policzkach i bardzo szybki oddech. Mama zamoczała chustkę w zimnej wodzie i obwiązała nią głowę Staszka. Ból jednak nie ustawał.

Przerażona mama przyprowadziła starą Wawrzusiową, która miała w okolicy opinię znającej się na wszelkich chorobach. Najbliższy lekarz był o dwadzieścia kilometrów, toteż Wawrzusiowa „pomagała" wszystkim, jak mogła. Leczyła żołądki i serca, płuca i oczy, reumatyzm i nerwy, wszystko co komu dolegało. Potrafiła znaleźć sposób na czarownice odbierające krowom mleko, umiała pomóc zakochanej dziewczynie, ażeby ta pozyskała względy młodzieńca. No i była przy tym doskonałą akuszerką. Nas wszystkich ona wyprowadzała na świat.

Weszła, chwyciła rękę Staszka, dotknęła wargami rozpalonego czoła i zaglądnęła mu w oczy.

— Urok, moi kochani — orzekła. — Jakaś kobieta spojrzała niedobrze na niego... Zaraz to zrobimy.

Obejrzała się po izbie i zatrzymała wzrok na nas.

— Odwróćta się do okna.

Odszedłem od łóżka udając, że nie interesuję się tym, co ona czyni. Usiadłem bokiem i patrzyłem niby w okno. Nikt nie zwracał uwagi, czy usłuchaliśmy jej rozkazu. Podniosła wysoko spódnicę i chwyciła podołek koszuli. Pocierała nim czoło Staszka kreśląc krzyże. Mamrotała przy tym jakieś niezrozumiałe wyrazy, machała rękami, jak gdyby chciała odpędzić ból. Skończyła.

— Zaraz mu przejdzie... Dobrze, że przyszliście, moi złoci... Byłoby go to mordowało... A to szelma jakaś...

Odeszła. Staszkowi nie przechodziło. Całą noc nie spaliśmy. Dopiero nad ranem zasnął. Rano nie odczuwał już bólu, ale chwiał się nie mogąc ustać na nogach. Twarz przez tę noc poczerniała mu jeszcze bardziej, oczy zapadły się głęboko, usta spierzchły od gorączki.

Przez cały dzień nie chciał nic jeść. Nie wierzył, że Wawrzusiowa mu pomogła, chociaż mama była zupełnie tego pewna. Twierdził, że żołądek bolał go od wody z torfu.

Na dwa dni przerwaliśmy pracę. Staszek opadł zupełnie z sił. Trzeciego dnia — trochę później niż zwykle — udaliśmy się znów na łąki. Upał trwał nadal.

Około południa ujrzeliśmy zbliżającego się od strony dworu, ubranego na biało jeźdźca. Kierował się wprost na nas. Gdy zbliżył się na odległość kilkuset kroków, Staszek rozpoznał w nim rządcę. Obok dreptał karbowy z wiaderkiem w ręku.

— Szczęść Boże — odezwał się, zeskakując z konia.

Staszek zdjął czapkę i stał w dole bez słowa. Chude policzki zapadły mu się głęboko. Jego koścista, kwadratowa twarz powleczona była jedynie skórą. Tylko oczy świeciły w czarnej, umazanej błotem twarzy.

— Za płytko — warknął rządca, pochylając się nad dołem.

Staszek pchnął nóż w rozdeptane nogami błoto. Stal zazgrzytała w piasku.

— Nie ma głębiej, panie rządco.

— Cegły za cienkie.

— Sześć cali — powiedział Staszek.

Podałem rządcy stolarski składany metr.

Przykładał miarę do ułożonych cegieł. Każda miała wymaganą grubość. Zmierzył długość.

— Jedenaście i pół... Mówiłem, że mają mieć po dwanaście cali.

— Wszystkie ławki mają po dwanaście, panie rządco — tłumaczył Staszek. — Proszę przemierzyć. W dolnych sztychach mogą się zdarzyć krótsze przez poderżnięcie ławki, ale za to następne sztychy są o tyle znowu dłuższe.

— Pójdziemy obejrzeć kozły — odezwał się rządca.

Poszliśmy wszyscy.

— Za małe odstępy... tu powietrze nie dojdzie. Źle rozstawiacie cegły... każda musi stać oddzielnie. Przecież to miesiącami będzie schnąć...

Tubalny jego głos rozlegał się echem po łące. Władek stał z daleka. Bał się podejść bliżej, gdyż rządca mówił coraz głośniej.

— Rozebrać! — wskazał jeden z kozłów i spojrzał na mnie.

Rozbierałem. Tafelki torfu były już prawie suche. Rządca liczył sztuki.

— Ten — wskazał drugi.

Liczył. Rozbierałem kilkanaście kozłów wskazanych na wyrywki przez niewiernego rządcę. Długo chodził wzdłuż i w poprzek ustawionych rzędów, nim policzył.

— Dwieście dwadzieścia tysięcy... tak? — spytał.

— Tak — odpowiedziałem.

Wiedzieliśmy na pamięć, ile mieliśmy torfu. Każdy tysiąc to dwadzieścia pięć taczek, po których przewiezieniu drżały nogi — każdy tysiąc to chyba nie mniej wylanych kropel potu.

— Skropić naokoło wapnem — rozkazał rządca karbowemu

(Dokończenie na str. 11-ej)

NATALIA OBRĘBSKA

Listy pisane „własną ręką"

„Rola pisma nie ogranicza się jednak do samego tylko rozpowszechniania idei, do samego tylko wychowania politycznego i pozyskiwania sprzymierzeńców politycznych. Pismo to nie tylko kolektywny propagandysta i kolektywny agitator, lecz również i kolektywny organizator. Pod ostatnim tym względem można je porównać z rusztowaniem, które stawia się wokół budującego się gmachu, które określa kontury budowy, ułatwia komunikowanie się poszczególnych budowniczych, pomaga im podzielić robotę i ogarnąć wzrokiem ogólne rezultaty osiągnięte zorganizowaną pracą"...

W. Lenin

Kochana Redakcjo!
U nas jest gospodarz Wiśniewski Józef, który wziął od pewnej wdowy chłopaka, który ma 13 lat i pracuje już przeszło dwa lata, a za pracę nic nie dostaje, a o szkole nie ma co mówić. Kierownik szkoły kilka razy interweniował w tej sprawie i nic nie pomogło. Bo Wiśniewski jest sołtysem, a w dodatku ma żonę sekretarkę gromadzkiego koła Ligi Kobiet. Więc mówi, że on musi mieć kogoś do roboty. Więc prosiłbym Kochaną Redakcję o dopomożenie w tej sprawie. Bo Owczarek Zygmunt jest sierotą, a że jest jeszcze dzieckiem, więc nie wie, gdzie ma się udać, a uczyć się chce, bo ma do tego zamiłowanie. Więc prosiłbym kochaną Redakcję o dopomożenie ob. Owczarkowi Zygmuntowi, żeby mógł kształcić się i wyrość na dobrego obywatela Polski, a nie być popychaczem u wiejskich kułaków, i skierować go do domu dziecka".

Tysiące listów nadchodzi codziennie do redakcji masowych pism. Tysiące czytelników i korespondentów robotniczych i chłopskich zwraca się do Redakcji z wszystkimi sprawami, począwszy od najbardziej osobistych, często nawet błahych, do najpoważniejszych — natury gospodarczo-państwowej. W listach tych czytelnicy piętnują biurokrację, bezduszny stosunek do człowieka, marnotrawstwo, szkodnictwo, zarozumialstwo, pychę i kacykostwo władz terenowych. Niejednokrotnie — chwalą się lub szczycą osiągnięciami własnej gromady, zakładu pracy, szkoły.

Listy te pisane najczęściej niewprawną do pióra lub ołówka, ale „własną ręką", uderzają przede wszystkim niesłychaną bezpośredniością, prostotą ,szczerością i serdecznością. Tak pisze się tylko do bliskich ludzi, którym się ufa, że nie zawiodą, że pomogą.

Nie jest celem tego artykułu przeprowadzenie analizy listów napływających do wszystkich redakcji. Jest to zadanie przerastające siły jednego człowieka i rozmiary jednej czy kilku kolumn. O przeprowadzenie tego zadania pokusić się powinni historycy i ekonomiści, gdyż liczba, problematyka i język listów są cennym wskaźnikiem narastających zmian w naszym społeczeństwie.

Chciałabym się podzielić doświadczeniami jednego z działów, działu kulturalno-oświatowego Redakcji „Gromada" i pokazać — na tle listów — jeden z wycinków wielkiej fali rewolucji kulturalnej, która ogarnęła kraj.

Pęd do oświaty znajduje odbicie w listach chłopskich. Dział kulturalno-oświatowy red. „Gromada" otrzymuje miesięcznie około tysiąca listów. W miesiącach letnich, w okresie zapisów do szkół, fala listów się wzmaga. Pisze młodzież, piszą dorośli. Proszą o wskazanie szkoły, kierunku i adresu, o skierowanie na krus, o stypendium, internat, miejsce w Domu Dziecka, o przysłanie lub wskazanie książki — z dziedziny rolnictwa, techniki itp.

Jan Gajda z Czerwic, pow. Wieluń, kończy szkołę podstawową. Chce zostać nauczycielem.

„Wiem, że do wykonania Planu Sześcioletniego potrzeba nam dużo ludzi z wykształceniem średnim i wiem o tym, że w tym celu musi powiększyć się liczba nauczycieli szkół podstawowych, którzy wychowują młodzież w takim duchu, w jakim życzy sobie nasza ojczyzna, Polska Ludowa".

„Do redakcji zwracam się z prośbą. Jestem młodym obywatelem Polski Ludowej. Prosiłbym bardzo, żeby mnie Redakcja skierowała na kurs kamaszniczy. Tylko nie do Lublina. Bo tam tylko przyjmują takich, którzy ukończyli trzechletnią praktykę. A ja nie mam nic. Dopiero chciałbym się nauczyć na kamasznika. Bo mój ojciec jest małorolnym i nie ma mnie za co uczyć, bo jest małe gospodarstwo. Jestem czytelnikiem „Gromady", dużo czytam gazet i książek, i rozmaitych pism związkowych. Dużo czytam, że małorolnego syn czy córka może się uczyć bezpłatnie. Chciałbym, żebym ja coś miał. Wiem, że rząd ludowy idzie nam na rękę. Prosiłbym bardzo, żeby moje marzenia się skończyły. Proszę odpisać listownie. Podaję swój adres. Cłuchowski Ryszard, wieś Jakusze."

Często te prośby nie są indywidualne, piszą całe gromady, szkoły, organizacje.

„Chcemy mieć w naszej świetlicy bibliotekę, a nie wiemy gdzie się zwrócić. Chcemy czytać książki, chcemy się uświadamiać, chcemy nie marnować wieczorów" — pisze młodzież gromady Korzeniówka. I domaga się tej biblioteczki odważnie, z całą świadomością, mimo że „Ksiądz w Dziadkowicach opublikował wobec całej parafii naszą gromadę Korzeniówka i straszy nas".

„Pracuję u sąsiadów — pisze Alojzy Uler z Rakoszowa — a w wolnych chwilach czytam gazety i książki, jak na przykład: „Watykan a Polska", „Wielka Rewolucja francuska burżuazyjna". „Zagadnienia leninizmu" Józefa Stalina, „Winowajcy klęski wrześniowej", i wiele innych. Erakuje mi nauki leninizmu i chciałbym się podzielić z innymi gromadami doświadczeniem z nauki Lenina i Stalina, ale chciałbym przeczytać wszystkie dzieła Lenina, które trudno mi jest dostać."

Na każdy list Redakcja odpowiada, radzi, pomaga i interweniuje. Z kolei przychodzą nowe listy z podziękowaniami i nowymi bolączkami. Często z tych czytelników rodzą się korespondenci, którzy współpracują z gazetą, którzy organizują pracę w terenie.

Redakcja w swojej pracy napotyka na duże trudności. Wynikają one przede wszystkim z niedocenienia i niezrozumienia uchwały Partii i Rządu w sprawie skarg i zażaleń, wynikają z biurokratycznego, bezdusznego stosunku do listu, „z papierkowego" załatwiania sprawy, z komenderowania zza biurka.

Jakże często zdarzają się fakty, że sprawa wędruje z Wojew. Rady Narodowej — a niejednokrotnie i z Centrali — w teren i przechodząc przez Powiatowe, Gminne i Gromadzkie władze terenowe, za jedyną podstawę ma zeznanie — oczywiście obalające stawiane w liście zarzuty — oskarżonego. Niejednokrotnie zdarza się, że władze nie kontrolują w terenie wykonywania swych zleceń. Skutek tego jest taki, że interwencja „na papierze" jest załatwiona, a faktycznie — nie ma zmian.

Jaskrawym przykładem takiego załatwienia sprawy pochwalić się może Rada Narodowa w Kielcach. Nauczycielka wiejska H. W. zwróciła się do redakcji z prośbą o interwencję. Władze szkolne postanowiły przenieść ją do innej wsi, nie biorąc pod uwagę faktu, że spodziewa się dziecka i że mąż jej, małorolny chłop, ma ziemię w miejscu jej pracy. Na skutek naszej interwencji otrzymaliśmy w sierpniu przez Ministerstwo Oświaty pismo od Wojewódzkiej Rady Narodowej powiadamiające o pozostawieniu nauczycielki na miejscu.

9 stycznia b. r. wpływa do redakcji nowy list od ob. H. W. „Droga „Gromado". Będąc jeszcze w szpitalu otrzymałam pismo od ciebie, w którym doniosłaś mi, że będę nadal pracować w tej samej szkole. Proszę sobie wyobrazić moją radość i zadowolenie. Lecz dziś dosłowna rozpacz. Po urlopie macierzyńskim zgłaszam się do pracy, oczywiście z twym, droga „Gromado", pismem, a ob. kierownik zdziwiony spojrzał na mnie i powiada: „To mnie nic nie obchodzi, my nic nie wiemy". I kazał mi pismo sobie zabrać. „Gromado", mam 9-tygodniowe dziecko, jestem po operacji (carskie cięcie)— pomóż mi. Proszę cię, nie odkładaj pisma, bo już 7 stycznia muszę iść do nowej pracy".

Sprawa ta nie wymaga komentarzy.

A już całkowitym niezrozumieniem roli krytyki w naszym budownictwie są „dochodzenia" toczone przeciwko autorom listów, wytaczanie im procesów sądowych, wymuszanie na nich odwołań skarg i zarzutów.

Taki niezwykły przykład tłumienia krytyki miał miejsce w Limanowej.

Od nauczycielki wiejskiej Aleksandry Kondolewicz wpłynął list.

„Droga „Gromado"! Chciałbym się zapytać, gdzie ma się udać chore dziecko szkolne, do jakiego lekarza? Powiedziano nam, że ze szkolnym dzieckiem trzeba iść do Ośrodka Zdrowia. Tak też zrobiłam. I poszłam z chorą dziewczynką do Ubezpieczalni w Limanowej. Tam po południowym czekaniu powiedziano, że takich wcale nie przyjmują, że potrzeba mieć reklamacje. Dziewczynka ma gorączkę, boli ją szyja koło uszu i gardło. Jest pół sierotą. Ma niemożliwe warunki w domu. Szkoła chciała się nią zająć. W Ośrodku dziecka nie przyjęto, a panienki odburkiwały bardzo arogancko. Byłam też z dzieckiem w szpitalu, ale tam też nic nie poradzono. Z całej tej wyprawy wyniosłam obawę, że dziecko zachoruje po 15 kilometrowej podróży furmanką"...

Powiatowa Rada Narodowa zamiast wyciągnąć konsekwencje z niewłaściwego potraktowania chorej uczennicy w Ośrodku Zdrowia, zamiast zainteresować się losem sieroty, wymusiła na nauczycielce odwołanie skargi. Zostało to oficjalnie zaprotokółowane w obecności kierownika Wydziału Oświaty i urzędnika Wydziału Zdrowia. Obecnie Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie na skutek ponownej interwencji redakcji poleciło Powiatowej Radzie Narodowej raz jeszcze sprawę rozpatrzyć.

28 listopada 1951 roku otrzymaliśmy następujące pismo: „Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Limanowej po rozpatrzeniu na swym posiedzeniu kolegialnym interwencji dotyczącej lekceważącego potraktowania ob. A. Kondolewicz, nauczycielki publicznej szkoły podstawowej w Młyńczycach przez Ośrodek Zdrowia w Limanowej, wyraziło wymienionej swoje uznanie za jej postawę, energiczne zajęcie się chorym dzieckiem i wytrwanie przy tym stanowisku mimo wykrytych w toku sprawy trudności i nieprzyjemności".

Taki niewłaściwy stosunek terenu do skarg chłopskich obowiązuje redakcję do jeszcze większej czujności, do jeszcze bardziej wnikliwej analizy i kontroli napływających listów, skarg oraz trybu ich załatwiania. Niejednokrotnie otrzymana odpowiedź, nie wystarczająca, powierzchowna, bądź krzywdząca czytelnika, powoduje z naszej strony ponowną interwencję, która w większości wypadków wykazuje słuszność skargi czytelnika.

Niedociągnięcia nie powinny jednak i nie mogą przesłaniać ogromnej pracy władz terenowych, dla których listy czytelników i korespondentów są wielką pomocą w usuwaniu braków, błędów i szkodnictwa.

ZAMIAST LISTU — CZYTELNIK

Były to pierwsze dni września 1949 roku, gdy do redakcji „Gromada" przyszedł Stanisław Rak, mały chłopiec z głuchej rzeszowskiej wsi. Kurtka za ciasna, rękawy za krótkie — na bosych nogach duże ojcowskie kamasze. Ubrany był czysto, starannie. Wiadomo, jechał do stolicy, do Warszawy. Cały jego majątek — to bochenek chleba, który ściskał pod pachą, metryka urodzenia zmarłej matki i świadectwo ukończenia 7 klas. Wskazywał palcem, że ma tylko jedną trójkę, reszta to czwórki i piątki . Przyjechał, a właściwie w połowie przyszedł z rodzinnej wioski. Bilet do Warszawy kupił za pieniądze zarobione latem na budowie. Na bilet powrotny pieniędzy nie miał.

Czytał w „Gromadzie", że dzieci chłopów mogą się uczyć, więc przyjechał do redakcji, żeby go skierować do średniej szkoły, do takiej z internatem, bezpłatnym. Do szkoły może pójść już, nie ma po co wracać na wieś i chce jak najszybciej rozpocząć naukę.

Mówił z przekonaniem i stanowczością o tej szkole, w której będzie się uczył. Jego silna wiara, przekonująca pewność i nam się udzieliły. Po kilku godzinach zabiegów i starań okazało się, że Rak ma rację: znalazła się dla niego szkoła z internatem. Rak udał się do Gdańska.

Już w październiku nadchodzi pierwsza wiadomość od Raka z Gimnazjum Przemysłowego Portowych Zakładów Przemysłu Tłuszczowego i Olejarskiego w Gdańsku.

„Muszę Wam przyznać, że postępy w nauce idą mi dość dobrze. Zasyłam Wam ankietę moich ocen za I półrocze. Mimo, że nisko stałem w nauce, jednakowoż idzie mi coraz lepiej".

„Czuję się dobrze wśród kolegów. Cieszy mnie to, że ja taki młody mogę pracować w organizacji. Moje marzenia, droga Redakcjo, to są na przyszłość, by zostać aktywistą w organizacji ZMP, pracować w organizacji i być wielkim politykiem, idąc drogą marksizmu i leninizmu".

Po jakimś czasie Rak pisze: „Donoszę Ci, Redakcjo, że zakochany jestem w dziełach Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. Ich dzieła płyną mi do serca jak miód".

„Na swoją prośbę zostałem zwolniony z Gimnazjum, a objąłem funkcję referenta robotniczego IV dzielnicy Nowy Port, ZMP, oraz uczęszczam do szkoły wieczorowej. Obecnie mamy już 16 kół należących do IV Dzielnicy Nowy Port oraz już mamy 6 kursów pierwszego stopnia.

Z załączonej do listu fotografii trudno poznać Raka. To dopiero kilka miesięcy, a już tak wyrósł i zmężniał. Ten chłopiec bez rodziny, bez pomocy materialnej z domu, którego jedynym doradcą jest Redakcja, a opiekunem — organizacja ZMP, wykazuje dużo hartu i żywotności.

Rak ma jedno marzenie: Chce służyć w wojsku. Jeszcze w marcu prosi Redakcję.

„Jeśli jestem godzien i jeżelim zasłużył, to żebyś mi się, kochana „Gromado", wystarała, abym mógł służyć w wojsku ludowym i uczyć się na oficera"...

W sierpniu marzenie się spełnia. ZMP kieruje Raka do Szkoły Marynarki Wojennej. Po 3 miesięcznym stażu rekruckim dostaje się do Szkoły Specjalistów Morskich. W listopadzie 1950 roku Rak pisze do nas:

„Jestem obecnie żołnierzem Ludowej Marynarki Wojennej. W Marynarce czuję się tak jak w domu".

W styczniu 1951 roku zaprasza nas Rak na wielką uroczystość składania przysięgi.

W maju przyszedł do naszej Redakcji marynarz, wysoki, ogorzały. Nikt z nas nie poznał w nim tego małego Raka, który przed niespełna dwoma latami, bezradnie mnąc czapkę, prosił o skierowanie do szkoły. Witaliśmy go jak najdroższego gościa. Opowiedział nam o swojej nauce, pracy, o pięknej przyszłości. Dziś jest już Rak w Szkole Oficerskiej.

„Tak się zawsze składa, że kiedy podchorążowie jadą na wieś w ramach łączności Wojska Ludowego ze wsią, to ja jadę zasze jako agitator. I chcę zostać Waszym korespondentem i pisać o tym. Napiszcie mi, czy Was to będzie interesowało?"

Taka jest droga życiowa Stanisława Raka. Podobnie przebijają się, pną w górę dziesiątki tysięcy młodzieży chłopskiej.

Prezydent Bolesław Bierut w Orędziu Noworocznym powiedział: „Czyż każdemu z nas nie rośnie serce na widok dziesiątków i setek tysięcy naszej młodzieży, śpieszącej do naszych szkół i liceów, politechnik i uniwersytetów, których podwoje były dla niej dawniej zamknięte na trzy spusty.

Czyż każdemu z nas nie rośnie serce na widok dziesiątków i setek tysięcy młodzieży — dawniej skazanej na beznadziejną wegetację — dziś zaludniającej nasze fabryki maszyn i samochodów, nasze huty i kopalnie, nasze tkalnie i cementownie, prowadzącej nasze koleje i statki dalekomorskie".

Natalia Obrębska

ZOFIA WOŹNICKA

Powieść o Żuławach

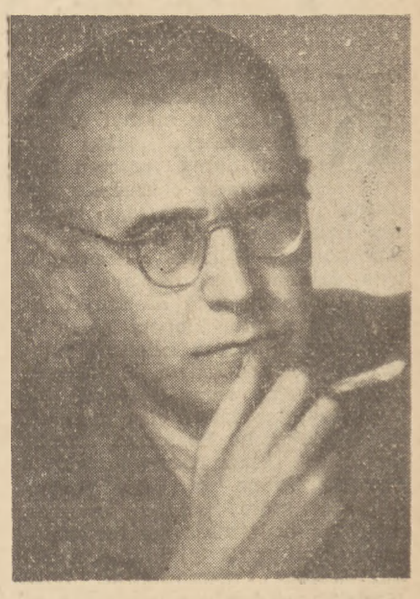

Foto Doris
Władysław Rymkiewicz

Książka Władysława Rymkiewicza*) mówi o czasach niedawnych, ale należących już do historii. Osnuta jest na tle walki o ziemię, zatopioną przez hitlerowców na Żuławach wtedy, kiedy musieli ją opuścić. Jest o tej walce opowieścią.

W zmaganiu się człowieka z żywiołem jest patos. Powieści o podobnej tematyce można naliczyć wiele, filmów także.

Kiedy czytałam „Ziemię Wyzwoloną" przypomniały mi się trzy książki:

„Robinson Crusoe", powieść z okresu dwudziestolecia, — „Woda wyżej" — Jalu Kurka, „Daleko od Moskwy". Czytelnik się skrzywi. Ale nie chodzi tu o uprzykrzoną wpływowość. Przypomniały mi się po prostu książki o walce człowieka z naturą.

Robinson, kiedy tylko niebezpieczeństwo przestawało mu zagrażać, stawał się eksploatatorem, rozrywał nić ludzkiej solidarności, która zawiązuje się między ludźmi walczącymi przeciw niszczycielskiej sile.

Bohater Jalu Kurka należał do wojskowej ekipy ratowniczej w czasie wielkiej powodzi 1932 r. W czasie akcji ratowniczej zachowywał się dzielnie. Ale co dalej? Jego zwierzchnicy tylko w wyjątkowej okazji pozwolili mu działać w obronie istotnych, humanistycznych wartości. Bohater wyczerpany nie wie jasno, co mu dalej czynić wypada — ot przeżył chwilę jedyną, chwilę walki z czymś zdecydowanie antyludzkim, objawienie istotnego sensu w świecie, który sensowi urąga.

W ustroju socjalistycznym walka z naturą nabiera nowego sensu. Teraz bohaterem nie jest samotny człowiek, lecz całe społeczeństwo. Dla socjalistycznych bohaterów walka z żywiołem to tylko etap pracy. Dlatego nie występuje ona w oderwaniu i dlatego po przeczytaniu książki nie niepokoi nas pytanie „Co z tymi ludźmi będzie dalej?" Tak jest w „Daleko od Moskwy".

Książka Rymkiewicza wymaganiom tego rodzaju utworów próbuje sprostać. Może dlatego też prosta jej akcja nie wprowadza melodramatycznych efektów tej walki. Jest to oczywiście także sprawa temperamentu pisarskiego.

„Ziemia Wyzwolona" na 124 stronach małego formatu zawiera opowieść o wielkim wysiłku polskich robotników, o przebudowie spółecznej wsi, o walce z mikołajczykowskimi wpływami, osiedlaniu Ziem Zachodnich i o przemianie wewnętrznej człowieka, wciągniętego do kolektywnej pracy. Nie ma tu wykrzykników, nie ma gadulstwa, dość rzadko używa się słów „wspaniałe" „nadzwyczajne osiągnięcia". Zjawiają się one wtedy, kiedy już widać pęknięcie kompozycji, w drugiej części książki. Powściągliwość, dyskrecję w stosunku do bohaterów i ich spraw należy uznać za plus książki, dopóki nie zaczyna ona grzeszyć z obojętnością dla ich losów. Zdaje się, jakby w dalszych partiach powieści wyjaśnienie działania urządzeń technicznych było ważniejsze od spraw ludzkich. Powieść zostaje przytłoczona reportażem, który też nieszczególnie na tym małżeństwie wychodzi; nuży, staje się sztuczny. Nie pomaga rozłożenie go „na głosy" i wyrecytowanie przez kilka postaci, kreowanych jakby tylko po to, żeby czytelnikowi podać owe szczegóły akcji odwodnienia (np. Walicki, spec sceptyczny z teczką ze świńskiej skóry).

Autor rozumował słusznie, że nie można sprawy odwodnienia Żuław pokazać odseparowanej od innych zagadnień naszego życia. Właśnie przez blade, peryferyjne postaci mają te inne sprawy być zadokumentowane. Jednak w dziele artystycznym postać chybiona nic nie tłumaczy i niczego nie obrazuje. I z chwilą, kiedy autor przytłoczony nadmiarem materiału rezygnuje z pokazania wszystkich spraw konsekwentnie w jednym pryzmacie, a przejmuje wszechobecność, właściwą epopei, innymi słowy — kiedy porzuca żywego bohatera Michała Janika — powieść blednie. Konflikty, zamiast się zbliżyć odsuwają się sprzed oczu czytelnika (sprawa kułaków, usuniętych z urzędów przez Partię zaczyna się od mocnej sceny przed gminą — po tym następują już tylko relacje, rozmowy „na stronie"). Brak tu soczystości, rozmachu, wielkich scen, powściągliwość staje się tłumikiem tym bardziej uprzykrzonym, im bardziej się w dzieło Rymkiewicza wczytujemy.

Bo mimo wszelkich zarzutów książka „bierze". Może dlatego drażni „niedokończoność" postaci, że mają one kształty ludzkie. Przywiązujemy się do nich i do wydzieranych wodzie, czarnoziemych Żuław.

Świadczy to o tym, że książka spełniła w pewnej mierze swoje zadanie. Na pewno sięgniemy teraz po drugą bardziej skończoną rzecz o tych ludziach i tej ziemi, może ją Rymkiewicz napisze?

Zofia Woźnicka

*) Władysław Rymkiewicz „Ziemia Wyzwolona" 1951 r. nakł. „Książka i Wiedza" red. odp. Janina Rosnowska.

Z wizytą u wydawców

Nowy rok kalendarzowy jest równocześnie początkiem nowego roku wydawniczego, momentem kiedy zaplanowuje się i ustala pozycje książkowe, które w owym okresie mają się ukazać na półkach księgarń. Aby zapoznać naszych czytelników z zamierzeniami instytucji wydawniczych na rok 1952, postanowiliśmy przeprowadzić rozmowy na ten temat z ich przedstawicielami, które kolejno opublikujemy.

LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

W ubiegłym roku niejeden z czytelników zwrócił zapewne uwagę na ożywioną działalność „Ludowej Spółdzielni Wydawniczej" w zakresie edycji powieści współczesnych o tematyce wiejskiej. Tutaj ukazała się dwutomowa powieść **Antoniego Olchy** „Most nad urwiskiem" oraz kilka nowych książek **Stanisława Piętaka i Józefa Ozgi-Michalskiego.** Ostatnimi czasy staraniem tejże spółdzielni otrzymaliśmy tom nowel **Władysława Kowalskiego** pt. „Bestia", ciekawy debiut **Stanisława Orła** „Pod łysicą" (por. „Nowa Kultura", nr 86), dwa tomy prozy **Jana Koprowskiego:** „Opowieść o moim ojcu" i „Sprawę Marcina Piechoty" (pisaliśmy o nich w nr 90) oraz bardzo pozytywnie ocenianą przez krytykę powieść **Edwarda Marca** „Słońce wschodzi". Powieść ta, o której w „Nowej Kulturze pisał Wilhelm Mach a w „Życiu Literackim". A. Lam, jest debiutem prozatorskim poety, którego znaliśmy dotąd z wydanego w 1946 roku tomiku wierszy „Wnuczek orze". Jeśli jesteśmy już przy poezji, dodajmy, że „LSW" wydała również poemat epicki **Stanisława Skonecznego** o Ściegiennym pt. „Proboszcz z Chodla" oraz „Wiersze wybrane" **Stanisława Piętaka.**

Aby zorientować się w planach edycyjnych Ludowej Spółdzielni Wydawniczej na rok bieżący, zgłaszam się do redaktora działu literackiego, **Teodora Goździkiewicza.** Na biurku zastaję gotowe już, chociaż jeszcze nie rozesłane, opasłe. studium. **Stanisława Czernika** „Poezja chłopów polskich" — jak mnie informują — próba interpretacji poezji ludu wiejskiego ze stanowiska marksistowskiego. Gotowy jest również tom **Władysława Dunarewskiego** „Wiosenny wiatr" (następna pozycja po wydanym w roku zeszłym „Ciężarze rąk") oraz nowa powieść **Stanisława Piętaka** „Wspólna dolina".

Zadania, jakie stawia sobie Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza w dziedzinie literatury pięknej, zarówno naszej współczesnej, jak też i przekładowej, można by streścić jednym zdaniem: wydawanie książek o problematyce wiejskiej. Nie ulega wątpliwości, że tematyka wiejska odznacza się pewną specyficznością, stąd też dobrze jest, że pisarze zajmujący się nią posiadają odpowiednią placówkę wydawniczą, co nie oznacza — rzecz jasna — iż zasklepiają się oni w jakiejś „zaściankowości" ani też, że wszystkie współczesne powieści poświęcone wsi ukazują się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.

Plany wydawnicze omawianej placówki przedstawiają się na rok bieżący niemniej ciekawie niż w roku ubiegłym. Dokonajmy krótkiego przeglądu zaplanowanych pozycji w porządku alfabetycznym. **Adam Bahdaj,** który debiutował powieścią sportową „Ich pierwszy start", wydaje drugą swą powieść pt. „Skalista ubocz", poświęconą również specjalnej tematyce, a mianowicie problemowi hodowli owiec.

Popularny pisarz starszego pokolenia, **Józef Bieniasz,** autor znanej w swoim czasie trylogii młodzieżowej: „Edukacja Józia Barącza", „Maturanci" i Korporanci" — wydaje powieść „Olszanica — wieś zagubiona", która zapowiada się na pierwszą część obszerniejszej całości. Niewidomy, młody pisarz wiejski, **Stanisław Gębala,** debiutuje „Życiorysem prostym". **Teodor Goździkiewicz** drukuje powieść z życia rybaków mazurskich „Jezioro i niespodzianki", a **Jan Koprowski** — tom opowiadań współczesnych „Po latach". Znany pisarz ludowy, **Józef Morton,** przygotował do druku powieść pt. „Wieś nad Rozdolanką", a **Antoni Olcha** — powieść zatytułowaną „Szymon Radoń", stanowiącą ciąg dalszy „Mostu nad urwiskiem". Listę prozy zamyka powieść **Stanisława Orła** „Droga do miasta", poświęcona problemowi przechodzenia ludzi ze wsi do środowiska miejskiego, oraz nowa książka autorki „Topieli" **Zofii Drożdż-Satanowskiej** — „W Rościeniach". W dziedzinie poezji możemy zaanonsować na razie jedynie nowy tom wierszy **Stanisława Piętaka** „Przedownica Anna" (tytuł całości pochodzi od tytułu dłuższego poematu, który wejdzie w skład zbiorku).

Literatura przekładowa nie przedstawia się tak ciekawie jak rodzima, ponieważ Spółdzielnia nastawiona jest głównie na wydawanie dorobku pisarzy polskich — niemniej wymienić można kilka interesujących pozycji. A więc: powieść bułgarskiego pisarza, **Andrcja Guiaszki,** „W ośrodku maszynowym", która uzyskała w roku 1951 nagrodę Dymitrowa; dwutomowe „Utwory wybrane" rosyjskiego, mało znanego klasyka **Podjaczewa,** którego dorobek wysoko cenił Gorki; oraz **P. Veresa** trylogię „Trzy pokolenia", obrazującą przeobrażenia zachodzące na wsi węgierskiej.

Dziękujemy w imieniu czytelników za uzyskane informacje, wyrażając przekonanie, że w ciągu bieżącego roku nie raz jeszcze będziemy mieli sposobność przypomnienia powyższych pozycji, kiedy ukażą się one na półkach księgarń.

Opracował **Grze-ski**

Z OKAZJI 10-LECIA
Polskiej Partii Robotniczej

Serce narodu — antologia polskiej poezji rewolucyjnej, str. 316, zł 10.00
MORCINEK G. **Urodzaj ludzi** (o walkach A.L. w Zagłębiu), str. 195, zł 10.80
PRZYMANOWSKI J. — **„W pierwszym szeregu"**, str. 142, zł 5.—

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Wydano z serii
Wydział Historii Partii KC PZPR

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ POWSTANIA POLSKIEJ PARTII ROBOTNICZEJ
(Materiały i dokumenty)
Styczeń 1942 — Grudzień 1948
Str. 646, wkł. 20, zł 17.—

O POLSKĘ LUDOWĄ
Zbiór wierszy i pieśni z lat 1941 — 1951
Str. 164, zł 9.—
„KSIĄŻKA I WIEDZA"

LECH BUDRECKI

PRZED WRZEŚNIEM

Krytyk przystępujący do oceny „Kleszczy"*) znajduje się w niezbyt dogodnej sytuacji. Każda bowiem ukuta przezeń formuła może okazać się nietrafną, niewystarczającą, wadliwą. Dzieje się tak nie dlatego, iżby powieść Wilhelma Szewczyka była dziełem wieloznacznym, pełnym niedomówień i niejasnych aluzji. Po prostu, kłopoty nasze to wynik obcowania z dziełem ostatecznie nieukończonym, z dziełem, którego pełny obraz poznamy dopiero czytając dalszy ciąg opowieści o dziejach Bartoszka, Emila Szóstcka i Jilka. Łatwo tu więc o pomyłkę, łatwo o takie przepowiednie, które później zawodzą, ściągając śmieszność na niefortunnego wróżbitę. Z tej racji z książki możemy wyprowadzać tylko wnioski częściowe, wyczekując na całość utworu, która pozwoli nam zdać sobie w pełni sprawę z wszelkich walorów i mankamentów, beletrystycznych osiągnięć debiutującego na terenie prozy poety.

Akcja powieści, o której mówimy, zaczyna się w ostatnich dniach sierpnia 1939 r. Kończy ją pierwszy września, początek wojny, wkroczenie Niemców do nadgranicznej osady. Na bardzo krótkim odcinku czasu pisarz przeprowadza rozpoznanie sił społecznych, uwikłanych w konflikt, formułując diagnozę ówczesnej sytuacji. Owa chronologiczna kondensacja wypadków, przedstawionych w dziele, stanowi konsekwencję wyboru historycznego momentu, w którym rozgrywać się mają wydarzenia wypełniające „Kleszcze". Pisarz zlokalizował przecież fabularną intrygę swej książki w przededniu drugiej wojny światowej, a więc wówczas, kiedy najbardziej istotne antagonizmy objawiały się w sposób gwałtowny i wyrazisty, kiedy w ciągu kilkudziesięciu godzin rozpoznać można było świadomych i nieświadomych aliantów faszyzmu oraz jego przeciwników.

Zanim regularne wojska niemieckie opanują kopalnię, wokół której toczą się dzieje bohaterów powieści, wtargnie na jej teren grupa miejscowych dywersantów. Nie napotka na poważniejszy opór. Armia polska cofnęła się w kierunku Pszczyny, urzędnicy, gromko wykrzykujący dotąd optymistyczne frazesy, zdążyli już uciec, policja rozbiegła się i pozrzucała mundury. Ale czy to prawda, że faszyści nie trafiają na zdecydowany sprzeciw, że czeka ich jedynie bierna niechęć. Nie, książka protestuje przeciw takim przypuszczeniom. Słupik, w którym budzi się coraz to większa nienawiść do czynnych propagatorów hitleryzmu, świadomy celu swej walki, Bartoszek, zbiegły z Niemiec komunista, Ernest, wprowadzony w problemy proletariackiej walki Kłódok stanowią przecież wskaźnik tych sił, które podejmą konspiracyjną działalność, które zejdą do podziemia i odrzucą kapitulację. Im jednym uda się pomyślnie złożyć egzamin w ciężkie dni września 1939 roku. Nie będą uciekać, pozostaną na Śląsku, stawią opór. Nikt inny poza nimi nie jest do tego zdolny. W zarysowanym przez prozaika obrazie mamy do czynienia z realistycznym widzeniem wrześniowej klęski. Szewczyk trafnie ustala właściwych przeciwników faszyzmu, umiejscawiając ich pomiędzy tymi, którzy obronę ojczyzny łączyli ze sprawą walki o przyszłe socjalistyczne społeczeństwo. To poważne osiągnięcie w poszukiwaniu beletrystycznej formuły dla wypadków 1939 r. Rzeczywiści ich bohaterowie zostali odnalezieni, pojawili się na kartach powieści, zajmując takie miejsce, jakie wyznaczyła im hierarchia historycznych zasług. Fakt, iż prześladowany przez sanacyjną policję Bartoszek staje się właściwym kierownikiem obrony przeciw faszystowskiemu najazdowi, dowodzi tego przecież w sposób najzupełniej przekonywający. Prozaik przeniósł bowiem na grunt dzieła nieskłamany kształt wydarzeń, dokonał słusznej ich oceny, nie popełniając pomyłki w poszukiwaniach prawdziwych antagonistów faszyzmu. Odrzucił przy tym nacjonalistyczną interpretację wrześniowej kampanii, kreśląc jej obraz już nie w kategoriach starcia dwu narodów. W tym właśnie celu wprowadził do powieści postać Ernesta, przekraczającego w dniu wojny polską granicę, by zbiec z szeregów Wehrmachtu. Konflikt bowiem, którego spodziewają się lada dzień bohaterowie „Kleszczy", a który na koniec wybucha, to nie starcie dwu różnych grup narodowościowych, to przede wszystkim dla klasowo uświadomionych proletariuszy początek wielkiej rozprawy z wielbicielami swastyki i koncernów.

W chwili, w której żegnamy Bartoszka, zastanawiającego się nad sposobami kontynuowania oporu, wiemy już, że nie ma on prostego zadania, że czeka go mozolna praca, że przyszłość sygnalizuje wiele niebezpieczeństw. Osied-

*) Wilhelm Szewczyk. „Kleszcze". P.I.W. 1951 r.

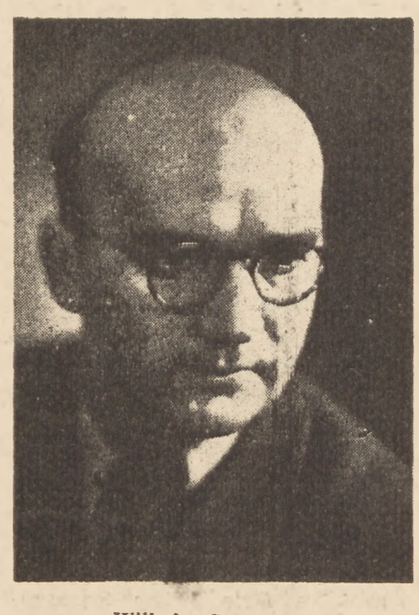

Wilhelm Szewczyk

le, w którym będzie usiłował działać, na pewno nie jest zjednoczone w swych politycznych sentymentach. Znajdują się przecież na jego terytorium zdeklarowani, ba, ofiarni zwalennicy trzeciej Rzeszy i jej „wodza", którego wielkim portretem tak gwałtownie cieszy się Czypryna. Linia demarkacyjna, oddzielająca tu admiratorów faszyzmu od jego przeciwników, biegnie wzdłuż granic wyznaczonych przez zróżnicowanie klasowe. Przeciwmitowi o potężnym i zasobnym niemieckim imperium, za którym kryje się mało poetyczny i mało uduchowiony wzrost dochodów monopoli, opowiada się prawie bez wyjątku proletariat, pokładają zaś w nim swe nadzieje drobni kupcy, przedsiębiorczy episjerzy, posiadacze kilkudziesięciomorgowych gospodarstw. Taka diagnoza rozkładu sił na Górnym Śląsku w roku 1939 nie może wzbudzać wątpliwości. Na pewno powstała pod piórem realisty, na pewno nie stanowi następstwa dezorientacji pisarza, który uchwycił faktyczny stan rzeczy. Dlatego widzimy tutaj dalsze świadectwo osiągnięć powieści, nową jej zasługę. Niemniej jednak nie wolno nam z tych racji zapominać o uchybieniach dzieła, milczeniem pomijać niepokojące jego strony, wyświadczając tym samym powieściopisarzowi niedobrą przysługę.

Trafność spostrzeżeń Szewczyka troskliwie obserwującego nasilenie antagonizmów w małym nadgranicznym osiedlu podczas ostatnich dni sierpnia 1939 r. sprowadza się między innymi do synchronizowania pozycji społecznej bohaterów i ich politycznych przekonań. Tak to komentarzem do poglądów Ducha zostanie jego gospoda, wyjaśnieniem antysemityzmu Komandera — posiadany przezeń zakład szewski. Oczywiście tego rodzaju metoda tłumaczenia postawy poszczególnych powieściowych postaci nie nastręcza szczególnych obaw. Powstają one jednak wówczas, gdy taką właśnie eksplikację zachowań i przeżyć bohaterów książki tworzyć musi sam czytelnik, wyręczający autora, który ograniczył się jedynie do przypisania przedstawicielom określonej klasy pewnych gustów, dyspozycji, zapatrywań, który nie zademonstrował nam, jak pozycja społeczna kształtuje uczucia i upodobania, który zadanie to przekazał wyobraźni odbiorcy. Dotykamy tu choroby bardzo znamiennej i mimo wszystko dosyć niebezpiecznej, a to z tego względu, iż wydaje się być zakaźną. Cierpią na nią nie tylko „Kleszcze", cały szereg utworów naszej współczesnej prozy ulega tej epidemii. Nazwać by ją można brakiem dostatecznej motywacji postępowania bohaterów. Prozaik wyręcza się w tym miejscu efektownym zestawieniem ich poczynań z tą sytuacją społeczną, w której się znaleźli. Konstatujemy wówczas trafność jego obserwacji. Na tym jednak nie kończą się obowiązki pisarza. By w pełni im podołać, trzeba odpowiedzieć na pytanie: dlaczego Duch wspiera hitlerowską J.D.P.? A opis restauracji nie zastąpi nam takiej odpowiedzi. Dopiero po zapoznaniu się z procesem powstawania sympatii i awersji, upodobań i niechęci posiadacza cieszącej się dobrą frekwencją gospody, uformowanych przez jego pozycję, zrozumiemy powody, dla których znalazł się on pomiędzy wyznawcami norymberskich ustaw.

Gdzie indziej nie napotkamy nawet na ten zabieg, gdzie indziej rodowód nie wystarczy już dla eksplikacji działania powieściowej postaci. Tam więc rozpocznie się prawdziwa kraina niespodzianki. By zwiedzić ją pobieżnie, wystarczy krótka znajomość ze Sliną. Slina jest związany z J.D.P., Slina wiernie sekunduje Duchowi, Slina wspomaga policyjną akcję faszystów. Myśli wówczas: „Nareszcie się nasycę i załodze pokażę, że siła nasza i władza jest jedyna i nieograniczona". Przyczyny, powodujące takie właśnie stanowisko bohatera „Kleszczów", stanowić mogą jedynie dziedzinę domysłów czytelnika. Nic jednak ich nie potwierdzi, nic — nie podtrzyma. Pisarz strzeże bowiem zazdrośnie swych sekretów.

Rozważany przez nas przypadek nie jest zjawiskiem odosobnionym na terenie dzieła. Bez większej fatygi wykryjemy dalsze symptomy nieumotywowanych poczynań powieściowych postaci. Powołajmy się tylko na przykład starego Cieślika. Znów przedmiotem naszych obserwacji stanie się dziwaczny i niepokojący fenomen. Brat dwu powstańców śląskich, kombatantów roku 1921 okazuje się ślepym zwolennikiem hitleryzmu, zaufanym działaczem J.D.P., serdecznym przyjacielem kierowników faszystowskiej dywersji. Na próżno jednak szukalibyśmy klucza do tych zjawisk. Czekałby nas wtedy nieuchronny zawód. Klucza bowiem nie ma. Szewczyk ukrył go przed nami. Toteż czytając „Kleszcze" nieraz potykamy się o zagadki, nieraz natrafiamy na rebusy, których nie potrafimy rozwiązać. Są one prostą konsekwencją niedowładu realizmu, powstającego na skutek rezygnacji z prób wyjaśnienia całego zespołu ukazywanych faktów.

Krytyka zajmowała się ostatnio bardzo żywo schematyzmem, opanowującym psychologię bohaterów niektórych współczesnych utworów, konwencjonalnymi ich finałami, skłonnością do stosowania recept na prozę, niezdrowym kodeksem domowych przepisów konstruowania dzieł sztuki. Uwagi te, najczęściej bardzo słuszne, nie objęły jednak wszystkich problemów związanych bezpośrednio z groźbami schematyzmu. Pominięto tu jak dotąd kwestię stylu. W tej dziedzinie zaś odnotować można analogiczne objawy, czego dokumentem do pewnego stopnia staje się powieść Wilhelma Szewczyka.

Uważny czytelnik beletrystyki szybko wykrywa takie zdania, metafory i zestawienia słów, z którymi zapoznał się już gdzie indziej, które nie są wyłączną własnością jednego autora, którymi posługuje się cała kohorta prozaików, piszących z wyraźnym zadowoleniem o każdym pogodnym dniu, że „stawał jasny i wysoki", o każdym łagodnym wietrze, że „orzeźwia", o wielu miłościach, że „niewinne" i „wierne". Oto następstwo wspólnych predylekcji ku tym samym zespołom porównań, ku identycznie brzmiącym frazom, ku „grabieżczym oczom bogaczy". Surowy sędzia podobnych objawów bez wahania nazwałby je dziećmi stylistycznego schematu, owocem wytrwałego wykorzystywania językowej sztampy bez zastanowienia nad jej efektami. A te są już drażniące. Na ich bowiem rachunek zapisać trzeba jakże podobną metaforykę wielu powieści, jakże bliźniacze opisy pejzaży, jakże nagminne „okrutne", „grabieżcze" lub „bezwzględne" źrenice wszystkich bourgeois. Stajemy tu wobec skonwencjonalizowanego języka prozy, z którym znajomość napełnia nas obawą, że przy dalszym jego rozplenieniu nie będziemy już mogli rozpoznać autora anonimowego fragmentu na podstawie analizy stylu. Niebezpieczeństwo, przed którym pragniemy tu przestrzec, nie jest obce „Kleszczom". „Językowy schemat" dochodzi w nich do głosu. Toteż coraz to spotykamy w powieści zdania z innych książek, metafory zaczerpnięte hojną ręką z zasobów pisarskiej lektury, owe „wrzaskliwe giełdy", „pogody błękitnych źrenic", „ostre jak brzytwa trawy". Grożą one zanikiem indywidualnego stylu, zamienionego w powszechne esperanto prozy, gdzie to straszyć poczną obficie rozmnożone sobowtóry jakiegoś jednego opisu, jakiejś jednej narracyjnej maniery. Prozaik spostrzegł wspominane przez nas niebezpieczeństwo. Usiłował go uniknąć. Niestety, próby czynione przezeń w tym względzie doprowadziły do nieszczęśliwej metaforyzacji opowiadania i opisu. Zerwanie z „grabieżczymi oczami bogaczów" zawiodło ku garbusowi zwiniętemu „w bolesny pytajnik".

Metaforyzacja prozy nie budzi sama przez się zastrzeżeń krytyka. Restrykcje jego powstają jednak wówczas, gdy zbada on kierunek, w którym zmierza ów artystyczny zabieg, gdy odnotuje nieświadome efekty stylistycznego nieporozumienia. Nagromadzenie odległych przenośni, skłonność do animizacji, chęć upoetycznienia opisywanych wydarzeń, tak charakterystyczne dla wielu stronic powieści Szewczyka, wskazują wyraźnie na groźbę odrealnienia przedstawianych w niej wypadków, podważającą ideologiczną wartość dzieła, osłabiającą jego społeczną wymowę. A z tym faktem twórca musi się liczyć, podobnie zresztą jak i z nieszczęśliwymi zastosowaniami swej narracyjnej maniery, które łatwo niekiedy poczytać za przykład swobodnej gry skojarzeń, gwałcącej reguły poprawnej polszczyzny. Oto cytaty potwierdzające w pełni nasze przypuszczenia: „Duch siedział w fotelu jak dymiąca armata", „Spod stóp plusnęła żaba; łajno końskie na posypanej czerwoną, miałką cegłą ścieżce rozdrapywały już mrówki ciesząc się ze słońca, rozkładającego każdą martwą substancję organiczną w tempie szybszym od myśli".

Wypowiedzieliśmy tutaj cały szereg zastrzeżeń pod adresem „Kleszczy", postawiliśmy wiele znaków zapytania na kartach książki. Pretensje wnoszone przez nas nie mogą przecież anulować wartości książki. Są one zresztą przejawem troski krytyka o beletrystyczny cykl tak interesująco rozpoczęty „Kleszczami", o jego ostateczny kształt, definitywne brzmienie.

Lech Budrecki

JACK LINDSAY W POLSCE

Do Polski przybył w tych dniach na czterotygodniowy pobyt, Jack Lindsay, postępowy angielski powieściopisarz, poeta i historyk. Czytelnicy polscy znają go z przekładów trzech powieści, wydanych przez Sp. Wyd. „Czytelnik": „Rok 1649", „Stracone Prawo" oraz „Ognie w Smithfield". Tematem wszystkich tych powieści są rewolucyjne tradycje ludu brytyjskiego.

Jack Lindsay urodził się w Melbourne w Australii. Uniwersytet ukończył w Queensland, specjalizując się w łacinie i grece. Bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej wielokrotnie przemawiał publicznie, popierając sprawę Wielkiej Rewolucji Październikowej na wiecach Międzynarodowej Organizacji Robotników (I.W.W.), której członkowie przybyli do Australii, uciekając przed prześladowaniami ze Stanów Zjednoczonych. Pisał w tym czasie dla teatru i jedna z jego sztuk została wznowiona w Sydney w roku 1951 z racji swoich antywojennych tendencji.

Do Anglii Lindsay przybył po raz pierwszy w roku 1926. Zamieszkał na głuchej prowincji i, żyjąc za parę szylingów tygodniowo, poświęcił się całkowicie studiom historycznym. W roku 1936 Lindsay po raz pierwszy przeczytał dzieła Marksa, Engelsa i Lenina, znajdując w nich „prawdę, której szukał", po czym powrócił do udziału w czynnym życiu politycznym, aby podtrzymać sprawę hiszpańskiej rewolucji.

Bezpośrednio przed wybuchem wojny ukazała się pierwsza jego powieść historyczna — „Rok 1649". Okres wojny Lindsay spędził w armii, najpierw w służbie łączności, potem pisząc utwory dla teatru wojskowego. W czasie Kongresu Wrocławskiego w roku 1948 Lindsay po raz pierwszy przybył do Polski. Od tej pory widzimy go stale wśród wybitnych działaczy ruchu pokojowego Wielkiej Brytanii. Jest członkiem Narodowego Kulturalnego Komitetu Partii Komunistycznej Wielkiej Brytanii. W czerwcu 1949 roku był gościem Związku Radzieckiego w czasie obchodu rocznicy Puszkinowskiej.

W osobie Lindsaya witamy w Polsce przedstawiciela pisarzy walczących w krajach kapitalistycznych, o sprawę ludu, witamy człowieka, który szuka natchnienia dla swej twórczości w rewolucji angielskiej XVII-ego wieku i w poezji Czartystów, i który otwarcie wyraża swoją pogardę dla podżegaczy wojennych z Wall Street i City of London, poświęcając się czynnie i odważnie sprawie Pokoju.

George Bidwell

SPROSTOWANIA

Do zamieszczonego w ostatnim 5 (97) numerze „Nowej Kultury" wiersza Juliana Tuwima pt. „Do Jerzego Borejszy" wkradł się nadzwyczaj przykry błąd, powstały na skutek omyłki przy przepisywaniu utworu. Z drugiej strofy wiersza wypadła mianowicie jedna linijka. Pełna strofa powinna brzmieć:

„Zmiótł je pomór, żałobny trąd,
A te, co pozostały,
Wyrywali sobie ludzie z rąk
W kwiaciarniach opustoszałych:
Bo oto miałeś schodzić
Po stopniach rewolucyjnej chwały
W ziemię, w głąb."

Słowa „Bo oto miałeś schodzić" wypadły z tekstu zniekształcając sens strofy. Za błąd ten najgoręcej przepraszamy autora i czytelników.

*

W tymże numerze przy artykule Wojciecha Byliny „A jednak bohaterski..." nie zaznaczono, że stanowi on część cyklu artykułów tegoż autora o łącznym tytule „Co nam niesie biały koń", co podajemy na prośbę autora.

Redakcja

Z TYGODNIA

W KRAJU

INSTYTUT POLSKO-RADZIECKI W WARSZAWIE

został otwarty uroczyście 31.I. w obecności przedstawicieli Rządu, KC PZPR, Rady Naczelnej i Zarz. Głównego TPP-R i in. Po przemówieniach przewodniczącego Zarz. Głównego TPP-R E. Ochaba i chargé d'affaires ZSRR D. Zaikina — inauguracyjny wykład pt. „O dekabrystach" wygłosił dyrektor Instytutu, prezes TWR prof. Z. Młynarski.

Celem Instytutu jest upowszechnianie wiedzy o ZSRR, o historii, literaturze i sztuce narodów radzieckich i o stosunkach polsko-radzieckich. Instytut będzie pomagać m. in. w wychowaniu kadr wykładowców i pracowników naukowych w dziedzinie rusycystyki, prowadzić bibliotekę naukową oraz wydawać pisma informujące o polsko-radzieckich stosunkach naukowych i kulturalnych.

NAGRODY LAUREATOM FESTIWALU MUZYKI POLSKIEJ

wręczył 28. I. minister Kultury i Sztuki S. Dybowski.

Pierwsze nagrody otrzymali: za twórczość — Bolesław Woytowicz, Witold Lutosławski i Stanisław Wiechowicz; za wykonawstwo — w pionie zawodowym — Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia w Katowicach; oraz nagrody indywidualne — Witold Rowicki, dyrygent Orkiestry Państw. Filharmonii w Warszawie i skrzypaczka — Eugenia Umińska; w dziale choreografii — Zbigniew Kiliński i Barbara Bittnerówna — soliści Państw. Opery Warszawskiej.

w pionie amatorskim — zespół dziecięcy Domu Harcerza z Płocka wraz z kierownikiem zespołu ob. Milko oraz Filharmonia Górnicza w Zabrzu (CRZZ); nagrodę indywidualną — Jadwiga Mierzejewska-Frankiewiczowa za całokształt działalności w zakresie choreografii w okresie Festiwalu.

Ponadto nagrody II i III zdobyło ok. 80 osób i zespołów, a wiele innych osób i zespołów — otrzymało wyróżnienia.

DOM DZIENNIKARZA W WARSZAWIE

został otwarty 26. I. Na uroczystość przybyli m. in. przedstawiciele KC PZPR, oraz przewodniczący Międzynarodowej Organizacji Dziennikarzy, Jean Maurice Hermann.

WYBITNI MUZYCY RUMUŃSCY

solistka Państwowej Opery w Bukareszcie, Jolanda Marculescu, pianista Georgiu Halmosz i akompaniatorka Nora Sadoveanu — przybyli do Polski na 2-tygodniowe tournée. Pierwsze występy artystów rumuńskich odbyły się w Łodzi i Warszawie.

KONKURSY NA PROJEKTY POMNIKÓW W OŚWIĘCIMIU I BRZEZINCE

ogłosił Zarz. Główny Zw. Polskich Artystów-Plastyków. Pomnik, który ma stanąć w Oświęcimiu, upamiętni wyzwolenie Oświęcimia przez Armię Radziecką, pomnik w Brzezince poświęcony będzie pamięci ofiar Oświęcimia. Termin nadsyłania prac ustalony został na dzień 7 maja b.r.

WYSTAWA PRAC DANIELA CHODOWIECKIEGO

słynnego gdańskiego malarza i sztychárza — została otwarta 27. I. w Państwowym Muzeum Pomorskim w Gdańsku w związku ze 150-ą rocznicą śmierci artysty. Chodowiecki, przedstawiciel realizmu mieszczańskiego XVIII wieku, ukazywał w swych pracach życie i obyczaje Gdańska. Był on również ilustratorem wielu książek oraz twórcą dekoracji do sztuk teatralnych. Materiałów na wystawę dostarczyła Biblioteka Miejska w Gdańsku oraz muzea z całego kraju.

ODBUDOWA TEATRU STANISŁAWOWSKIEGO W ŁAZIENKACH

w starej Pomarańczarni — dobiega końca. Teatr — jeden z najpiękniejszych zabytków stolicy — będzie posiadał ok. 200 miejsc. Wnętrze zostało odtworzone w stylu epoki stanisławowskiej. Sufit zdobi odrestaurowany przez pracownię konserwatorską pod kierunkiem prof. Marconiego, plafon pędzla Plerscha.

PRACE LUDOWYCH ARTYSTÓW I CHAŁUPNIKÓW

zrzeszonych w Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego — zgromadzono na wystawie architektury wnętrz i sztuki dekoracyjnej, zorganizowanej ostatnio w krakowskim Pałacu Sztuki. Wystawiono tam m. in. dywany, kilimy, firanki, meble oraz ozdobne przedmioty z odpadków drzewnych i skórzanych.

NA WYSTAWIE PEJZAŻU

otwartej ostatnio w krakowskim Domu Plastyków, wystawili m. in. swe prace St. Pilz, B. Heyduk, M. Dyląg, H. Rudzka-Cybis, K. Wiszniewski.

WYSTAWA SZTUKI LUDOWEJ PODHALA

została otwarta w Nowym Sączu. Wystawa obejmuje ok. 150 eksponatów zebranych drogą konkursu zorganizowanego przez Wydział Kultury Woj. R. N. w Krakowie.

ZA GRANICĄ

„LENINOWSKA ZASADA PARTYJNOŚCI LITERATURY"

„Stalinowska zasada realizmu socjalistycznego", „Lenin i Stalin o stylu literackim" oraz jeszcze inne referaty zostały wygłoszone podczas sesji naukowej, zorganizowanej w Moskwie w dniu 28—30.I przez Akademię Nauk ZSRR, Instytut Literatury Światowej i Instytut Literatury Rosyjskiej.

W 50-Ą ROCZNICĘ URODZIN NAZIMA HIKMETA

zorganizowano w Moskwie wieczór poświęcony jubilatowi. W uroczystości uczestniczyło ok. 2000 osób. Przemówienia wygłosili m.in. K. Simonow, M. Tichonow, A. Sofronow oraz Jorge Amado i poeta kubański Nicolas Guillen. Odczytano przekłady kilku utworów Hikmeta oraz poświęcone jemu wiersze poetów radzieckich. Na zakończenie wystąpił serdecznie powitany Nazim Hikmet.

„REWIZOR" — W 74 TEEATRACH

„Ożenek — w 53, inscenizacja „Martwych dusz" — w 10; łącznie w ponad 150 teatrach Zw. Radzieckiego przygotowuje się wystawienie sztuk Gogola w związku ze zbliżającą się 100-ą rocznicą jego urodzin.

PISARZ RADZIECKI IWAN NOWIKOW

za wybitne zasługi w rozwoju literatury pięknej w 75-lecie urodzin został odznaczony Orderem Czerwonego Sztandaru Pracy.

PRZYGOTOWANIA DO MIĘDZYNARODOWYCH OBCHODÓW. ROCZNIC

150-lecia urodzin W. Hugo, 100-lecia urodzin Gogola, 500-lecia urodzin Leonarda da Vinci, 125-tej rocznicy śmierci Beethovena i 1000-ej rocznicy śmierci Avicenny — obchodów proklamowanych przez wiedeńską sesję Światowej Rady Pokoju — są już w pełnym toku w NRD. Została powołana specjalna komisja, która wspólnie z Komitetem Obrońców Pokoju będzie koordynować prace organizacji odpowiedzialnych za przeprowadzenie obchodów i wydawnictwa związane z tymi rocznicami. Związek Pisarzy Niemieckich zajął się przygotowaniem obchodu rocznicy urodzin W. Hugo (26 lutego). Towarzystwo Przyjaźni Niemiecko-Radzieckiej przygotowuje obchód rocznicy urodzin Gogola (4 marca); Związek Artystów-Plastyków — obchód rocznicy urodzin Leonarda da Vinci (15 kwietnia), — „Kulturbund" — obchód rocznicy śmierci Beethovena (26 marca) oraz rocznicy śmierci wielkiego irańskiego lekarza i pisarza Avicenny. Obchody przeprowadzone będą m.in. w szkołach, na wyższych uczelniach, w związkach zawodowych i w ogniwach FDJ. W wielu teatrach wystawione będą sztuki Gogola.

„DZIEŃ TEATRALNY MŁODZIEŻY NIEMIECKIEJ"

został po raz pierwszy przeprowadzony w NRD w ub.m. Na scenach teatrów NRD wystawiono w tym dniu najlepsze sztuki klasyczne i współczesne, a widownię stanowiła wszędzie młodzież z miast i wsi. Ten pierwszy „Theatertag" został zorganizowany przez FDJ oraz „Deutsche Volksbühne".

SETNĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI JANA KOLLARA

wielkiego czeskiego poety-klasyka, piewcy wolności i braterstwa narodów — obchodzono ostatnio w Czechosłowacji. W miastach i wsiach całego kraju zostały zorganizowane referaty i wystawy poświęcone życiu i twórczości poety.

WYSTAWA KARYKATURY POLSKIEJ W BUDAPESZCIE

została otwarta w budapeszteńskiej Galerii Narodowej. Otwarcia dokonał wicemin. kultury Ernö Mihalify.

NA MIĘDZYNARODOWYM FESTIWALU FILMOWYM W BOMBAJU

w którym biorą udział 23 kraje, wyświetlane są również entuzjastycznie przyjmowane przez publiczność liczne filmy radzieckie, m.in.: „Upadek Berlina", „Donieccy górnicy", „Kawaler Złotej Gwiazdy". Na Festiwal przybyła delegacja pracowników filmu radzieckiego, w skład której wchodzą m.in. reżyser L. Warłamow i artyści: B. Czirkow, L. Marecka, P. Kadocznikow.

WYSTAWA SZTUKI POLSKIEJ ZA GRANICĄ

— w II półroczu 1951 r. zorganizowano za granicą wiele wystaw, obrazujących życie artystyczne w Polsce Ludowej: „Polska sztuka ludowa" (w Kopenhadze, Sztokholmie i Helsinkach), pokaz prac Kulisiewicza (w Rzymie), „Grafika i Książka" (w Meksyku), „Ilustracja książkowa" i „Wycinanka ludowa" (w Niemczech zach.) oraz „Rysunki dziecięce" (NRD, Niemcy zach. i Finlandia).

W WYNIKU KAMPANII W OBRONIE FILMU FRANCUSKIEGO

prowadzonej przez postępowych realizatorów, artystów i pracowników przemysłu filmowego zostało ostatnio ponownie uruchomione studio w Joinville pod Paryżem — stolicy filmu francuskiego. Studio w Joinville zamknięto uprzednio z uwagi na krytyczną sytuację finansową filmu francuskiego, przytłoczonego importem „dzieł sztuki" z Hollywood.

KORESPONDENCJA

O subiektywizmie w krytyce.

GŁOS Z „TERENU"

Załamywanie rąk nad opłakanym stanem naszej współczesnej krytyki jest niewątpliwie uzasadnione.

Błędy zostały wytknięte i szeroko omówione.

A przyczyny? — Tych jest wiele i wszystkie jednakowo ważne.

Zwrócę tu uwagę na jedną z nich, zdaniem moim najdonioślejszą w kształtowaniu się naszego stosunku do dzieła. Mam mianowicie na myśli sprawę subiektywizmu w krytyce literackiej. Zdaję sobie sprawę, że już samo słowo nastraja niechętnie.

Przypominają się mimo woli wszystkie złe strony krytyki dwudziestolecia i nieskrępowane niczym młodopolskie impresje krytyczne, których tarczą był właśnie szeroko uzasadniony subiektywizm.

Nie ulega wątpliwości, że snoby mieszczańskie mocno z tym przeholowały. Przerosty subiektywizmu są szkodliwe. Nie wdając się w szczegółową analizę złych stron przedwojennej krytyki, wypada jednak stwierdzić, że metoda subiektywistyczna ma w krytyce mimo wszystko rację bytu.

Przekonywająco uzasadnił to już dawno Ignacy Matuszewski w studium „Subiektywizm w krytyce".

Słuszne jest w zasadzie jego sformułowanie, że „nie ma twórczości idealnie przedmiotowej, a więc i nie ma idealnie przedmiotowej krytyki".

W każdym czynie krytycznym jest osobistość sądzącego, co jednak nie znaczy, aby suma tych czynów była „lirycznym pamiętnikiem wędrówek duszy wśród arcydzieł". A więc krytyka nie jest impresją, jest natomiast twórczym sądem, który wymaga pewnych określonych zasad, umiaru, ostrożności i uczciwości, a nie jest równocześnie pozbawionym pierwiastka subiektywnego.

Zredukowanie do minimum owego pierwiastka uważam za mankament naszej współczesnej krytyki.

Krytyk wypowiada swe opinie ex cathedra, jako bezwzględnie obowiązujące i „naukowe". Oczywiście, wyklucza to wszelką ewentualną dyskusję na temat dzieła i, co gorsza, recenzja taka jest jedynym probierzem w ocenie dzieła przez czytelnika.

A nie zapominajmy, że opinie o dziele krystalizują się w ogniu polemiki. Aby zaś dyskutować, należy wykluczyć formułowanie dogmatów o zjawiskach literackich.

Czytającemu dzisiejsze recenzje przypominają się mimowoli świetne i porywające krytyki Boya.

Skłonny jestem uważać, że urok ich tkwił właśnie w tym głęboko subiektywnym podejściu do zagadnienia, które to podejście nie pozwalało orzekać dogmatycznie, a przy zaletach Boya-humanisty pozwalało w sposób sugestywny szerzyć prawdę o dziele.

Boy wpływał na kształtowanie się opinii o zjawisku kulturalnym nie tylko przez doskonałą argumentację, ale i delikatny subiektywizm, nierozerwalnie zrośnięty z naukowością.

W recenzjach jego co krok napotykamy na słowa: twierdzę, uważam że, zdaje mi się, przypominam sobie, mówiono mi, słyszałem itp.

Kto dziś tak pisze? — Nawet przy pomocy elektronowego mikroskopu nikt w recenzjach współczesnych nie znajdzie takich sformułowań.

O czym to świadczy? — O popadnięciu w zgubną metodę ferowania wyroków ex cathedra.

Zastrzegam się tu przed propagowaniem subiektywizmu. **Domagam się tylko należnego mu miejsca**, z tego chociażby tytułu, że krytyk jest (a przynajmniej powinien być) związany z życiem, skąd wypływa różnorodność zapatrywań.

Wiąże się to nierozerwalnie z tzw. stylem indywidualnym, który nie zawsze cechuje współczesne artykuły. Dlatego czytelnik woli przeczytać dobry wiersz czy opowiadanie. Niegdyś — jak słyszałem — zaczynało się czytać numer od recenzji. Przyciągały: szkodliwa zresztą pustota, lekkość i beztematowość, ale nie odstraszały: dogmatyzm, przyciężka nieco erudycja, schematyzm, antyestetyzm, twardość języka.

Być może, że trochę tu przesadzam, lecz — proszę mi wierzyć — nie w celach złośliwych, ale dla naprawy i pożytku.

Warto tu jeszcze dodać, że metoda ex cathedra ma to do siebie, że często zwalnia od czytania dzieła.

Oczywiście jest to sprzeczne z celem krytyki literackiej.

Nie wynika z tego, by recenzja miała być bardziej zajmująca niż utwór oceniany.

Powinna spełniać rolę dobrego przewodnika, wolnego od kompleksu dydaktyzmu, nie zmuszającego wierzyć na słowo piszącemu, pozwalającego jednocześnie czytelnikowi na odrobinę własnego wkładu w zrozumienie utworu.

Jan Pacześniak
uczeń Szk. Ogólnokszt. w Rzeszowie

GŁOS Z REDAKCJI

Wydaje mi się, że autor wypowiedzi „Kilka uwag o krytyce współczesnej", formułując szereg trafnych uwag na temat współczesnej krytyki, nie zawsze szczęśliwie posługuje się terminem „subiektywny", „subiektywność", co nawet przy poczynionych przez niego zastrzeżeniach może być pojęte opacznie, jako apel do rezygnacji z pełnego i korzystającego z wszelkich dostępnych środków dążenia do obiektywnie słusznej oceny dzieła. Środki takie zapewnia posługiwanie się wytycznymi metody marksistowskiej, co bynajmniej nie oznacza, że każda próba posługiwania się tą metodą jest bezbłędna i uprawnia krytyka do przemawiania słusznie skrytykowanym tonem wyroczni ex cathedra.

Przez użycie terminu „subiektywizm" i powołanie się na Ignacego Matuszewskiego, jednego z głównych przedstawicieli krytyki idealistycznej, głoszącej subiektywizm w sposób programowy, zakładający z góry rezygnację z osiągnięcia obiektywnej wiedzy o dziele literackim, autor wypowiedzi stwarza wrażenie, iż solidaryzuje się po części z jego poglądami. Byłoby to moim zdaniem niesłuszne, tak jak niesłusznym jest sformułowanie, że „zredukowanie do minimum" pierwiastka subiektywnego jest „mankamentem współczesnej krytyki".

Mankamentem jest p o z o r n e zredukowanie go do minimum przez głoszenie nie zawsze słusznych, subiektywnych poglądów w sposób apodyktyczny i nieumotywowany, podczas gdy r z e c z y w i s t e zredukowanie go do minimum winno być celem krytyki marksistowskiej. Pogląd Ignacego Matuszewskiego, iż nie może być „idealnie przedmiotowej" krytyki, jest nie tylko moim, zdaniem, ale chyba zdaniem każdego krytyka, stojącego na stanowisku marksistowskim — niesłuszny, jako wyraz rozpowszechnionej w epoce, w której tworzył ów skądinąd znakomity krytyk, postawy agnostycyzmu, głoszącego absolutną niemożność stwierdzenia, czy prawda obiektywna istnieje i jest poznawalna.

Stanowisko to zanalizował krytycznie Fryderyk Engels w swoich pracach „Rozwój socjalizmu od utopii do nauki", oraz „Ludwik Feuerbach i zmierzch klasycznej filozofii niemieckiej", a także Lenin w epokowym dziele „Materializm i empiriokrytycyzm".

Krytyk, wychodzący z założeń metody marksistowskiej w przeciwstawieniu do idealisty i agnostyka musi stać na stanowisku, że zdobycie obiektywnej wiedzy o rzeczywistości, a więc także o tym jej przejawie, jakim jest utwór literacki, jest możliwe, z czego oczywiście bynajmniej nie wynika, że została ona już osiągnięta i że głoszenie każdego, tylko w subiektywnym przekonaniu krytyka słusznego sądu — może mieć charakter apodyktyczny i wyrokujący. Jeżeli tak jest — a niekiedy przyznać trzeba, że taki ton i styl krytyki zdarza się u nas — jest to niewątpliwie poważnym jej błędem. Przekonująca i nie do odparcia powinna być treść krytyki, a nie jej sugerujący z góry niemożność sprzeciwu styl i ton. W tej części uwagi ob. Pacześniaka wydają mi się słuszne i cenne.

Ryszard Matuszewski

W sprawie „biednych Biedaków"

W związku z ukazaniem się w Nr 4 „Nowej Kultury" z dnia 27 stycznia br. w rubryce „Komentarze" obszernej recenzji z przekładu książki Henryka Manna pt. „Biedacy" — pragnę stwierdzić, jako tłumacz, że cytowane przez recenzenta na str. str. 23, 36, 42, 44 i 53 przykłady, mające uzasadnić tak bezceremonialne potraktowanie przekładu, nie mają nic wspólnego z dokonanym przeze mnie tłumaczeniem, właśnie te bowiem ustępy, podobnie zresztą jak i szereg innych, zostały zmienione przez redaktorów, na co, praktycznie biorąc, nie miałem żadnego wpływu.

Trudno mi jest na tym miejscu przeprowadzić wszystkie porównania pomiędzy moim przekładem a ujęciem redaktorów, ograniczę się więc tylko do przytoczenia jednego przykładu:

Na str. 36 napisałem:

„W tej chwili księżyc wypłynął spoza chmur, oświetlając dom i ogród. Willa ukazała się teraz niczym jakiś ogród z bajki, cała w widmowych, wyśnionych barwach, pogrążona w ciemno niebieskich cieniach i błyszcząca srebrem swoich ścian. Jak kobieta roztaczała przed nim swoje wdzięki..."

Ten sam ustęp po przeredagowaniu, ukazał się w druku w następującym brzmieniu:

„Wtedy, właśnie wtedy, księżyc wypłynął spoza chmur, oświetlił dom i ogród, podarowywał mu je, kolory snów i pełnych namiętności bajek, ciemno niebieskie cienie, srebrną ścianę; podsuwał mu posiadłość jak kobietę..."

Uważam, że moje ujęcie jest lepsze i nie moją jest już winą, że redaktorzy uznali swoją stylizację za bardziej właściwą.

To wszystko, co miałbym do powiedzenia o ocenie krytycznej „Biedaków" przez ob. K. Koźn., skierowanej w gruncie rzeczy pod złym adresem.

Stanisław Sielski

Wspomnienie o Bronisławie Wesołowskim

(dokończenie ze str. 2-ej)

nymi — spotyka wartę żołnierzy i wobec ich oświadczenia, że więźniom nie pozwolą widzieć się z delegacją — cofa się, staje znowu na czele demonstracji. Ze śpiewem „Marsylianki" pochód rusza naprzód i w największym spokoju i porządku skręca na ulicę Niecałą, wchodzi w Wierzbową, a przednie jego szeregi już są na Placu Teatralnym, gdy końcowe zapełniają jeszcze niemal całą ulicę Fredry... Nagle z tyłu za demonstrantami zaczynają się sypać strzały. Oddział wojska, który szedł za pochodem już od ulicy Wierzbowej, strzela ostrymi ładunkami z początku w górę, szerząc popłoch i zamieszanie.

Na odgłas strzałów demonstranci wracają od Placu Teatralnego i Wierzbowej. Ze sztandarami na przedzie idzie znów pochód Niecałą ku Ogrodowi Saskiemu, do ulicy Fredry. Tam skąd rozlega się ogłuszająca kanonada, biegną bohaterskie szeregi, by połączyć się z zagrożonymi towarzyszami. Biegną bezbronni, mając przed sobą jako jedyne tarcze — sztandary. Ani jeden strzał nie padł z tych szeregów, żadna próba ataku nie została wykonana. Już dopadli do zakrętu ulicy, już sztandary przechylały się w zaułek, z którego sypią się kule... Strzelano bez uprzedzenia, bez komendy, zrazu w górę, potem prosto w tłum. Rezultat: 6-ciu zabitych i 15-tu rannych.

KURIER WARSZAWSKI
Sobota, 4 stycznia 1919 roku.

Wczoraj otrzymaliśmy sensacyjne wiadomości o losach bolszewickiej delegacji internowanej do niedawna w Warszawie, którą podajemy na odpowiedzialność źródła.

Jak już wiadomo, rząd zdecydował odstawić wspomnianą delegację do granic Królestwa Polskiego.

W poniedziałek wykonano to postanowienie. Bolszewicka delegacja złożona z Wesołowskiego, Altera, matki Altera, Ajwazowej i doktora Klocmana była odstawiona do Łap, pod eskortą żandarmów, skąd członkowie delegacji puścili się sami w dalszą podróż.

Otóż w czwartek wieczorem tutejsza żandarmerja otrzymała wiadomość, że w okolicach Wysokiego Mazowieckiego jakaś banda napadła na delegację i zamordowała wszystkich jej członków.

Bliższych szczegółów brak.

Śledztwo w tej sprawie z ramienia Ministerstwa Spraw Zagranicznych podjął urzędnik tego Ministerstwa p. Borzęcki.

SZTANDAR SOCJALIZMU
Warszawa, wtorek, dnia 7.I.1919.

Nowa potworna zbrodnia

A więc wiadomość, którą w formie pogłoski podały gazety burżuazyjne, wiadomość tak straszliwa, że za żadną cenę nie chciało się jej wierzyć, jest prawdą. Delegacja rosyjskiego Czerwonego Krzyża, ta sama delegacja, którą w Warszawie rząd polski więził i potem wysłał pod konwojem, została w drodze w sposób zwierzęcy zamordowana...

Wobec zamknięcia granicy w Łapach, delegację wywieziono koleją do stacji Szepietów, po czym wieziono ją dalej szosą Szepietów — Brianśk. Granica polsko-litewska znajduje się na tej szosie za wsią Wiliny-Ruś, gmina Pikuty, powiat Wysokie-Mazowieckie.

Mord został dokonany w nocy ze środy na czwartek. W czwartek rano do powiatu Wysokie - Mazowieckie przyszła policja i zameldowała, że na szosie między wsią Wiliny-Ruś i granicą, przy lasku przydrożnym, znaleziono cztery trupy: dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Jednocześnie dostarczono pięć paszportów znalezionych przy trupach i trzy świadectwa rosyjskiego Czerwonego Krzyża. Paszporty opiewają na nazwiska: Bronisława Wesołowskiego, doktora Klocmana, Alterowej (matka), Altera (syn) i Ajwazowej. Śledztwo w tej sprawie prowadzi sędzia pokoju w Wysokiem - Mazowieckiem w zastępstwie sędziego śledczego.

Znamienne jest, że ż a d n e j obławy na rzekomych „bandytów" którzy dokonali zbrodni, w okolicy nie zrobiono. Napadów bandyckich na tej szosie i w tej okolicy w ostatnich czasach nie było.

Zamordowanie delegacji Czerwonego Krzyża w tych warunkach nie jest zwyczajną sprawą kryminalną — j e s t s p r a w ą w y b i t n i e p o l i t y c z n ą.

Zofia Marchlewska

WAWRZYNIEC ŻUŁAWSKI

Czajkowski, Wagner i Saint-Saens w Filharmonii Warszawskiej

Nieraz dyskutowana była sprawa układania programów koncertowych w cykle poświęcone bądź twórczości danego kompozytora, bądź jakiemuś wyodrębnionemu gatunkowi muzycznemu (np. cykl: „klasyczne koncerty instrumentalne", cykl: „Pieśń romantyczna" lub tp.). Ten rodzaj podawania słuchaczowi podstawowych arcydzieł literatury muzycznej ma swoje bardzo dodatnie strony. Pozwala on bowiem poznawać kompozytorów, ich twórczość, epoki, rozwój poszczególnych form muzycznych w sposób systematycznie uporządkowany, całościowy, metodyczny. Słuchacz przestaje być eklektyczną zbiorowością pojedynczych pozycji repertuarowych, a staje się świadomym odbiorcą muzyki, znającym jej historię, jej prawa rozwojowe, rozumiejącym, dlaczego na takim lub innym etapie powstawały te lub inne środki wyrazu.

W zastosowaniu do koncertów filharmonicznych metoda operowania cyklami musi się łączyć z normalną obsługą programową, zawierającą szeroki wachlarz dzieł klasycznych, romantycznych i współczesnych — polskich i obcych — podobnie jak drukowana w piśmie powieść w odcinkach nie może z tego pisma wyrugować materiału bieżącego. W praktyce więc utwory należące do jakiegoś cyklu zaplanowanego na dłuższy okres czasu zajmują program (lub część programu) jednego lub dwóch koncertów w miesiącu. Reszta — to programy mieszane, zestawiane według normalnie przyjętych zasad i wytycznych.

Ten styl pracy stosowany jest już od pewnego czasu w niektórych polskich placówkach symfonicznych np. w Łodzi, Poznaniu i Bydgoszczy. Wszędzie daje doskonałe rezultaty, mobilizuje publiczność, zdobywa dalsze kręgi nowych słuchaczy, przenosi ich na wyższy poziom muzycznego wykształcenia.

W Warszawskiej Filharmonii pierwszą taką akcją jest cykl „Symfonia Czajkowskiego", zaplanowany na pierwsze półrocze b.r. Co miesiąc w ramach koncertów filharmonicznych usłyszymy pod kierunkiem wybitnych dyrygentów polskich i zagranicznych jedną z sześciu symfonii wielkiego kompozytora rosyjskiego. Trzy z nich: Czwarta, a zwłaszcza Piąta i Szósta („Patetyczna") są publiczności dobrze znane, natomiast co do trzech pierwszych pokutował u nas pogląd, że są to utwory młodzieńcze i słabe. Pogląd zupełnie niesłuszny, gdyż jeśli w Pierwszej symfonii odkryć można niekiedy pewne cechy młodzieńcze, to zarówno Druga („małorosyjska"), jak i monumentalna, pięciocześciowa Trzecia Symfonia należą do dojrzałej już twórczości Czajkowskiego. Toteż kilkakrotnie dopominaliśmy się o wykonanie tych symfonii, podobnie jak wykonuje się je w Związku Radzieckim czy na Zachodzie, gdzie szczególnie w Anglii są bardzo lubiane. Dobrze się więc stało, że dyrekcja Filharmonii zdecydowała się pokazać w chronologicznej kolejności zarówno trzy pierwsze, jak i trzy pozostałe symfonie. Da to słuchaczowi pojęcie o tym, jak rozwijała się indywidualność Czajkowskiego jako symfonisty i jakim przekształceniom w jego twórczości podlegały środki orkiestrowe i sama forma symfonii.

Inauguracja koncertów tego cyklu odbyła się 25 stycznia b.r. Usłyszeliśmy I Symfonię, g-moll (op. 13), napisaną przez 26-letniego podówczas twórcę tuż po ukończeniu studiów kompozytorskich u Antoniego Rubinsteina w Petersburgu. Jest to więc jedno z najwcześniejszych dzieł Czajkowskiego.

Jeśli mówiliśmy o cechach młodzieńczych tej symfonii, to mieliśmy na myśli jej część trzecią i czwartą, istotnie słabsze niż reszta. Poza tym młodzieńczość przejawia się chyba tylko w ogromnej świeżości inwencji, no i może jeszcze w programowym podtytule: „Marzenia zimowe", doskonale zresztą oddającym subtelny, marzycielski nastrój dzieła.

Na tle pianissima smyczków, flet i fagot w oktawach intonują temat pierwszy, interesujący w rysunku melodycznym i rytmicznym. Temat ten od razu wprowadza w nastrój symfonii a jednocześnie dobrze charakteryzuje sylwetkę kompozytorską Czajkowskiego i jej typowe cechy. Temat drugi podany przez klarnet solo wnosi klimat cieplejszy i łagodniejszy. Przetworzenie czerpie materiał raczej z łączników niż z samych tematów, po nim zaś następuje niemal dokładne powtórzenie ekspozycji i tematów z pewnymi zmianami w instrumentacji (temat pierwszy zjawia się w smyczkach, temat drugi — w flecie i klarnecie). Główny temat tej części ukazuje się raz jeszcze w zakończeniu.

Powolna część druga (Adagio cantabile) zbudowana jest w formie swobodnego, dwutematycznego Rondo. Po krótkim wstępie, obój solo wprowadza melancholijny, bardzo rosyjski w charakterze temat, imponujący długością i szerokim oddechem. Pogodniejszy w nastroju epizod drugi prowadzi na nowo do tematu głównego, który występuje tym razem w wiolonczeli. Powraca także temat drugi i jeszcze raz główny — intonowany przez waltornię. Epizod wstępny zjawia się jako zakończenie, spinając na podobieństwo klamry tę część symfonii, w której talent Czajkowskiego w prowadzeniu szerokiej, śpiewnej kantyleny jaśnieje pełnym blaskiem.

O ile te dwie części mogą godnie stanąć obok dojrzałych utworów Czajkowskiego, to — jak już wspomnieliśmy — dwie ostatnie części są wyraźnie słabsze. Taneczne Scherzo, zawierające epizod środkowy w rytmie walca, oraz finał oparty na motywach ludowych posiadają znacznie mniejszy ciężar gatunkowy — obok dobrych pomysłów, przynoszą także błahe i szablonowe.

Symfonią i pozostałymi punktami programu dyrygował **Zdzisław Górzyński.** Kapelmistrz ten odznacza się wybitną muzykalnością, dobrym zmysłem interpretacji i dużą rutyną. Dysponuje on przy tym niezwykle precyzyjną i wyrazistą techniką, przyjemną dla oka dzięki płynności i elegancji ruchów. Pod dyrekcją Górzyńskiego wykonano wstęp do „Śpiewaków Norymberskich" Ryszarda Wagnera, utwór, który pomimo niewątpliwej świetności instrumentacji i mistrzostwa faktury polifonicznej razi hałaśliwą, brutalną agresywnością.

Koncert na wiolonczelę i orkiestrę Kamila Saint-Saensa — to dzieło może niezbyt głębokie i ciekawe, ale dobrze napisane i wirtuozowsko bezsprzecznie bardzo efektowne. Wykonawcą partii solowej był młody wiolonczelista **Aleksander Ciechański.** Tak odpowiedzialny debiut, jakim był występ na estradzie Filharmonii Warszawskiej, spowodował zrozumiałą tremę, która w znacznym stopniu utrudniała solistę grę. Pomimo to zdołał on pokazać wiele dodatnich stron demonstrując dobrą technikę, ładny ton i subtelną, delikatną, a co najważniejsze — niebanalną interpretację. Częste występy publiczne dadzą młodemu, utalentowanemu artyście okazję do zdobycia odpowiedniej rutyny i opanowania nerwowego.

Orkiestra brzmiała na ogół dobrze. Wyróżnić należy **S. Śmiechowskiego** (obój) i **St. Piórczyńskiego** (róg) za solowe partie w drugiej części symfonii Czajkowskiego.

Wawrzyniec Żuławski

Wieczór sonat w Muzeum Narodowym

W niejednym artykule uskarżaliśmy się na brak koncertów muzyki kameralnej w Warszawie. Z tym większą przyjemnością notujemy imprezę, ktora odbyła się w sobotę 19 stycznia b. r. w Muzeum Narodowym. Był to wieczór sonat, na którym publiczność warszawska miała rzadką okazję usłyszenia czterech arcydzieł literatury kameralnej: pełnej rozmachu i temperamentu sonaty nr 2 Prokofiewa, subtelnej sonaty Debussy'ego, a w drugiej części programu dwóch jeszcze wspaniałych sonat — Beethovena (G-dur, op. 30 nr 3) i Francka.

Wykonawcami byli: *Tadeusz Wroński* (skrzypce) i *Władysław Szpilman* (fortepian). Ci dwaj wybitni artyści od dłuższego już czasu pracują ze sobą i występują razem (z wymienionymi czterema sonatami odbyli objazd po całym kraju), dzięki czemu osiągnęli wysoki stopień zespołowości od strony technicznej i rytmicznej. Można by jedynie zarzucić pewną dysproporcję brzmieniową pomiędzy skrzypcami a fortepianem. Brzmienie fortepianu wydaje się mianowicie zbyt masywne w stosunku do dyskretnego, bardzo kameralnego brzmienia skrzypiec Wrońskiego. Zaznaczyć jednak należy, że warunki akustyczne salki Muzeum są niezbyt korzystne — być może więc, że w innej sali dysproporcja ta nie miałaby miejsca.

Jeżeli chodzi o szczegóły wykonawcze — zastrzeżenia dotyczą interpretacji pierwszej części sonaty Beethovena. Jakkolwiek ostre akcenty dynamiczne są typowe dla stylu kompozytora — w tym jednak wypadku wydały się one zbyt ostre. Bardzo ładnie, ciepło i lirycznie wypadła natomiast część środkowa, w której wykonawcy uniknęli szczęśliwie istniejącego w niej niebezpieczeństwa rozwlekzenia tempa. W pierwszej części sonaty Francka fortepian zdradzał zbytnią impulsywność i nerwowość, co odebrało temu fragmetnowi charakterystyczną dla niego atmosferę spokoju, szlachetnej powagi i głębokiego skupienia. Doskonale brzmiała trudna, brawurowa część druga, przepiękna w nastroju część trzecia i kapitalny kanon, stanowiący finał sonaty. Dobra, nie budząca zastrzeżeń była interpretacja Debussy'ego i Prokofiewa.

W sumie — koncert bardzo udany, a wykonanie wysoce artystyczne. Obaj koncertanci są znakomitymi solistami o wysokich walorach technicznych, a przy tym obdarzeni są zmysłem interpretacyjnym i instynktem kameralnym.

Wbrew krakaniom pesymistów, którzy twierdzą, że muzyka kameralna nie posiada w Warszawie chętnych odbiorców, publiczność przybyła licznie i reagowała na koncert bardzo gorąco.

W. Ż.

PRZY TORFIE

(dokończenie ze str. 8-ej)

Później pisał coś w notesie.

— Sto siedemdziesiąt pięć złotych — powiedział po chwili zwracając się do Staszka.

Wytrzeszczyliśmy wszyscy zdumione oczy.

— Dwieście dwadzieścia, panie rządco — poprawił Staszek. Umówiliśmy się przecież, że po złotemu od tysiąca.

— Nie, nie... Rozmawiałem później z dziedzicem i doszliśmy do przekonania, że to za drogo. Dostaniecie po osiemdziesiąt groszy.

— Jakto z panem dziedzicem? — Przecież my kopiemy torf, a nie pan dziedzic.

— Ale pan dzedzic płaci — ryknął rządca. — Zresztą rżniecie krótsze cegły niż należało. I nie będziemy dyskutować dalej.

Wydobył plik papierów, odliczył sto siedemdziesiąt pięć złotych i wyciągnął rękę w stronę Staszka.

— Nie wezmę, panie rządco.. To tylko wystarczy na spłacenie długu za żywność, a gdzie nasz zarobek?

Rządca patrzył przez chwilę, potem dołożył jeszcze dziesięć złotych.

— Masz!

Staszek nie brał.

— Bierzesz? — krzyknął rządca.

Szturchnąłem go w bok i szepnąłem:

— Weź.

Wyciągnął nabrzmiałą żyłami rękę i wziął papiery. Sucha klatka piersiowa falowała mu szybko. Kwadratowe szczęki zacisnęły się. Stał nieruchomo trzymając pieniądze w ręku.

Stary Mikołaj przechodził w więcierzami i niósł w wiaderku pluskające się złote karasie. Zatrzymał się obok nas i słuchał rozmowy z rządcą. Patrzył raz na rządcę, raz na Staszka, a później wypowiedział swoje stare zdanie:

— Hej... ryby lepiej łowić...

Rządca oglądnął się na Mikołaja:

— Coś powiedział?

Mikołaj przymrużył lekko oczy i przypatrywał się przez chwilę rządcy, a gdy ten nie spuszczał z niego wzroku, rzekł:

— Powiedziałam, że ryby lepiej łowić... niż na panów pracować.

Rządca zbliżył się do starego rybaka.

— Czekaj no, mądralo jakiś... Ryby, powiadasz... Dworskie, co?

— Ryby, panie tego. są niczyje — odpowiedział Mikołaj.

— Niczyje, mówisz?.. To pójdą z powrotem do wody.

Chwycił ręką za wiaderko. Mikołaj trzymał naczynie oburącz. Rządca ciągnął mocno. Nogi starego rybaka zagłębiły się w miękką darń łąki. Rządca był jednak silniejszy. Za każdym szarpnięciem Mikołaj przesuwał się za wiadrem, lecz nie puszczał go.

— Nie dam— krzyczał przez zaciśnięte zęby. — Nie dam.. wierny psie pański.

Rządca wpadł we wściekłość i szarpał coraz mocniej. Odwrócony nie zauważył, że znalazł się nad samym brzegiem dołu. Mikołajowi brakowało już sił. Stare ręce nie wytrzymały dłużej. Puścił wiadro.

Usłyszałem olbrzymi plusk. Fontanna czarnej wody trysnęła w górę. Karbowy stojący z boku podbiegł w stronę dołu.

Za chwilę ujrzałem wystającą rękę. Karbowy, nie zbliżając się zbytnio do zmurszałego brzegu, chwycił ją i zaczął ciągnąć do góry. Z trudem wywlókł rządcę na wierzch.

Stał rozkraczony z opuszczonymi rękami, parskał i kichał. Nie mógł przemówić słowa. Wyglądał jak kukła ulepiona z torfu. Włosy, nos, usta — pełne czarnej mazi. Białe jego ubranie miało kolor brunatnego niedźwiedzia. Strugi czarnej wody spływały z niego i wsiąkały powoli w darń.

Mikołaj zebrał więcierze i udał się znów w kierunku chłopskich łąk. Trzeba było zastawić sieci na nowo.

Wracaliśmy wcześniej tego dnia. Z góry Marii Magdaleny oglądnęliśmy się po raz ostatni na torfowisko. Czarny płat wykopanego torfu rysował się wyraźnie na zielonej łące. Ile sił i potu — pomyślałem — utopiliśmy tam przez te trzy miesiące...

Staszek poszedł tego samego jeszcze dnia wyrównać długi w sklepie. Po uregulowaniu rachunków pozostało nam zaledwie czterdzieści złotych.

Nazajutrz tą samą drogą, tylko już bez kaszy na plecach, z wyostrzonymi sierpami szliśmy na kamieniec żąć żyto.

Jan Jaźwico

BOGDAN BUTRYŃCZUK

Na marginesie „Uczonych białogłów"

PRAWZÓR SAWANTKI

„Jeśliby na krańcach świata pojawił się nauczyciel, który za pomocą jednego wyrazu mógłby nauczyć całej gramatyki, retoryki, filozofii lub sztuk wyzwolonych, poleciałaby tam pani, jak motyl w ogień" — pisał na sto lat przed Molierem biskup Briçonnet do Małgorzaty z Nawarry. Autorka „Heptameronа" od dzieciństwa władała językiem greckim, łacińskim, włoskim, hiszpańskim, a w wieku dojrzałym i hebrajskim, rozprawiała o zagadnieniach religii i filozofii, pisała wiersze, misteria i świeckie komedie, nade wszystko zaś opiekowała się poetami i uczonymi, z których niejeden spłonął później na stosie.

Zatem na pewno nie ją i podobne jej kobiety ośmieszał Molier w swoich „Uczonych białogłowach", które wyrazowi „sawantka" nadały zdecydowanie ironiczne zabarwienie. Zresztą genialna komedia Moliera nie budzi pod tym względem żadnych wątpliwości, wydobywa intencje autora w sposób jednoznaczny i precyzyjny, chłoszcząc „owczy pęd" a nie światłe wyjątki. Nie przeciw równouprawnieniu kobiet jest ta sztuka skierowana. Więcej zresztą jadu dostało się w niej przyjaciołom domu — literatom.

ĆWIKLIŃSKA JAKO SAWANTKA

Państwowy Teatr Nowy w Warszawie wystawił „Uczone białogłowy" w przejrzystej — mówiąc o koncepcji — reżyserii Ireny Grywińskiej. Dlaczego po „Swobodnym wietrze" Dunajewskiego — Molier?

Przypomnijmy, że jest to pierwszy w sztuce Moliera występ Mieczysławy Ćwiklińskiej. Swietna w posturze potrafiła też znakomicie przekazać treść molierowskiego komizmu, owego komizmu pełnego ludzkiej prawdy, tkwiącej w człowieku, który nie stara się budzić wesołości, lecz wywołuje ją traktowaniem jak najbardziej serio swoich przywar, obnoszeniem ich z powagą godną imperatora. Ćwiklińska — to już powód. Ale czy miał teatr inne?

Na tle dotychczasowych przedstawień teatru „Nowego", w którym zarówno linia repertuaru, jak i jego realizacja nacechowana jest przypadkowością i całkowitą beztroską wobec postulatów obowiązujących nasze teatry, „Uczone białogłowy" zaskakują zewnętrzną poprawnością. Starannie wykonana, realistyczna dekoracja (Jan Hawrylkiewicz), wierne historycznie, barwne kostiumy, kreacja Mieczysławy Ćwiklińskiej w roli Filimanty i dobre role Jadwigi Zaklickiej (operującej nieco innym, bardziej konwencjonalnym zakresem komizmu) oraz Benigny Sojeckiej i Edmunda Fiddera, wreszcie walory samej sztuki — wszystko to składa się na owo wrażenie poprawności. Ale jest to wrażenie raczej denerwujące. Czy nie jest oby wywołane chłodem i rutyną, dwoma czynnikami, które hamują rozwój sztuki?

CZY TO WYSTARCZY?

Taka inscenizacja komedii Moliera nie jest osiągnięciem artystycznym — lecz powinnna być u nas minimum obowiązującym każdy zespół. Nie widać tu ryzyka, poszukiwań, odkrywczych pomysłów i nowego spojrzenia na sztukę. Zwłaszcza, że większość aktorów nie umiała pokonać trudności wiersza, który w ich ustach brzmiał twardo, zatracając barwę nie tylko treści, lecz także rytmu.

Sprawa tej „komediowo - muzycznej sceny" dojrzała do rozwiązania. Jak wiadomo, o twórczym obliczu teatru przede wszystkim mówi jego repertuar, zaś wtóruje mu — niemal wpadając w słowo — realizacja sceniczna. Niestety, oba te niezwykle miarodajne czynniki świadczą o „Nowym" jak najgorzej.

Nie ma chyba w Polsce drugiego teatru (oprócz „Ludowego" na Pradze), który posiadałby tak chwiejne usposobienie. Po prostu, idąc na Pulawską człowiek nie wie, co go czeka. A właściwie zawsze musi być przygotowany na niespodzianki, do których można by się od biedy przyzwyczaić, gdyby komukolwiek zależało na krzewieniu złych nałogów. W samej bowiem nazwie teatru „Nowego" tkwi jakaś niezrozumiała kokieteria, którą można sobie wytłumaczyć jedynie chęcią „zmylenia przeciwnika". Czyżby „teatr nowej komedii"? Nie, widz — oczywiście ten, którego pociąga sens nazwy — nie lubi takich żartów. I nie łudźmy się, że uwierzy on w „nowatorstwo" polegające na preparowaniu klasyka (że użyjemy oficjalnego tytułu) Ben Johnsona na trzeciorzędnego librecistę nieistniejącej „operetki elżbietańskiej", lub że przyjmie ładną, lecz przyrządzoną przez teatr na starym wiedeńskim tłuszczu operetkę Dunajewskiego, jako rekompensatę za wyczerpującą się cierpliwość.

Teatr „Nowy" jest sceną „komediowo - muzyczną". Już w samym założeniu dwutorowości tej specyfiki tkwi niebezpieczeństwo schematyzmu: osobno — komedia, osobno — muzyka. Interpretacja tej specyfiki przejawia się tu przeplatanką „wielkiej" komedii i „małej" muzyki według sztywnej zasady: niekwestionowana, choć już tradycyjna „Moralność pani Dulskiej" i nadpsute, acz „Milionowe jajko". Wydaje mi się, że nie można takiej zasady zaakceptować, tak jak nie zaakceptowalibyśmy np. programów Filharmonii, lawirującej między Bachem a Offenbachem, chociaż obaj — i słusznie — mają oddanych sobie odbiorców.

CZY GŁUCHY KLAWISZ

Sprawa teatrów komediowych i muzycznych dojrzała do rozwiązania. Należy się zdecydować, jaki każdemu z nich („Nowy", „Ludowy", „Syrena" i tworzący się obecnie Teatr Satyry) nadać charakter, gdyż w tej chwili nie poprawi ich sytuacji artystycznej nawet dobre przedstawienie przypadkowo dobranej sztuki.

Trzeba nareszcie podkreślić pierwszorzędne znaczenie polityczne i wychowawcze zadań sceny „komediowo - muzycznej", której specyfikę stanowczo lepiej byłoby określić mianem zamykającym bardziej skonkretyzowane pojęcie np. „komedii muzycznej", „komedii współczesnej", czy „aktualnej satyry". Każdy z wymienionych teatrów powinien wybrać najbardziej odpowiadający mu rodzaj. Wyjaśnienie zakresu działania pomoże znaleźć właściwy repertuar, ustalić skład zespołu i związać się z właściwymi grupami dramaturgów.

Bardzo nie lubię powtarzać zdań, które już niejednokrotnie były przy różnych okazjach i w najrozmaitszych wariantach wypowiadane. Cóż, kiedy sprawa lekkiego repertuaru i teatrów realizujących ten repertuar — to w klawiaturze CZTOF-u istotnie głuchy klawisz, który nie wydaje dźwięku nawet przy najmocniejszych uderzeniach. Trzeba się nią zająć więc z tym piln ejszą uwagą i powagą. Można by sądzić, że jest to sprawa wstydliwa, tymczasem wiemy wszyscy, że to problem ważny, zaś rozwiązanie jego przy obecnych zmianach personalnych w kierownictwach teatrów — wymaga równie szybkiej jak stanowczej decyzji.

Czyżby gatunek komedii bądź komedii muzycznej wymagał specjalnej rekomendacji? Czyż nie wystarczy stan faktyczny, który każe ten rodzaj teatru zaliczyć do najbardziej masowych i popularnych? Tym bardziej komedia muzyczna, operetka czy satyra nie może pozostawać azylem dla szmiry artystycznej i tandety ideowej.

CO ZROBIĆ Z TYM FANTEM?

Teatr komediowy oddziaływuje na widza orężem równie giętkim, jak potężnym — śmiechem. To truizm — ale dotąd tylko dla niektórych. Oczywiście, teatr komediowy czy muzyczny posiada swoje odrębne zadania. Ale zadań tych pod żadnym pozorem nie wolno oddzielać od ogólnego nurtu rozwojowego naszej sztuki. Bergsonowska logika komizmu, to logika snu i pijackich bredni. Burżuazyjna treść operetki — to często kult złego smaku i tandety artystycznej. Dla tych „wartości" nie ma miejsca na naszych scenach komediowych, które winny walczyć nie tylko ze sztampą „tradycyjnej" operetkowo - rewiowej szmiry, lecz także — w sensie pozytywnym — toczyć bój o oryginalną twórczość komediową, operetkową i satyryczną, twórczość opartą o problematykę żywą, obchodzącą żywych widzów.

Teatr „Nowy" nie jest w stanie obsadzić we własnym zakresie żadnej sztuki tak, aby zapewnić jej wymagany poziom. Niemal każda premiera wspiera się o jakąś wybitniejszą, lecz zawsze „pożyczoną" indywidualność artystyczną. Nie sprzyja też rozwojowi młodych aktorów ciągłe lawirowanie między operetkową sztampą a komediowym konwencjonalizmem. W rezultacie, najwyższym osiągnięciem teatru, stale obniżającego swój poziom, może być co najwyżej chłodna poprawność.

Trzeba się wreszcie zdecydować. Biorąc pod uwagę dyspozycje artystyczne większości zespołu, a także podział funkcji teatrów warszawskich, wydaje mi się, że teatr „Nowy" powinien wreszcie stać się wzorowym teatrem komedii muzycznej i operetki, teatrem związanym z rzeczywistością, propagującym poczucie humoru i kultury muzycznej.

Bogdan Butryńczuk

STANISŁAW ZIEMBICKI

KRYTYK I LAS

Raz mówił krytyk do obrazu,
Obraz do niego ani razu,
A na obrazie było tak:
Płotek, chałupy nad potokiem
I ciepło elektrycznych okien,
Traktor, a na traktorze ptak.

Ława, na ławie traktorzysta,
Zaraz w organki będzie świstał,
Dziewczyna niesie mleka dzban,
Idzie po szosie jak po rosie
I stopy lekko tak podnosi,
Jakby z tym dzbanem szła na bal.

A w głębi las. Po wszystkich świerkach
Widać, że pierwszy ptak zaćwierkał
I że za chwilę będzie dzień,
Bo pierwsze światło już się zbiera
W miejscu gdzie jeszcze śpi siekiera
Oparta o dębowy pień.

Więc mówi krytyk do obrazu:
(Obraz do niego ani razu)
Czy to jest piasek czy to śnieg,
Czy to jest żona, czy też córka?
Dlaczego ptak a nie wiewórka?
Dlaczego mleko a nie chleb?

Dlaczego traktorzysta nie gra?
Dlaczego tu furmanki nie ma?
Koniecznie szosa, a nie trakt?
Dlaczego ława, a nie fotel
I co się będzie działo potem,
Kiedy ten rudy sfrunie ptak?

A las? No proszę, czy kto widział
By las nad ziemią prosto siedział?
A gdzie jest wiatr i ruch i trzask?
Tu trzeba jakąś wierzbę, olchę
I na gałęziach szyszek trochę,
Bo to prawdziwy nie jest las.

Kiedy się krytyk do obrazu
Odwrócił tyłem, wtedy z lasu
Wyszedł ogromny, bury wilk —
To obraz dłużej nie wytrzymał —
Wilk skoczył — już krytyka nie ma —
Oblizał się i w lesie znikł...

PODSKAKIEWICZ

On się jak polny konik czuje
I ciągle tylko podskakuje.

Bo jemu zamarzają oczy,
Gdy choć raz jeden nie podskoczy.

On woli podskok od pieczywa,
On musi codzień podskakiwać.

Co roku liczy on na boku
Ilość udanych swych podskoków.

I znowu bierze się pod boki,
Aby uprawiać swe podskoki.

On nawet słomki nie przeskoczy,
Ale podskoczyć, o, podskoczy...

Przyrodo mądra, proszę: zamień
Pod jego stopą dywan w kamień,
Niech na śliskości i krzywiźnie
Ta głupia stopa się pośliznie.

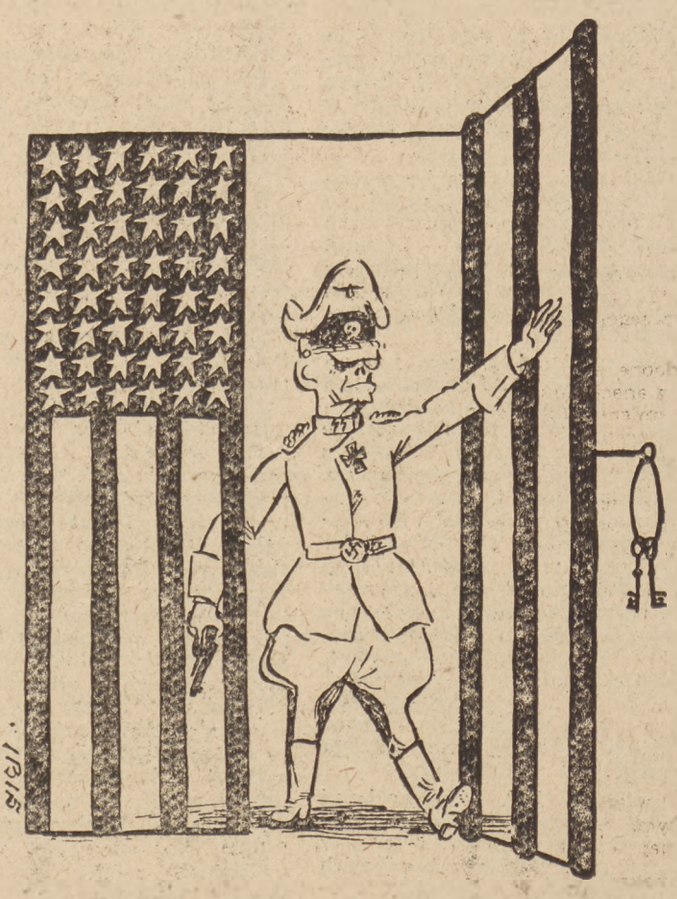

Rys. Ibis

Bez podpisu

Okno na świat czyli eksperyment publicystyczny

W okręgach Vietnamu, pozostających pod władzą ludową, wiszą afisze przedstawiające młodą, piękną dziewczynę obok wołu. I pod tym obrazem wiersz:

„Wyjść zamąż za człowieka
wykształconego —
to cudowna przyszłość,
Wyjść za analfabetę — to
przyszłość wołu".

*

Rozmawia dwóch Anglików, przemysłowiec i kupiec londyński:
— Czego pan właściwie chce? Jest pan konserwatystą czy labourzystą? Robi pan interesy z bolszewikami i ostrzy pan sobie zęby na Pakcie Atlantyckim, pan, przedstawiciel burżuazji, kupiec, pan, przedstawiciel ustroju kapitalistycznego?
— Nie jestem nikim takim. Chciałbym być przede wszystkim przedstawicielem lub przynajmniej skromnym rzecznikiem zdrowego rozsądku...

*

Mówi Azzam Pasza, sekretarz Ligi Arabskiej:
— Uważamy, że ideologia Islamu przewyższa wszystkie inne i że w konsekwencji odniesie ona zwycięstwo. Lecz nie mamy potrzeby używania siły. Uważamy, że różne systemy filozoficzne, różne ustroje mogą współistnieć i współpracować.

Wywiad z Azzamem Paszą przeprowadzili współpracownicy „Defense de la Paix", znani publicyści francuscy — Roger Maria i Dominique Desanti. Poprzedzające wypowiedź Azzam Paszy fragmenty reportaży również pochodzą z tego pisma. Reportaż z Vietnamu pisał niepodległościowy pisarz vietnamski — Le Dinh Tham, rozmowę podsłuchaną w Londynie spisał Arrigo Jacchia. Skąd tyle egzotycznych nazwisk? Stąd, że „Defense de la Paix" to jednocześnie: W Zaszczitu Mira (ZSRR); Rivista „El Pace" (Włochy); „Difas Aani Silm" (Alger); „Pac Wei Ho Ping" (Chiny); „In Apardrea Pasil" (Rumunia); „Peace" (Australia); „W obronie Pokoju" (Polska) itd. itd... Stąd, że „W Obronie Pokoju" jest międzynarodowym, ukazującym się jednocześnie w kilkunastu różnych językach pismem Światowej Rady Pokoju.

Jest takie powiedzenie, pamiętamy je ze szkolnych czasów: „Książka — oknem na świat". Powiedzenie to świetnie pasuje do roli, jaką ma spełniać międzynarodowe, wielojęzyczne pismo „W Obronie Pokoju". Polski czytelnik tego pisma zobaczyć może świat w bardzo oryginalnej formie: Vietnam w oczach Vietnamczyka, Francję w oczach Francuza, ruch wyzwoleńczy narodów Bliskiego Wschodu w oczach Mahometanina. Wydarzenia na tzw. arenie międzynarodowej, czy też reportaże z obcych krajów, spotykane w naszej prasie, dostosowane są do pojęć współczesnego polskiego czytelnika. Licząc się z tym, oddziaływuje na niego w znacznie mniejszym stopniu propaganda imperialistyczna, autorzy krajowi (na szczęście niezbyt często) zastępują argumentowanie prostymi sloganowymi stwierdzeniami. Inaczej postępuje publicysta francuski, który wie, że adresuje swój artykuł do czytelnika, atakowanego zewsząd przez wrogą propagandę. W omawianym tutaj wypadku międzynarodowego pisma (w polskim języku) sposób argumentowania jest tym ciekawszy, że nie uwzględnia specyfiki jednego tylko kraju, lecz wielu krajów jednocześnie. Coś w rodzaju syntezy Klubu Międzynarodowej Prasy, dostępnego dla czytelników nie znających języków obcych.

Tytuł „W Obronie Pokoju" — sugerować może zawartość treściową pisma, równoległą do referatów na Kongresach Pokoju. Tymczasem pismo jest w rzeczywistości popularnym, poruszającym mnóstwo różnorodnych tematów magazynem. Weźmy na przykład ostatni, styczniowy numer: Wypowiedź premiera Indii Pandit Nehru, felieton Ilii Erenburga, reportaż z Chin, artykuł o energii atomowej Paul Langevin'a, opowiadanie Mulk Raj Ananda — pisarza indyjskiego, fotoreportaże z operacji chirurgicznej w klinice Uniwersyteckiej w Paryżu, reportaż z Syberii, wiersz Wiktora Hugo, essay o Leonardo da Vinci, opowiadanie Gogola, reprodukcje obrazów współczesnych malarzy meksykańskich, wywiady z Vittorio de Sica i Cesare Zavattini... Nie ma tematu, który odpowiednio ujęty nie służy sprawie pokoju.

Magazynowy charakter pisma stanowi pewnego rodzaju eksperyment. Jest to bodaj pierwszy tak popularny magazyn międzynarodowy, służący dobrej sprawie.

Co szczególnie rzuca się w oczy przy przeglądaniu niewielu wydanych dotąd w Polsce — pięciu — numerów „W Obronie Pokoju", to oryginalna, dobra publicystyka. Prawie wszystkie, najbardziej nawet typowe i znane przejawy życia i wydarzeń politycznych, społecznych, gospodarczych posiadają świeżość ujęcia, przejawia się w nich indywidualna twórczość autora. Np. Claude Morgan (drugi obok Pierre Cot'a redaktor pisma) sumując wydarzenia międzynarodowe roku 1951 piętnuje imperialistycznych podżegaczy wojennych nie używając ani razu słowa „podżegacze wojenni", ani słowa „imperializm". Unikanie nomenklatury naukowej? Nie — raczej unikanie słów, które zbyt często używane mogą nie trafiać do ludzi, nie obeznanych z gospodarczo-społecznym mechanizmem historii a stających po stronie obozu pokoju kierując się intuicją, motywami uczuciowymi, ludzi pragnących nie tyle gotowych sformułowań, co świeżości słowa i — dowodów, jak najwięcej dowodów.

Na koniec kilka słów krytycznych: Tłumaczenie polskie w wielu wypadkach jest nieudolne (żeby nie powiedzieć wprost — złe). Wina nie tyle tłumaczy, co polskiej redakcji. Tłumacze nie poczuwają się do odpowiedzialności, zasłonięci przed opinią parawanem anonimowości. Wydaje się, że znalezienie dobrych (co konieczne jest szczególnie przy tłumaczeniu prac literackich) tłumaczy, którzy zgodziliby się firmować przekłady swoim nazwiskiem — nie wydaje się rzeczą trudną.

Dlaczego zwracamy wyjątkową uwagę na to właśnie pismo?

Dlatego, że „W Obronie Pokoju" samo stanowi pewnego rodzaju wyjątek, a w każdym razie zasługuje na uwagę jako eksperyment, nowość publicystyczna — zarówno pod względem formy jak i treści — na naszym rynku wydawniczym.

Sk.

JAN BRZECHWA

CHWILA ZOILA

Są pośród wierszopisów tacy niby-wieszcze,
Którzy sztuki pisarskiej nie posiedli jeszcze,
A już się uważają za koryfeuszy,
Chociaż innych przerośli jedynie o uszy.

Gdyby murarz kładł cegły jak oni swe rymy,
Nie przetrwałby dom żaden ani jednej zimy;
Gdyby górnik miał w pracy ich poczucie rytmu,
Wykonałby ćwierć normy i byłoby wstyd mu.

Oni od wszelkiej formy chcą być niezawiśli,
Forma — mówią — krępuje ich swobodę myśli,
Lecz myśli też na próżno w tych utworach szukasz, —
Cóż — papier jest cierpliwy. A męczy się drukarz.

Kiedy krytyk ich karci, mawiają: „Nie szkodzi,
To starsi nam zazdroszczą tego, żeśmy młodzi!"
I pakują do wierszy Zabrze albo Żerań
W nadziei, że unikną nieprzychylnych gderań.

Chciałoby się zawołać: „Gdzieżeś, bracie, polazł?
Na Żerań? Tam prowadzi droga przez Czarnolas,
Tam nie ma dzisiaj miejsca dla twej muzy płochej,
Która depcze bezmyślnie amfibrach i trochej!"

Wyjść trzeba na gościniec, opuścić bezdroża,
Wygnać fałszywą muzę z nieprawego łoża,
Czerpać z wielkiej tradycji: tam się nie pośliźnie
Poeta, który ufa i służy polszczyźnie.

Sztukę dla sztuki wszyscy oceniamy wrogo,
A jak ocenić można sztukę dla nikogo?
Wiersze, którymi ludzie jak ośćmi się krztuszą
I odrzucają radzi, że czytać nie muszą?

Lud wierny jest poezji, chciwie dźwięk jej łowi,
Muszą też i poeci wierni być ludowi,
Muszą położyć tamę poetyckiej bujdzie
I przemawiać po ludzku. Lud za nimi pójdzie.

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I ptr. tel 4-01-80, wewn. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji: W-wa ul Wiejska 12, tel 7-52-50 Wydaje RSW „Prasa".
Prenumerata i kolportaż: P.P.K. „Ruch" Oddz. w Warszawie, ul Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3 —, kwartalnie zł 9 —, półrocznie zł 18.—, rocznie zł 36 —, Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Wpłaty na prenumeratę indywidualną: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16, powyżej 10 egzemplarzy — ul Chmielna 25 Cena ogłoszeń 9 zł z 1 cm².
Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa", Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-5589/110, tel. 7-38-05 Rekopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 3-B-12517